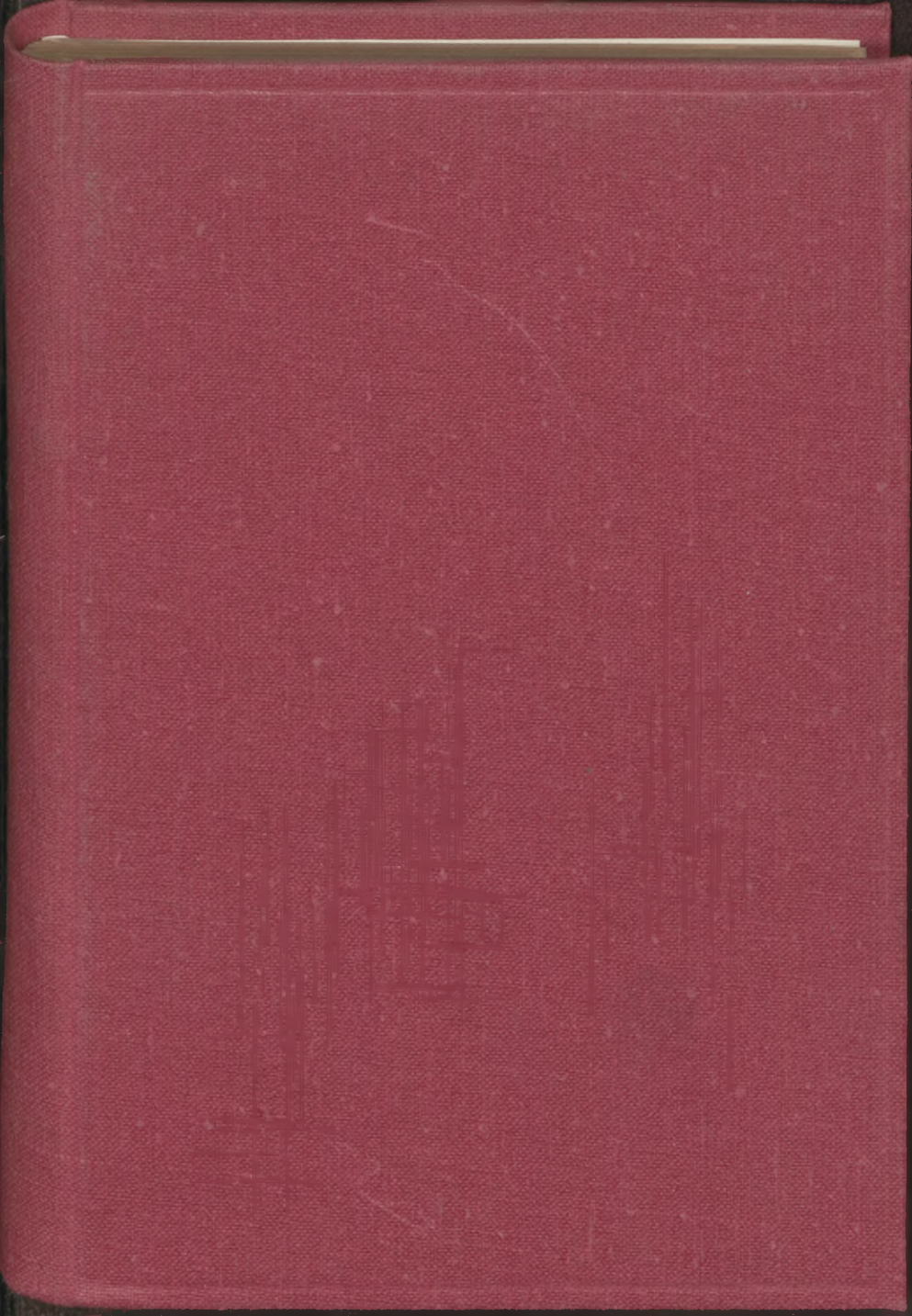




**GABRIELA
ZAPOLSKA**

**UTWORY
DRAMATYCZNE**

TOM
III

MAŁKA
SZWARCENKOPF
JOJNE FIRUŁKES

1923
L E K T O R

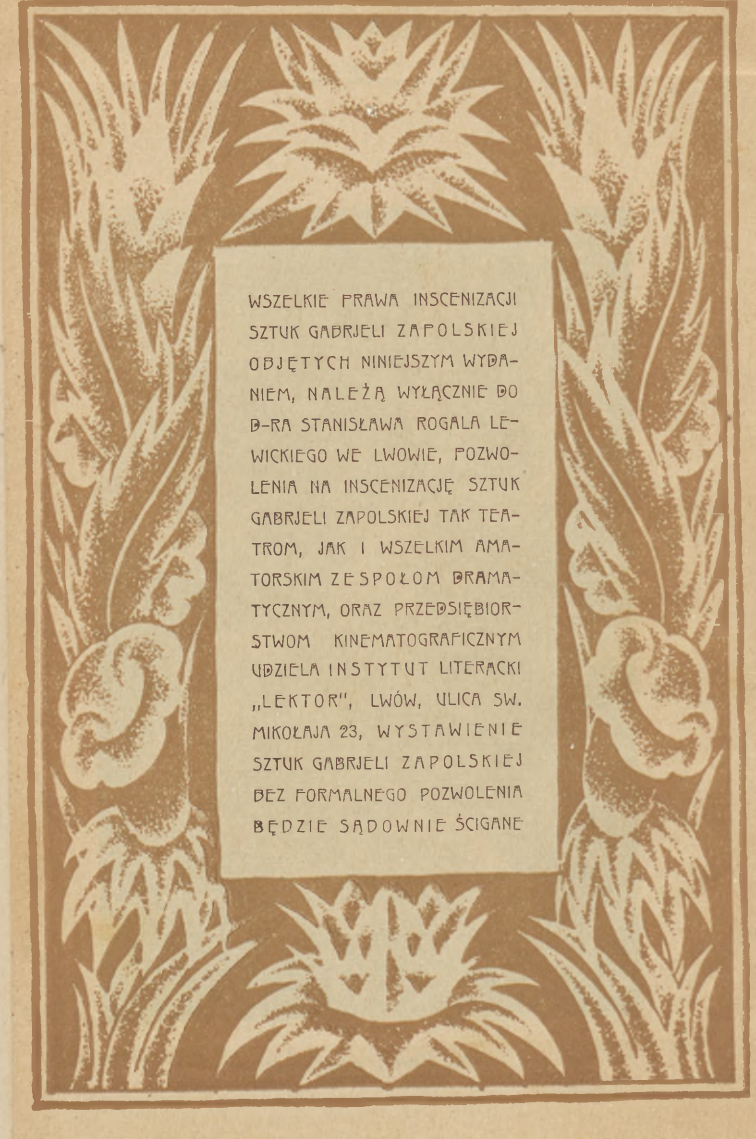


GABRIELA ZAPOLSKA

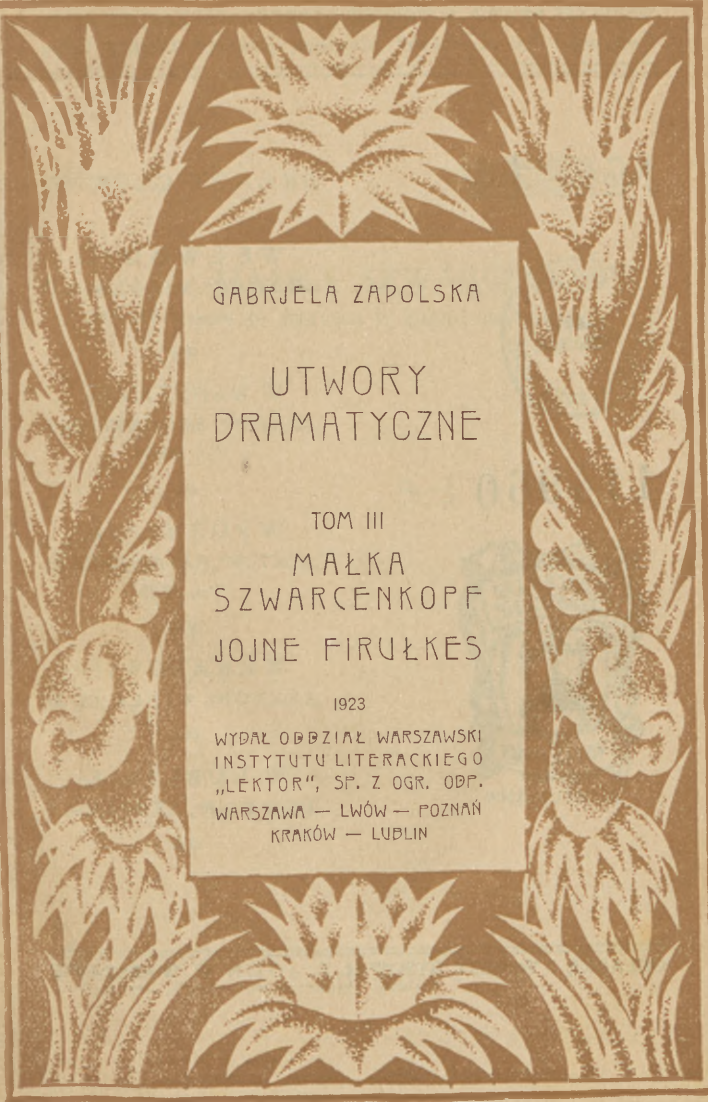
WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
GABRIELI ZAPOLSKIEJ

UTWORY DRAMATYCZNE

MAŁKA SZWARCENKOPF
JOJNE FIRULKES

A decorative border in a reddish-brown color frames the page. It features stylized, symmetrical floral and leaf motifs, including large, pointed leaves and circular flower-like shapes at the corners and center.

WSZELKIE PRAWA INSCENIZACJI
SZTUK GABRIELI ZAPOLSKIEJ
OBJĘTYCH NINIEJSZYM WYDA-
NIEM, NALEŻĄ WYŁĄCZNIE DO
DRA STANISŁAWA ROGALA LE-
WICKIEGO WE LWOWIE, POZWO-
LENIA NA INSCENIZACJĘ SZTUK
GABRIELI ZAPOLSKIEJ TAK TEA-
TROM, JAK I WSZELKIM AMA-
TORSKIM ZESPOŁOM DRAMA-
TYCZNYM, ORAZ PRZEDSIĘBIOR-
STWOM KINEMATOGRAFICZNYM
UDZIELA INSTYTUT LITERACKI
„LEKTOR”, LWÓW, ULICA ŚW.
MIKOŁAJA 23, WYSTAWIENIE
BEZ FORMALNEGO POZWOLENIA
BĘDZIE SĄDOWNIE ŚCIGANE

A decorative border in a dark brown color frames the central text area. It features stylized, symmetrical floral and leaf motifs, including large, pointed leaves at the top and bottom, and smaller, rounded floral elements on the sides.

GABRIELA ZAPOLSKA

UTWORY
DRAMATYCZNE

TOM III
MAŁKA
SZWARCENKOPF
JOJNE FIRUŁKES

1923

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO
„LEKTOR”, SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ
KRAKÓW — LUBLIN

355416

No 14

SKŁADY GŁÓWNE:



114960 L-P



H. NEUMANA

WELWOWIE:

„LEKTOR”, MIKOŁAJA 23

(d. własny) Tel. 525

☎ ☎

W WARSZAWIE:

„LEKTOR”, SIENKIEWICZA 5

Tel. 253-99

☎ ☎

W POZNANIU:

„LEKTOR”, RATAJCZAKA 33

Tel. 39-23

☎ ☎

W KRAKOWIE:

„LEKTOR”, RYNEK Gł. 22

☎ ☎

W LUBLINIE:

„LEKTOR”, SZOPENA 5

☎ ☎

MAŁKA SZWARCENKOPF

SZTUKA W PIĘCIU AKTACH

O S O B Y:

SZWARCENKOPF, handlarz uliczny.

MAŁKA, jego córka.

KOLUMNA WIEDENSKI.

MAURYCY SILBERCWEIG, ex-kantorzysta.

JAKÓB LEWI, pomocnik adwokata.

STARY FIRULKES, właściciel sklepu.

JOJNE FIRULKES, jego syn.

BERNARD KALHORN, kantorzysta.

MOWSZA CYTRYNA }
IZAAK POMERANZ } młodzi żydzi.

MOJSIE RADOSNY, 90-letni starzec

MARSZELIK.

DOKTÓR.

JENTA TYSZEBUF, handlarka starzyzną.

RYFKA, 80-letnia jej matka.

CZWORO DZIECI JENTY.

GLANZOWA.

PAKE ROZENTAL, swatka.

RÓZIA HORN.

I SZANSONISTKA.

II SZANSONISTKA.

LOKAJ.

Starzy żydzi, młodzi żydzi.

Stare i młode żydówki.

Dziewczęta ubrane biało, dzieci.

AKT PIERWSZY.

(Scena przedstawia bardzo bogato umeblowany salon. Przy podniesieniu zasłony stolik do kart odkryty. Na nim świece zapalone, leżą karty i pieniądze. Butelki z szampańskim winem stoją na nim i na stołach wypróżnione. Dwie szansonistki są na scenie. Jedna siedzi przy fortepianie i gra „Adele t'es belle” a druga śpiewa fałszywie. Na kanapie z prawej strony rozpostarty Maurycy Silbercweig, Bernard Kalhorn; przy stoliku tasuje i składa karty Kolumna Wiedeński).

SCENA I.

□ □

MAURYCY SILBERCWEIG.

Głośniejl proszę śpiewać głośniejl!

I SZANSONISTKA.

Zaschło mi w gardle, śpiewać nie mogę.

MAURYCY.

To je odwilż.

I SZANSONISTKA.

Kiedy butelki próżne.

MAURYCY.

Zadzwon, Wiedeńskil niech nam przyniosą jeszcze szampana.

(Wiedeński dzwoni).

BERNARD.

Cóż to! czy to niewyczerpana studnia, ta piwnica twojej cioci.

MAURYCY.

Zdaje się.

I SZANSONISTKA.

Czy schodziłeś już do piwnicy, Morycu?

MAURYCY.

Nie, ale Wiedeński za mnie chodził.

I SZANSONISTKA.

I dużo tam buteleki! (Wiedeński nie odpowiada; zajęty kartami). No, cóż to, Kolumna, ogłuchłeś? damom nie odpowiadasz?

WIEDEŃSKI.

Nie przeszkadzajcie mi, kładę sobie kabałę.

MAURYCY.

Nie kabałę kładziesz, ale wymyślasz nowy majsterstück — ażeby go użyć, gdy siądziesz grać ze mną.

WIEDEŃSKI.

Przedewszystkiem nie majsterstück, ale chef d'oeuvre. Skoro już wyszedłeś z kantoru i nie siedzisz za siatką, jak dzikie zwierzę, to się naucz odpowiadać wyraźnie.

MAURYCY.

Mój kochany, najodpowiedniejsze dla mnie jest.. zaszeleścić tęczówką. Wtedy mogę mówić jak sto grojseszyków a nikt na to nie zwróci uwagi.

WIEDEŃSKI.

El prócz pieniędzy należy mieć ogładę towarzyską.

MAURYCY.

A ty masz tę ogładę towarzyską i dlatego, że nie masz pieniędzy to ci źle na świecie.

WIEDEŃSKI.

Mnie źle? Kto ci to powiedział? Przedewszystkiem pieniądze mam, tylko chwilowo uwięzione w interesach.

MAURYCY.

Uwięzione! słyszyciel uwięzione (wszyscy się śmieją).

WIEDEŃSKI.

Śmiejecie się! rira mieu qui rira le dernier... Skoro wam pokażę niedługo cały stos tęczówek?

I SZANSONISTKA.

Och, postaraj się, Kolumno, aby to było jaknajprędzej.

MAURYCY.

Nie cieszcie się na próżno. Przedewszystkiem to się nigdy nie stanie a potem, gdyby nawet i było, to Kolumna Wiedeński ulotni się jak kamfora i tyle go będziemy widzieli.

WIEDEŃSKI.

Przedewszystkiem je m'acquit lerai z mojego długu honorowego...

SCENA II.

CIŻ SAMI i GLANZOWA (stara żydówka ubrana czysto i skromnie).

32

GLANZOWA.

Panowie dzwonili!

MAURYCY.

Tak, pani Glanzowa.

GLANZOWA.

Co pan mi rozkaże?

MAURYCY.

Chciałbym... chciałbym... (waha się chwilę).

WIEDENSKI.

Proszę kazać przynieść jeszcze wina.

GLANZOWA

(stoi nieporuszona)

WIEDENSKI.

No i cóż? na co pani jeszcze czeka?

GLANZOWA.

Czekam na rozkazy mego pana.

WIEDENSKI.

Tu entens Maurice.

MAURYCY.

Proszę kazać dać wina.

GLANZOWA

(powoli kiwając głową).

Panowie już bardzo dużo wypili.

WIEDENSKI.

Panią to nic nie obchodzi. Skoro pan Maurycy każe dać wina, to wino powinno być.

GLANZOWA.

Ja mało mam zaszczytu znać pana dobrodzieja i prosiłabym, żeby pan tak do mnie, do Glanzowej, nie mówił. Do mnie nikt nigdy takim tonem nie mówił a świętej pamięci pani moja a ciotka pana Maurycego nazywała mnie „moja Glanzowa“, Dlatego ja pana pięknie proszę do mnie się lepiej nie odzywać.

I SZANSONISTKA.

Słyszysz, Kolumna, masz tę damę nazywać „moja Glanzowa“! (Glanzowa patrzy przez chwilę na szansonistkę z wyrazem pogardy).

I SZANSONISTKA (impertynencko).

Dlaczego mi się pani Glanzowa tak przypatruje!

GLANZOWA.

Bo za życia mojej biednej i drogiej pani, nigdy takie, jak pani, kobiety, progu tego domuby nie przeszły... (do Maurycego). Ja wino zaraz przysłę!... (wychodzi wzburzona, trzęsąc głową).

SCENA III.

CIŻ SAMI, bez Glanzowej, potem lokaj z dwiema butelkami szampana w srebrnych wazach.

□ □

I SZANSONISTKA.

Impertynentka!

II SZANSONISTKA.

Stara warjotka!

WIEDEŃSKI.

Przedewszystkiem, Maurycy, powinienes usu-
nać stąd tę starą mumję.

MAURYCY.

Zastałem ją zainstalowaną w domu, gdy
przyjechałem z Łodzi dla objęcia spadku. Po-
dobno była u ciotki już lat dwadzieścia pięć.
Trudno mi ją było wyrzucić za drzwi.

WIEDEŃSKI.

Ale teraz musisz to uczynić. To sensu nie
ma i deprymuje cię to w oczach ludzi. Baba
zajmująca się gospodarstwem. Sensu nie ma!

BERNARD.

Wiedeński ma rację, sensu niema.

MAURYCY.

Jednakże...

WIEDEŃSKI

(wstaje i podchodzi do niego, trzymając karty).

Oddałeś się pod moją opiekę, tak, czy nie?

MAURYCY.

Oddałem!

WIEDEŃSKI.

A więc, jeżeli chcesz być do ludzi podobny,
musisz mnie przedewszystkiem słuchać. Ubie-
rać się tak jak ja, chodzić, siadać, jeść — sło-
wem, robić to wszystko, co ja każę. Spo-
dziewam się, że od chwili poznania się ze

mną w wagonie kolei, nie znudziłeś się ani na jedną chwilę.

MAURYCY.

Nie... ale nigdy nie zapomnę, jak dzielnie mnie splukałeś, grając ze mną w wagonie w karty.

WIEDENSKI.

Szczęście mi służy, mój drogi, szczęście...

I SZANSONISTKA.

Albo — zręczność.

WIEDENSKI.

Ça revient au même. A teraz chodźcie, pokaże wam fokus nadzwyczajny! (Siada przy stole karcianym i rozkłada na nim karty w dwa rzędy; Wszyscy się zbliżają). Ile mam położyć kart! Dwa-dzieścia? piętnaście? mówcie, mnie wszystko jedno.

II SZANSONISTKA.

Niech będzie dwanaście.

WIEDENSKI.

Oto są. A w drugim rzędzie.

MAURYCY.

Dziewięć.

WIEDENSKI.

Oto jest. A teraz liczcie stąd i obierzcie sobie jakąkolwiek kartę, zatrzymajcie się na niej i potem wracajcie, opuszczając drugi rząd, odliczcie tyle kart ile poprzednio a ja wam powiem, na której się zatrzymaliście.

MAURYCY.

Nie odgadniesz tego! to niemożliwe...

WIEDEŃSKI.

Odgadnę!

I SZANSONISTKA.

Będziesz nas podpatrywał!

WIEDEŃSKI.

Ani myślę. Odejdę! Siądę do fortepjanu i grać będę.

I SZANSONISTKA.

Dobrze, idź!

WIEDEŃSKI.

Przedewszystkiem kto gra?

WSZYSCY,

My wszyscy razem!

WIEDEŃSKI.

Merci... Maurycy sam.

MAURYCY.

Dobrze!

WIEDEŃSKI.

Ile!

MAURYCY.

Dziesięć.

WIEDEŃSKI.

Fe, Maurycy... ty wiecznie masz brzydkie kantorowiczowskie nawyczki. Dziesięć rubli! Ja mniej jak za sto tego nie zrobię.

MAURYCY.

Nie dam stu.

I SZANSONISTKA.

Daj, Morek! daj! co ci szkodzi, on i tak przegra, bo to niemożliwe...

MAURYCY.

A więc niech będzie sto.

WIEDENSKI.

Benel

(odchodzi do fortepjanu i gra sycyljanę z „Cavaleryi“, śpiewając po włosku — reszta przed stolikiem liczy po cichu karty, szepcząc, śmiejąc się i naradzając).

MAURYCY.

Już, Kolumna! przestań wyć i chodź tutaj.

WIEDENSKI.

Voila!

WSZYSCY
(ździwieni).

Zgadł!

WIEDENSKI.

A stówka?

MAURYCY.

Oto jest!

WIEDENSKI

(bierze pieniądze i zakrywa numer).

Para, niepara?

MAURYCY.

Niepara.

WIEDENSKI
(liczy).

Para! proszę i drugą.

MAURYCY
(zły).

Proszę.

WIEDEŃSKI.

Tyle razy ci mówiłem, że tylko parwenjuszki płacą ze złością swoje honorowe długi.

MAURYCY.

Trudno być w dobrym humorze.

WIEDEŃSKI.

Gdy się ma taki spadek złościć się dla mar-
nych dwóch stówek.

MAURYCY.

Prawda! masz rację, Kolumna, wypijmy za
twoje zdrowie.

WIEDEŃSKI.

O, tak to lubię.

WSZYSCY
(piją).

Zdrowie Kolumny!

MAURYCY.

A cóż tam słyhać z tą zmianą mego na-
zwiska.

BERNARD.

Zmieniasz nazwisko!

MAURYCY.

Tak! chciałbym nie być już tym Silbercwei-
giem, bo to strasznie Żelazną Bramą trąci.
Wiedeński powiedział, że mi to ułatwi. Wziął
nawet czterysta rubli na koszt. I cóż, Wie-
deński, jakże tam stoi sprawa?

WIEDEŃSKI.

Już jest w ministerstwie spraw wewnętrznych i lada chwila oczekuje rezolucji. Popiera ją pewna znakomita dama, która ma dla mnie mnóstwo obowiązków a więc rozumiecie... (nagle kładąc rękę w kieszeń kamizelki). Para, niepara?

I SZANSONISTKA.

Ja gram. Para!

WIEDEŃSKI.

Niepara, bo mam tylko jednego pólimperjała. Przegrałaś, moja piękna.

I SZANSONISTKA.

Wstydź się, nas jeszcze obdzierać.

WIEDEŃSKI.

Nie wstydzę się niczego. Ja was poznałem z Morycem i powinniście mi być wdzięczne.

SCENA IV.

CIŻ SAMI, LOKAJ, później JAKÓB LEWI.

□ □

LOKAJ.

Jakiś pan pragnie się widzieć z panem.

WIEDEŃSKI.

Z kim.

LOKAJ.

Z panem Maurycym.

WIEDEŃSKI

Mówiłem ci, durniu, że się mówi z jaśnie panem.

MAURYCY.

To pomocnik mego adwokata, przyprowadź go tutaj. Pozwólcie, że go przeprowadzę tędy do mego gabinetu!

WIEDEŃSKI.

Ależ naturalnie!

(lokaj wychodzi. Wiedeński siada do fortepjanu i zaczyna śpiewać wyjątki z „Bettelstudenta“; szansonistka siada na fortepianie z kieliszkiem w rękę, druga na kanapie, Bernard przy niej. Gwar, śmiech, pisk).

MAURYCY.

Jeszcze będzie mnie nudził interesami!

I SZANSONISTKA.

To wyrzucić go jaknajprędzej.

MAURYCY.

Bądź pewna, iż to zrobię z przyjemnością
(wchodzi Jakób Lewi, młody człowiek, bardzo przystojny, szlachetny w ruchach i mowie).

JAKÓB LEWI

(zatrzymując się w progu).

Przepraszam, ale widzę, że przyszedłem nie w porę.

MAURYCY

(niedbale).

Cóż znowu — chodź pan bliżej. Co mi pan znów przynosi. Jeżeli pieniądze, to witam. Wiedeński, zagraj marsza.

WIEDEŃSKI.

Tureckiego?

MAURYCY.

Cóż znowu; gdybym był goły, mógłbyś grać marsza tureckiego, ale ponieważ jest przeciwnie.

JAKÓB LEWI.

Nie w sprawie pieniężnej przychodzę dziś do pana.

MAURYCY.

W jakiejże więc?

JAKÓB LEWI

(wskazując na resztę towarzystwa).

Trudno mi mówić wobec tak liczного grona, zwłaszcza tak... wesołego grona.

WIEDEŃSKI.

Czy mam grać marche funebre (zaczyna grać marsza żałobnego Chopina). Służę!

MAURYCY.

Przestań, Wiedeński, z ciebie czysta katarynka. Pozwól pan do mego gabinetu.

WIEDEŃSKI

(zrywa się od fortepjanu).

Wiecie co, moje panie, proponuję, ażebyśmy wszyscy przeszli do stołowego pokoju. Zabierajmy amunicję i zostawiamy Maurycego na pastwę syna... Temidy.

I SZANSONISTKA.

Czyjego syna?

WIEDEŃSKI.

To nie dla ciebie pisano! Chodźmy, moje panie (zbiera butelki). Wdówka z nami!

BERNARD.

Spodziewam się

(wychodzą śmiejąc się i potrącając).

SCENA V.

MAURYCY, JAKÓB LEWI.

■ ■

MAURYCY.

O cóż chodził! Tylko uprzedzam pana, że nie mam wiele czasu i że mnie tam czekają.

JAKÓB.

Niech się pan nie lęka. Konferencja nasza nie potrwa zbyt długo.

MAURYCY.

Proszę, niech pan siada! Ach, przedewszystkiem powiedz mi pan, jako prawnik, czy formalności przy zmianie nazwiska trwają długo!

JAKÓB.

Jakto, przy zmianie nazwiska? nie rozumiem.

MAURYCY.

Widzi pan, ja się chcę przezwać inaczej, bo Silbercweig to nieładnie. Chciałbym się nazwać coś z szlachecka Srebrnowski albo coś takiego. Silbercweig to strasznie żydoszczyną trąci.

JAKÓB.

Czy pan wstydzisz się tego, że jesteś żydem!

MAURYCY.

No niby tak, w kantorze to jakoś uchodziło,

ale teraz po otrzymaniu sukcesji takiej znacznej, to chciałbym odrazu zmienić skórę i nie być...

JAKÓB.

Żydem?! — to dziwne. Widzi pan, lepiej zostać panem Silbercweigiem — bo nigdy nie będziesz Srebrnowskim naprawdę a Silbercweigiem być przestaniesz. I będziesz tak wisiał jak ten Twardowski między niebem a ziemią. Od swoich pan odstaniesz a do tych drugich ciężko się panu będzie dostać.

MAURYCY.

Dlaczego ciężko? Jak ja mam pieniądze, to mi będzie bardzo łatwo. O widzi pan, ten Wiedeński to ja wiem, że to jest prosty żydek z Przemyśla, ale się otarł między ludźmi i zawsze ma przy sobie trochę pieniędzy i wszędzie go przyjmują nawet w arystokracji.

JAKÓB.

On tak opowiada a pan temu wierzy.

MAURYCY.

Jak ja nie mam wierzyć. U niego portecigares całe założone koronami hrabiowskimi i baronowskimi, co mu jego przyjaciele hrabiowie i baronowie podarowali a w kieszeniach ma pełno biletów wizytowych samych arystokratów. A przez co to wszystko! Oto dlatego, że Wiedeński miał rozum i do nazwiska dodał sobie przydomek Kolumna. Ale ja nie mogę sobie dodać ani Kolumny, ani Filaru, ani żadnego herbowego przydomka, bo

się nie nazywam na „ski“, ale na „cweig“. Do czego to będzie podobne: Filar-Silbercweig.

JAKÓB.

A ja mojego nazwiska za nic w świecie bym nie zmienił.

MAURYCY.

Jabym się przezwał Lewiński.

JAKÓB.

Dlaczego? Chodzi panu o starożytność rodu a toż ród Lewich starszy, niż wszystka herbowa szlachta, która ma swoje drzewa genealogiczne i rodowody.

MAURYCY.

Wiedeński powiedział mi, że mnie w żaden arystokratyczny dom nie wprowadzi, jeżeli się będę nazywał Silbercweig.

JAKÓB.

Mało znam pana Wiedeńskiego, ale co słyszałem o nim, nie świadczy pochlebnie o tym panu. Zresztą mniejsza z tem. Nie jestem pańskim mentorem i nie mam zamiaru kontrolować pana postępowanie, sądę jednak, że błogosławionej pamięci ciotka pana, jakkolwiek Silbercweigowa, dostatecznie wsławiła swe nazwisko przysłowiową dobrocią serca i hojnością dla nieszczęśliwych. Sam przytułek dla sierot na ulicy Gęsiej i dla kalek wystarcza, aby imię jej było błogosławione przez długie lata i przez wiele pokoleń.

MAURYCY.

Moja ciotka była filantropka i demokratka. Marnowała pieniądze i miała manję uszczęśliwiać gromady łapserdaków.

JAKÓB.

Pan nazywasz marnotrawieniem pieniędzy wybawianie od moralnej i fizycznej śmierci kilkaset istot ludzkich?

MAURYCY.

E, proszę pana, po co mojej ciotce było mieszać się w nieswoje sprawy. Gdyby nie jej filantropja, majątek, który po niej odziedziczyłem, byłby dwa razy większy. Zawdzięczam tylko nagłej jej śmierci, bez testamentu, że mogłem wreszcie wydostać się z biedy i odetchnąć trochę szerszą piersią. Ciotka mnie nie lubiła, była dla mnie skąpa i nigdy moich długów płacić nie chciała.

JAKÓB.

Pan nie byłeś w biedzie. Miałeś pensję w kantorze, która ci mogła wystarczyć na utrzymanie.

MAURYCY.

Piękne utrzymanie!

JAKÓB.

El ja mam mniejszą pensję a jednak żyję przyzwoicie i na los nie narzekam.

MAURYCY.

(nadymając się).

Bo pan masz mniejsze estetyczne wymagania.

JAKÓB.

Być może i jestem z tego zadowolony. Ale przystąpmy wreszcie do sprawy, która mnie tu sprowadza. Oto wiadomo panu, że ciotka pana od lat dwunastu zajmowała się wychowaniem młodej panienki, nazwiskiem Małka Szwarcenkopf, córki biednego żyda, utrzymującego się z ulicznej sprzedaży zapalek i papierosów.

MAURYCY.

Tak, słyszałem o tem.

JAKÓB.

Panna Szwarcenkopf ma obecnie lat osiemnaście i ukończywszy pensję w Wrocławiu, gdzie bawiła lat osiem, powraca do Warszawy. Ostatni rok pensji był opłacony z góry przez zmarłą ciotkę pana a więc panna Szwarcenkopf korzystała jeszcze z jej dobrodziejstwa ażeby skończyć pensję i otrzymać patent. Obecnie jednak musi powrócić do Warszawy i wczoraj wieczorem otrzymałem depeszę, zawiadamiającą mnie, że przybywa dziś popołudniowym pociągiem. Co pan postanowisz względem wychowanicy ciotki twojej.

MAURYCY

(zapalając cygaro).

Mój panie Lewi, dziwię się pana pytaniu. Co mnie obchodzić może ta panna Szwarcenkopfówna. Niech sobie idzie gdzie chce ze swoim dyplomem, ponieważ ja przytułku dla panien kończących pensję zakładać nie myślę.

JAKÓB
(hamując oburzenie).

Nie chodzi tu o przytułek, ale o wyznaczenie jakiejś kwoty, któraby pannie Szwarcenkopf pozwoliła dalej żyć odpowiednio do jej wychowania i wykształcenia. Prawdopodobnie ona sama znajdzie sobie jakieś zajęcie płatne, ale na razie nie można zaniedbywać jej zupełnie. Wszakże ona do ojca swego wracać nie może.

MAURYCY.

Ciekaw jestem dlaczego?

JAKÓB.

Bo stary Szwarcenkopf jest prostym żydem a pewnie Małka jest wykształcona i dystygowana panna. Jakież byłoby jej życie w otoczeniu o tyle niżej od niej stojącym.

MAURYCY.

Mnie to nic nie obchodzi, powtarzam panu raz jeszcze, że ja pieniędzy w tak szalony sposób, jak marnowała je moja ciotka, marnować nie będę.

JAKÓB.

Więc pan nic dla niej nie uczynisz?

MAURYCY.

Nie. I radzę panu, jeśli chcesz pan jechać na spotkanie tej panny Szwarcenkopfówny, to jedź pan prędko, bo pociąg przychodzi czwarta minut piętnaście a już pięć minut po czwartej.

JAKÓB.

Nie lękaj się pan, zdążę na czas, ażeby jej

smutną nowinę oznajmić. Biedne dziecko! co się z nią teraz staniel...

MAURYCY.

Nie zabraknie jej opiekunów! Żegnam pana!

JAKÓB.

Żegnam (wychodzi).

SCENA VI.

MAURYCY (sam).

■ ■

Niecznośny pedant! Tego mi brakowało, aże-
bym jakąś Małkę brał w opiekę i wydawał na
nią pieniądze. Musi być ładna ta panna
Szwarcenkopf z Nalewek. Czarna jak smoła,
z krogulczym nosem. Miałbym też na co
pieniądze marnować.

SCENA VII.

WIEDEŃSKI, MAURYCY.

■ ■

WIEDEŃSKI
(przez drzwi).

Paweł

MAURYCY.

Paweł.

WIEDEŃSKI
(wsuwając głowę).

Para czy niepara?

MAURYCY.

Niepara.

WIEDENSKI.

Przegrałeś, bo mam dwa półimperjały w kieszeni. A teraz chodź tutaj do nas. Wypiliśmy wszystko do dna, trzeba nam nowej amunicji.

MAURYCY.

Natychmiast! wypijemy jeszcze dwie butelki a potem jedziemy na wyścigi. Mam ochotę pograć w totalizatora. Opowiem wam z jaką propozycją przychodził do mnie ten pogrzebowy jegomość. Glanzowa, hej Glanzowa!

SCENA VIII.

CIŻ i GLANZOWA

(niesie dwie butelki szampańskiego wina, jest w kapeluszu).

22

GLANZOWA.

Ja wiem po co pan woła i uprzedzam pańskie życzenia. Oto są dwie ostatnie butelki. Proszę pana

(oddaje Maurycemu butelki).

MAURYCY.

Jakto dwie ostatnie?

GLANZOWA.

Bo to wino było tylko kupione podczas choroby naszej drogiej, błogosławionej pani. Doktorzy ją tylko tem poić kazali w ostatnich chwilach. My kupili więcej, nie przeczuwa-

jąc, że się tak prędko skończy. A teraz, proszę pana, oto są klucze od całego domu. Ja tu nie mam co robić a na zgorszenia, jakie się tu dzieją, spokojnem okiem patrzeć nie mogę i nie chcę. Zdałabym rachunek za to przed uczciwymi ludźmi i przed własnem sumieniem. Nie chcę, aby potem powiedziano, co stara Glanzowa spokojnie patrzyła, jak w domu jej pani działały się grzechy i złe postęпки. Jestem tylko prosta kobieta, ale wiem co jest złe a co dobre a pan Maurycy źle robi i będzie tego nieraz żałował. Ja pójdę, ale niech pan też za drzwi wygna złe doradce i bezbożne ludzie, co tylko do pańskiej kieszeni sięgają. Niech pan będzie zdrów. Niech się pan upamięta przez pamięć naszej zmarłej, bo się pan znajdzie niedługo na słomie, jak tak dalej pójdziel...

(wychodzi).

WIEDEŃSKI.

A to się baba rozgadała, ale na szczęście poszła sobie na cztery wiatry. Jutro ci się wystaram o kamerdynera.

MAURYCY.

Naturalnie, że lepiej. Chodźmy!

(wychodzą na lewo).

SCENA IX.

Chwilę scena wolna, potem wchodzi lokaj za nim Małka, młoda, ładna, wysoka dziewczyna, ubrana czarno w żałobie. Wiele wdzięku i dystynkcyi w ruchach i mowie.

■ ■

LOKAJ.

Może pani zaczeka. Ja natychmiast pana uprzedzę.

MAŁKA.

Nie, proszę pierwszej poprosić do mnie pani Glanzowej.

LOKAJ.

Zdaje mi się, że Glanzowa wyszła przed chwilą kuchennymi drzwiami, ale zobaczę.

MAŁKA

(sama).

Więc jestem znów tutaj! od przeszłorocznych wakacji nie widziałam tego drogiego domu. Mój fortepjan, moje nuty! a tu jej fotografia. Splamiona! na ziemi? o! mój Boże! droga moja! święta opiekunko, jakże smutno patrzysz na mnie z tej połamanej ramki (idzie dalej i potyka się o butelki). Co to? butelki? a ten damski kapelusz? Może to Glanzowej? ale nie! Glanzowa nie nosi tylu kwiatów i to jeszcze tak niegustownie przybranych (po chwili). Jakie dziwne wrażenie robi na mnie to mieszkanie, zdaje mi się, że jakaś horda dzikich ludzi przeszła tędy i splamiła obecnością swoją mrok i czar pamiątek. Możeby odejść? Muszę się zobaczyć z Glanzową. Pana Jakó-

ba nie było na kolei... a potem pisałam do ojca, żeby tu przyszedł.

LOKAJ.

Pani Glanzowa wyszła ale, niech panienka na nią zaczeka. Ja mówiłem już panu Maurycemu.

MAŁKA.

Na co? zaprowadź mnie do mego dawnego pokoju. Ja tam zaczekam na Glanzową i skoro tu przyjdzie stary, siwy żyd, który powie, że się nazywa Szwarcenkopf, to go zaprowadź do mnie, przynieś tam także mały kufer angielski, który zwykle stał na strychu. Chciałabym ułożyć w niego moje książki i pamiątki, jakie mi zostały po zmarłej pani.

LOKAJ.

To będzie trudno, bo w tym małym pokoiku mieszka teraz pan Wiedeński... a zresztą ot i nasz pan

(wychodzi)

SCENA X.

MAURYCY (podchmielony) MAŁKA.

22

MAURYCY

(nie patrząc na Małkę).

Panna Szwarcenkopf?

MAŁKA.

Tak jest.

MAURYCY.

Co pani sobie życzy?

(Milczenie).

MAURYCY

(wpada w złość).

Jeżeli pani sobie myśli, że ja będę tak samo postępował jak ciotka, to się pani bardzo myli. Mnie to ani w głowie... Ciotka mogła na panią wydawać setki, ale ja nie jestem marnotrawcą.

MAŁKA

(wyniośle).

Nie rozumiem pana. O co panu właściwie chodzi? Czy ja pana proszę o cokolwiek?

MAURYCY,

Na nicby się nie zdała żadna prośba... Bo ja nic dla pani nie zrobię.

MAŁKA.

Przedewszystkiem zrozum pan, że ja tu nie przyszłam prosić pana o cokolwiek. Pan Lewi miał na mnie czekać na kolei... Nie było go... Nie miałam dokąd się udać. Dom pani Silbercweigowej był dla mnie jedynym moim przytułkiem. Tutaj więc skierowałam się i to jest rzeczą zupełnie naturalną.

MAURYCY.

Ma pani ojca, córka powinna iść do ojca, to pierwsze.

MAŁKA

(hamując łzy).

Mój ojciec nie mieszka sam. Wiem, że żyje

kątem... Lękałam się, że nie będzie tam dla mnie miejsca. Mój ojciec zaraz tu po mnie przyjdzie i mnie stąd zabierze.

MAURYCY.

Bardzo dobrze zrobi (spogląda na nią, chwilę patrzy, zdziwiony). Tam do diabła! jaka ładna (nagle) niech pani usiądzie.

MAŁKA.

Dziękuję panu, ja wolę u okna ojca wyglądać.

MAURYCY

(nagle ułagodzony).

Ja pani okno otworzę.

MAŁKA.

Ja sama to uczynić potrafię (idzie do okna, opiera się o framugę i ociera łzy).

MAURYCY

(zaambarasowany).

A może pani zimno albo przeciąg?

MAŁKA.

Nie, ciepło jest i niema przeciągu.

MAURYCY

(nagle).

Może się pani czego napije?

MAŁKA.

Dziękuję panu! aż nadto dałeś mi pan uczuć że w tym domu nie mam do niczego prawa nawet do kropli wody.

MAURYCY.

Ja też nie wodą panią częstuję, ale kieli-
szkiem szampitera.

MAŁKA

(naiwnie).

Co to takiego szampiter.

MAURYCY.

To szampuś.

MAŁKA.

Zdaje mi się, że pan mówisz o szampań-
skim winie?

MAURYCY.

Tak! a lubi pani to wino?

MAŁKA.

Nigdy go nie piłam.

MAURYCY.

No to się pani z nami napije. Co tam pani
będzie płakać! Pani ma bardzo ładne oczy
i szkoda, żeby pani sobie łzami takie oczy
psuła... Ja pani słowo daję na to, że gdybym
był się pani przedtem przyjrzał, to nie był-
bym do pani tak niegrzecznie mówił. Ja my-
ślałem co pani jest brzydka i dlatego tak się
gniewałem. Ale pani jest ładna, pani jest
bardzo ładna.

MAŁKA

(przestraszona).

Proszę pana mnie przepuścić, ja stąd odejdę.

MAURYCY

(coraz pijański).

Po co pani ma odchodzić; kiedy pani już

przyszła, to niech pani zostanie. Hej Wiedeński! Panny szansoneciarki. Bernard! chodźcie popatrzcie jaka cacana panienka do nas przyszła a przynieście z sobą wino
(wchodzą: Wiedeński, dwie szansonistki, Bernard, wszyscy są pijani i znoszą butelki).

SCENA XI.

MAŁKA, MAURYCY, WIEDEŃSKI, BERNARD,
DWIE SZANSONISTKI.

□ □

MAURYCY.

Patrzcie i otwórzcie gęby.

WIEDEŃSKI.

Pas mal. Pas mal.

BERNARD.

Wcale. Wcale.

I SZANSONISTKA

(śpiewa).

Adele!

T'es belle,

T'es belle

Adele!

MAŁKA.

Boże mój! co to za ludzie! gdzie ja jestem!
Puśćcie mnie!

WIEDEŃSKI

(zastępując jej drogę).

Nie puścimy, królowo mych snów, aż po-



zwolisz nam wypić swe zdrowie z twojego trzewiczka. Widzisz, my tu pijemy od rana a ty nic jeszcze nie wypilaś? gdzie tu sprawiedliwość.

MAŁKA.

Ja pić nie będę, puśćcie mnie, ja zawołam ratunku.

MAURYCY

(zamyka okno).

Och! przedewszystkiem bez skandalu! Nie bądź pani dumna, zabaw się z nami wesoło a potem idź sobie, jeżeli wola.

MAŁKA.

Błagam pana, puść mnie zaraz!

WIEDEŃSKI.

Nie! trzeba ażeby pierwszej wypila choć jeden kieliszek.

SZANSONISTKI i BERNARD.

Tak! niech wypije choć jeden kieliszek!

(nalewają kieliszek i wciskają go gwałtem w rękę Małce, która płacze, potem Wiedeński siada do fortepjanu i gra polkę; szansonistki, Bernard, Maurycy, biorąc się za ręce, okalają Małkę i skaczą z nią, śpiewając ochryplemi głosami).

Adele! T'es belle,
T'es belle Adele!

SCENA XII.

CIŻ SAMI i JAKÓB LEWI.

■ ■

JAKÓB.

Panna Małka tutaj.

MAŁKA

(rzuca się ku niemu).

Broń mnie, panie Jakóbie!

JAKÓB.

Nikczemnicy! puśćcie to biedne dziecko

(chwytając Małkę w objęcia).

MAURYCY.

A! otóż się znalazł i czuły opiekun! Tylko jakim pozorem wdzierasz się pan do mego domu? Czy pan wiesz, że ja mogę pana pociągnąć do odpowiedzialności sądowej?

JAKÓB.

Gdybyś pan był w tej chwili trzeźwym, wypoliczkowałbym cię za twój postępek. Nie tylko, że nie umiesz uszanować pamięci zmarłej, której wszystko zawdzięczasz, ale jeszcze rozpustą swoją obrzucasz błotem czystą duszę tego dziecka, które przyszło tu pomodlić się pod dachem, pod którym umarła wasza wspólna dobrodziejka.

MAURYCY.

Naturalnie, po to tylko przysła.

JAKÓB.

Milcz nikczemny.

MAURYCY.

Bez wszelkich frazesów. Nic się tej pannie nie stało. Chcieliśmy, aby ubawiła się z nami, oto wszystko!

WIEDEŃSKI.

Naturalnie, oto wszystkol

JAKÓB.

Dla waszego towarzystwa wystarczają te damy. Od takich zaś istot, jak panna Szwarcenkopf trzymajcie się zdaleka. To wam radzę serdecznie.

MAURYCY.

Właściwie kim pan jesteś dla panny Szwarcenkopf. Brat! Ojciec? Narzeczony, czy co?

SCENA XIII.

CIŻ SAMI i STARY SZWARCENKOPF

(stary żyd w chałacie z długą brodą, nachylony, nieśmiały. Na szyi ma zawieszony blat, na którym są porozstawiane pudełka z zapalnikami).

22

MAŁKA.

Ojczel

(podchodzi powoli ku ojcu).

SZWARCENKOPF.

Ja pięknie przepraszam, co ja tak wchodzę, ale ja tu miałem zastać moją córkę Małkę — ona mnie to napisała (spozstrzega Małkę). Czy to ty Małka?

MAŁKA.

Tak, ja, ojczel

SZWARCENKOPF.

Ja pięknie państwa przepraszam. Ja nie wiedziałem córki dwa lata! Ona bardzo wyrosła

i bardzo się z niej wielka panna zrobiła. A co ty odemnie chcesz, Małka!

MAŁKA.

Ja chcę do ciebie iść, mój ojciec.

SZWARCENKOPF.

Jakto do mnie?

MAŁKA.

Przecież wiesz, że pani Silbercweig umarła nagle i ja nie mam się teraz gdzie podziąć.

SZWARCENKOPF.

Aj, aj!... co ja z tobą teraz zrobię! Ja prosty żyd a ty na hrabiątko wyglądasz. Gdzie ja cię posadzę i czym ja cię nakarmię! Aj, aj!

MAŁKA.

Trudno, mój ojciec, musisz mnie wziąć choć tymczasem...

SZWARCENKOPF.

No, no... to, to... choć tymczasem. Ja ci się o męża wystaram. Niech cię lepiej do siebie weźmie.

MAŁKA.

To już później a teraz chodźmy ztąd, mój ojciec!

JAKÓB

(do Małki).

Chcesz pani rzeczywiście iść z ojcem. Wszakże tysiące nędz materialnych i moralnych czekać cię będą w tem otoczeniu.

MAŁKA.

Wiem o tem, lecz nie spotka mnie nigdy to, co boli najwięcej; to jest obraza godności kobiecej. O! nie jestem już dzieckiem i wiem co mówię w tej chwili. Żegnam pana, panie Lewi, widzieliśmy się zaledwie kilka razy w życiu, ale zawsze byłeś pan dla mnie wyjątkowo dobrym człowiekiem. Nie zapomnę panu tego nigdy! Chodźmy, ojcze!

MAURYCY.

Bo... może ostatecznie jabym się namyslił i gdyby pani zechciała być nie tak dziką... to...

MAŁKA.

Milcz pan — teraz ja mogę panu kazać milczeć, bo ojciec mój jest przy mnie i ten mnie w razie potrzeby obroni. Chodźmy!

SZWARCENKOPF.

Dobrze, już dobrze! idziemy (wraca). A możeby panowie zapałki kupili? Zapałki fajne, dobre, zdrowe, suche, szwedzkie, tak samo jak w dystrybucjach.

MAŁKA.

Chodźmy, ojcze!

(wyciąga ojca za drzwi, za nim wychodzi Jakób).

MAURYCY

(przedrzeźniając Szwarcenkopfowi).

Zapałki zdrowe, suche!

WIEDENSKI

(idzie do fortepjanu i gra polkę).

BERNARD.

Poszła piękna Adela!

SZANSONISTKI.

Adele!

T'es belle!

MAURYCY.

Zapałkil zapałkil

(krzyk, wrzask, tańce).

Kurtyna zapada.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia bardzo mały i ciasny pokoik. W głębi drzwi, po lewej komin, dwa łóżka i kolebka a na podłodze porozrzucana pościel. Na ścianie wiszą rozmaite pstre ubrania, jedwabne kolorowe suknie i staniki, trykoty i zwyyczajne stare suknie. W kącie zwalone rozmaite rupiecie, jak: samowar, młotki, kawałki blachy, stare kapelusze, i t. d. Po prawej z firanek starych i prześcieradeł ogrodzony rodzaj namiotu, z zasłonięciem od publiczności. Za namiotem, łóżko i kupa odzieży i sprzętów. Na środku stół i kilka krzesel, każde innego kalibru. Masa śmieci na ziemi, brud, nieporządek. Przy podniesieniu zasłony stara sparaliżowana Ryfka siedzi koło komina, na ziemi bawi się czworo dzieci Jenty Tyszebuf. Na łóżku z prawej za namiotem śpi stary Szwarcenkopf. Drzwi się otwierają i wchodzi Pake Rozental. Jest to żydówka stara, tłusta, w chustce na głowie. Ma przydeptane pantofle i mówi powoli, przymykając oczy.

SCENA I.

□ □

PAKE ROZENTAL

(do dzieci).

Niema nikogo?

DZIECI.

Jest babka.

PAKE.

A, pan Szwarcenkopf? al... tak... tak ślicznie sobie przyległ na łóżku. No, niech mu będzie na zdrowie a ja sobie tu przysiędę, aby moje biedne nogi wypoczęły. Sza, bube... nie róbcie tyle hałasu. Widzicie przecie, że i babcia śpi i pan Szwarcenkopf sobie zasnął.

SZWARCENKOPF

(budząc się).

Kto tu, czy to ty, Małkie?

PAKE.

Nie, to nie wasze córeczkie, panie Szwarcenkopf, ale ja — Pake Rozental, przyszłam się dowiedzieć o waszem godnem zdrowiu i pogadać o naszym interesie.

SZWRCENKOPF

(wstając z łóżka).

I cóż tam nowego, pani Pake?

PAKE.

Wszystko jest pięknie i dobrze ułożone. Młody Jojne Firulkes godny jest kupiec, choć dopiero ma siedemnaście lat. Sklepiku połowa należy do niego na Marszałkowskiej, naprzeciw samej kolei a wiadomo, że co handel na Marszałkowskiej, to nie na naszej ulicy. Tam i klijeny hrabskie i fain zarobki, bo ludzie palą, piszą. Chodzi tylko rodzicom Jojny, żeby młodzieniec miał żonę, coby i dla sklepu i dla męża była przychylna i potrzebna.

SZWARCENKOPF.

Małka biedna i nic mieć nie będzie, Ja sam ledwo dycham i na nędzne jedzenie zarobię a tak liczę i liczę coby na szabas parę kopiejek na rybę mieć.

PAKE.

Rodzice Jojny wiedzą co Małka biedna, ale Jojna trochę głupkowaty i potem, choć piękny mężczyzna ale troszeczkę zdechławy. Więc z nim się drożyć nie będą.

SZWARCENKOPF.

Małke jest bardzo uczona. Ona u Niemców szkoły skończyła. Jej nauka kosztowała może tysiąc, może dwa tysiące a może i trzy tysiące rubli. To bardzo wielki pieniądz.

PAKE.

Stary Firułkes też wedle tego syna wam daje, bo chce żeby Małkie cały handel wzięła na siebie. Starzy będą w sklepiu na Świętojerskiej handlowali owocami i łojowemi świecami a młodym dadzą pół tabaczej ławki na Marszałkowskiej. Jojne nie może tam sam siedzieć i musi mieć przy sobie uczoną żonę.

SZWARCENKOPF.

A cóż mnie za to będzie? Jeżeli Firułkesowi z mojej Małki będzie korzyść handlowa, to mnie będzie strata.

PAKE.

Aj! aj! ty stary Szwarcenkopf chcesz mnie, Pake Rozental, w pole wyprowadzić! Co ci po córce i jaką ty masz z niej korzyść? Na

co ona tobie? ty cały interes masz w zapalkach i papierosach co ze sobą na desce nosisz i pod Eldorado wystajesz. Małka ci do tego handlu niepotrzebna a tu zawala kąty i choć conieco jej dać jeść musisz... Mieć Jojne Firulkes za zięcia to dla ciebie, Szwarcenkopf, rarytny i wielgi interes a ty, Szwarcenkopf, tylko u takiej mądrej swatce, jak Pake Rozental możesz zrobić taki geszeft. I dlatego nosem nie kręć i nie udawaj co ty chcesz, aby twoja córka siedziała u ciebie, bo sam z radości aż się trzęsiesz, że wreszcie Małka ci z głowy spadnie. Ny! ny! Pake mądra, dużo żyła, zna ludzi i niejednego ojca widziała i z nim mówiła, coby chciał niby dziecko sobie zostawić a tylko myślał, jakby zięcia sobie znaleźć.

SZWARCENKOPF.

Zawsze to dla mnie wielga strata...

PAKE.

A jak ty, Szwarcenkopf, do reszty zaniewidzisz i ogłuchniesz a już nocami nie będziesz mógł przed teatrem wystawać, to sobie na zimę do zięcia i do córki przyjdiesz pod pierzynę, koło pieca i tylko sobie siedzieć jak książkę będziesz.

SZWARCENKOPF.

To będzie kiedyś tam a nie teraz a moja strata, jak mi Małkę wezmą, będzie strata. Niech mi stary Firulkes za taką uczoną córkę choć conieco wynagrodzi.

PAKE.

Wy cieszyć się powinni, że ją w jednej sukience bierze a nie jeszcze płacić kazać.

SZWARCENKOPF.

Niech mi choć nowy chałat na ślub sprawi.

PAKE.

Ajl ajl jaki wy, Szwarcenkopf, jesteście nie-
delikatny człowiek... A co mnie swatce bę-
dzie od was, jak interes się skończy.

SZWARCENKOPF.

Ja wam już mówił.

PAKE.

Co to takie mówienie! To na wiatr mó-
wienie! Co to za pieniądze, takie marne pie-
niądze... A Małka już wie?

SZWARCENKOPF.

Niel Jak już Firułkes stary się ze mną
ugodzi, to jej powiem. A teraz, pani Pake,
idę do interesu, bo się ściemniło. Ziąb taki,
że aż mi nogi dygocą.

PAKE.

W sklepiku na Marszałkowskiej będzie cie-
pło i dobrze. Ja teraz idę do Rozentalów na
Dziką i tam ich córce też zięcia stręcę. A co
to za zięć! to książę nie zięć! u mnie wszy-
stkie takie kawalerowie na żenienie — jak
perły!...

SCENA II.

CIŻ SAMI i MAŁKA.

(Małka wchodzi ubrana w kapelusz, tak jak w pierwszym akcie, tylko ma na sobie żakietik czarny. Jest bardzo blada i mizerna. Wchodząc całuje ojca w rękę i kłania się Pake),

22 22

SZWARCENKOPF.

Dobrze, że wróciłaś. Ja idę na ulicę a przy domu dzieci i stara Ryfka.

MAŁKA

(zdejmując kapelusz).

Już dzisiaj nigdzie nie wyjdę i posiedzę w domu.

PAKE

(z przymileniem).

Panna Małka codzień piękniejsza.

MAŁKA.

Pani Pake żartuje. Wyglądam coraz gorzej.

PAKE.

Bo już smutno samej i lata przyszły, co każda panna za mężem się ogląda.

MAŁKA.

Ale nie ja, mnie myśl o mężu nawet nie przychodzi do głowy.

PAKE.

To źle! młodych i pięknych mężczyzn tyle co gwiazd na niebie a niejeden o pannie Małce myśli.

MAŁKA

(wzrusza ramionami i odwraca się do ojca).

Czy późno wrócisz, ojczy?

SZWARCENKOPF.

Nie wiem jak będzie handel szedł.

MAŁKA.

Strasznie dziś brzydka na dworze, zawierucha, śnieg... nie baw długo...

SZWARCENKOPF.

Za stancję zaległem dwa tygodnie... Gospodyni kazała przez stróża powiedzieć co mnie wyrzuca, jeżeli nie zapłacę.

MAŁKA.

Nie mamy już nic zanieść do zastawu.

SZWACENKOPF.

Nie trzeba... nie trzeba, to już na sam ostatek. Może coś utarguję. A potem niedługo się to już zmieni.

PAKE.

Tak, panno Małko, niedługo się to już zmieni.

MAŁKA.

Co będziesz jadł dziś wieczorem?

SZWARCENKOPF.

Ja? nic! Pojutrze szabas to się najem znów na tydzień... Oj! jak mnie nogi bolą! Ty Małka w domu siedz i nigdzie nie lataj! Ja nie lubię, jak ty się, Małke, po ulicach krę-

cisz. Siedź sobie w domu. A! (idzie i wraca się). A śmieci nie waż się wymiatać, słyszysz! jakbyś mi jeszcze raz śmiecie wymiotła, to ja cię nauczę! rozumiesz? Ty nie bądź mądrzejsza od twego starego ojca, bo choć ciebie tam u Niemców na książkach uczyli, to my tu więcej umiemy, żyjąc po bożemu i szanując to, co nam do szanowania od dziadów zostało.

(wychodzi, za nim Pake).

SCENA III.

MAŁKA, RYFKA, DZIECI.

■ ■

MAŁKA.

To co nam od dziadów do szanowania zostało. Ach! uduszę się w tym zaduchu moralnym i fizycznym. Gdzie spojrzę — ciemnota i brud. Dlaczego ja żyję na świecie? (idzie do namiotu i odsłania firankę tak, że widać poza nią łóżko czysto zasłane i na dwóch krzesłach położoną deskę, na niej trochę poukładanych książek, atrament, ogarek świecy w butelce. Małka siada na małym stołku i opiera głowę na rękę). I nic! nic! żadnej roboty, żadnej lekcji dostać nie mogę. Jakie to straszne!

RYFKA

(jęczy cicho).

Was—ser, was—ser!

MAŁKA
(budząc się).

Al to ta biedna paralityczka jęczy! Trzeba
iść do niej, niema rady!

RYFKA.

Was—ser.

MAŁKA
(podchodząc do niej).

Chcecie pić?

RYFKA.

Al! al! al!

MAŁKA.

Czekajcie... dam wam wody... gdzież ona?
al pusta konewka... co zrobić? co zrobić? E!
co tam, biedna kobieta cierpi bardzo, to wi-
doczne, nic dla niej zrobić nie mogę, oprócz
tej odrobiny wody (po chwili, biorąc konewkę).
Przyniosę sam!

(wychodzi i spotyka we drzwiach Kolumnę Wiedeńskiego).

SCENA IV.

CIŻ SAMI, KOLUMNA WIEDEŃSKI.

(Wiedeński stoi w kapeluszu na głowie z efroncką miną).

22

WIEDEŃSKI.

Czy tu mieszka Szwarcenkopf?

MAŁKA.

Tu. Jego niema w domu. Czego pan sobie
życzy?

WIEDENSKI.

Zdaje mi się, że to panna Szwarcenkopf?

MAŁKA.

Tak. Czy pan do nas przychodzisz w jakim interesie?

WIEDENSKI.

Przychodzę tylko do pani, do pani samej. Ojciec pani wyszedł?

MAŁKA.

Zdaje mi się, że pan wchodząc tutaj, byłeś już poinformowany o tem, że mego ojca nie ma w domu. O ile mi się zdaje, znam pana. Widuję pana często kręcącego się po naszej ulicy a w takim zaułku zjawienie się tak wspaniałego kawalera jakim pan jesteś, nie może przejść niepostrzeżenie. Przytem, o ile mnie pamięć nie zwodzi, byłeś pan u pana Silbercweiga i należałeś do tego wesołego grona, które mnie tak znieważyło w chwili, gdy szukałam u was gościnności i czasowej opieki.

WIEDENSKI.

Zechciej pani postawić tą konewkę i porzucić ton obrażonej księżnej, z którym ci wcale nie do twarzy. Pogadajmy spokojnie, jak dwoje ludzi dobrze wychowanych, którzy mają mieć wcale niezły interes do zrobienia.

MAŁKA.

Nie rozumiem, jaki może wiązać nas interes a co zaś do owej konewki, którą mi pan tak śmiesznie wymawiasz, to dowiedz się, że słu-

żyć miała do przyniesienia wody dla tej biednej paralityczki. Jeżeli więc pan chcesz mnie wyręczyć to — służę

(wciska mu w rękę konewkę).

WIEDENSKI.

Ależ... pani.

MAŁKA.

Gdy byłam u pana Silbercweiga, zmusiłeś mnie pan do wzięcia kieliszka szampana, ja zaś mogę panu wzamian ofiarować konewkę i to w dodatku pustą.

WIEDENSKI

(zły, nie wiedząc co zrobić z konewką).

Gdzież ja to mam postawić? tu wszędzie pełno śmieci.

MAŁKA.

To nie śmiecie a szczęście, czy pan sobie życzy trochę Ça vous portera bonne chance...

WIEDENSKI.

Sufiniment obligé (stawia konewkę i siada na niej). Ma foi á la geurre comme á la guerre. Siadam choć mnie pani wcale o to nie prosi. Ale schody niewygodne, przytem konferencja nasza długo potrwa.

MAŁKA.

Konferencja?

WIEDENSKI.

Tak jest. Czy pani wie, że pani jest bardzo piękną kobietą.

MAŁKA.

A więc mnie pan uważasz za kobietę.

WIEDEŃSKI.

Spodziewam się.

MAŁKA.

To dziwne. Do tej chwili bowiem wszyscy ci, którzy szanowali we mnie kobietę, rozmawiali ze mną z odkrytą głową... pan... coś...

WIEDEŃSKI

(zdejmując mimowoli kapelusz).

Jest chłodno, przytem...

MAŁKA.

Przytem jestem nędzarką, mieszkam kątem, w izbie pełnej śmieci i zaduchu. Ojciec mój w tej chwili na ulicy, obsypany śniegiem i zmarznięty, sprzedaje zapalki a więc można nie tylko mówić ze mną w kapeluszu, ale w dodatku znieważyć mnie jaką nikczemną propozycją.

WIEDEŃSKI.

Nie wiesz pani jeszcze.

MAŁKA.

Ale się domyślam. W szkole życia nie trzeba siedzieć długo, aby poznać wszystkie przywileje, przysługujące nam, biednym dziewczętom.

WIEDEŃSKI.

Jeżeli jesteście biedne, same sobie jesteście winne. Otl pani... niewiadomo dlaczego tak

strasznie obraziłaś się na nas za to, żeśmy chcieli, abyś trochę się rozruszała w naszym towarzystwie. Straciłaś pani wiele! Mogłaś podobać się Morysiowi et c'est beaucoup par le temps qui court. Podobać się Morysiowi to znaczy wydostać się z nędzy choć niema nic złego, co by na dobre nie wyszło. Moryś formalnie sobie głowę panią zawrócił i ciągle tylko o pani mówi. Enfin może pani mieć jeszcze szanse naprawienia złego, jeżeli pani zechce posłuchać mojej rady i postępować podług moich wskazówek. Cela na s'en dire, że skarb pani osiągnie z tego jakieś korzyści, ja otrzymam odpowiednie od pani podziękowanie i pewien procencik. Rozumie pani. Ale dlaczego pani milczy, czy propozycja moja podoba się pani?

MAŁKA.

Milczę, bo nic innego uczynić nie mogę. Jeżeli się uniosę gniewem, wyśmiejesz mnie pan ironicznie i kto wie obrzucisz obelgami. Nie pozostaje mi nic więcej, jak tylko milczeć i starać się nie słyszeć nawet słów pana.

WIEDENSKI.

Nie sądzę przecież, że pani masz zamiar pozostać tu na całe życie.

MAŁKA.

Życie moje może być krótsze, niż pan przypuszczasz.

WIEDENSKI.

Każdy człowiek wyobraża sobie, że nigdy

nie umrze. Pani więc tak samo powinna sobie urządzić życie na dłuższy dystans. Ja pani się przyznam, panno Małko, że ja w pani przeczuwam dużo sprytu i inteligencji, choć pani jest jeszcze bardzo młoda. Nie powinnaś pani marnować się tu w nędzy i opuszczeniu, ale starać się wydostać na wierzch i zrobić majątek. Ja pani do tego dopomogę. Jestem bardzo dobrze postawiony, w świecie, który lubi się bawić i dawno już marzyłem o znalezieniu jakiejś inteligentnej, wykształconej, rozumnej i pięknej a przede wszystkim nieznannej w Warszawie kobiety, któraby mi dopomogła w przeprowadzeniu moich planów. Wynająwszy mieszkanie odpowiednie, możemy urządzić wieczory, na których mały lancus... coś tego... sztosik.

MAŁKA

(idzie do swego kąta, zapala świecę i siada czytać książkę).

WIEDENSKI.

Pani mnie nie słucha? szkoda! Pani nie ma wcale żydowskiego typu i niktby nie poznał, że pani jest żydówką. Pani wygląda zupełnie, jak inni ludzie, jak my wszyscy.

MAŁKA.

Pan nie jesteś żydem?

WIEDENSKI.

Ja? cóż znówu! Ja jestem Kolumna Wiedeński, szlachcic z dziada pradziada. Moja rodzina stara i znana jeszcze z czasów Łokietka. Moja babka Czartoryska z domu

a jedna z Wiedeńskich, była za Manuelim księciem weneckim...

SCENA V.

CIŻ SAMI I JENTA,

(młoda jeszcze żydówka, masa odzienia różnego wisi u niej na ramieniu. Wchodzi, patrzy na Wiedeńskiego wznosi ręce i krzyczy radośnie).

22

JENTA.

Mowsze! wusy dues!

WIEDEŃSKI

(spada z konewki, podnosi się, upuszcza laskę i kapelusz).

JENTA.

Mowsze! a to fajń puryc się z ciebie zrobił, ale ja cię odrazu poznałam. Podobny jesteś do twego brata a mego łotra męża, jak dwie krople wody.

WIEDEŃSKI.

Czego ta warjotka chce odemnie?

JENTA.

Jakto, Mowsze? to ty mnie nie pamiętasz? Ja jestem Jenta Wiedeńska, twojego rodzzonego brata ślubna żona. A to jego dzieci — un sam poleciał do Ameryki, niech go kolki wezmą! Może ty, Mowsze, masz od niego jakie wiadomość. Czwoło dzieci mi zostawił i grosza nie przysyła. Chodźcie tu, kim a her, grzecznie Bernardzie! Srulek! Gołde! Chaimek, chodźcie tu przywitać wujaszka.

WIEDEŃSKI.

Moja kobieto, widocznie zwarzowaliście. Odczepcie się odemnie raz na zawsze. Ja jestem szlachcic i nigdy żydem nie byłem. A to wyborne! (Chwyta zamiast kapelusza konewkę, chce ją w zamieszaniu włożyć na głowę, woda z niej cieknie, oblewa go, kładzie kapelusz, stawia konewkę, podchodzi do Małki). Co więc mam powiedzieć Maurycemu? Czy będzie pani dla niego okrutną. On jest gotów nawet panią przeprosić.

MAŁKA.

Niech Mowsza lepiej już stąd idzie, bo się znów jaka nowa szwagrowa znajdzie.

WIEDEŃSKI.

Quelle blague! odchodzę, ale niech się pani namyśli (odchodzi, potrąca jednego z bachorów) ach! pardon! mille, pardon!

(wychodzi).

SCENA VI.

CIŻ SAMI, oprócz Wiedeńskiego.

22

JENTA.

Żeby tak zdrowa była, że to Mowsza, ale co tam, on teraz pan, to się do nas nędzarzy i przyznać nie chcę... Cicho dzieci, cicho dzieci! przyniosłam wam po obarzanku. Aj! aj! Chaimku, jaki ty łakomy, ty nie bierz ciasteczki twojej siostrzyczce (do Ryfki). Co mama? Śpi mama, nie? Chce mame trochę

mleka? Przyniosę zaraz. Zarobiłam dziś, aż dwadzieścia siedem kopiejek na starej lampie i dwie pary kamaszy co je kupiłam. A panna Małke znów czyta! oczy sobie pannenka popsuje.

MAŁKA.

Nie, moja pocziwa Jenta, ja przywykłam wieczorami czytać.

JENTA.

Tak! ale panna Małka czytała inaczej przy lampie jasnej i dużej, nie tak jak tutaj świeczka pstryk, pstryk (zbliża się powoli). Panna Małka smutna?

MAŁKA.

Niewesoła.

JENTA.

Ja to rozumiem! My głupie biedne żydki a panna Małka uczona panna.

MAŁKA.

Moja Jento, ty ze swoją nieuczonością jesteś więcej warta odemnie. Ty ciężko pracujesz cały dzień i zarabiasz na chleb dla swojej matki i czworga dzieci a ja, co? Szukam roboty i znaleźć nie mogę.

JENTA.

Do jakiej roboty takie delikatne dziecko, jak panna Małka, sposobne? Panna Małka edukację dostała i powinna sobie tylko na kanapie siedzieć, miód ze szklaneczki popijać i chałę jeść. Ny? nic? Takie jak ja proste żydowice to mogę latać za starzyzną po

piętrach i staremi kamaszami targować. Ja pannie Małce co powiem. Ja po rozmaitych domach chodzę. I po bogatych i po biednych i po żydach i po aktorkach. Ja mam stałe kundmanki, co u nich stare suknie kupuję. Ja pannie Małce co powiem. Ja nigdzie takiej panny prostej i ładnej jak panna nie widziałam. Aj! aj! jak to żal, że taki złocony ptak siedzi w takiej dziurze! Aj! aj!

MAŁKA.

Co robić, moja Jento! muru głową się nie przebije.

JENTA.

I jeszcze coś pannie Małce powiem. Stary Szwarcenkopf nie darmo tu wpuszcza Pake Rozental. Panna Małka nie wie, że Pake to najślawniejsza swatka na całą Gęsią, Nalewki, Frańciszkąską, ona i na Długą zagłada. Ona pannie Małce męża stręczy.

MAŁKA

(z przestraczem).

Męża? mnie?

JENTA.

Ona tam musi mieć jakiego, z przeproszeniem, koszlawego żydka, co go nikt nie chce i stręczy go dla panny Małki. Ja nawet cośnecoś słyszałam, on się nazywa Jojne Firułkes, syn starego Firułkes i ma tabaczny pół-sklepik na Marszałkowskiej. On jest mały, kulawy i ma tylko wielgie, bardzo wielgie oczy.

MAŁKA.

Ależ mnie ojciec nic o tem nie mówił.

JENTA

(kiwając głową).

Panna Małka nie zna naszych zwyczajów. U nas nikt się młodych nie pyta o to. Jak interes będzie ubity, pannie Małce pan Schwarzenkopf powie. Mnie także nikt nie pytał, czy ja chcę za Wiedeńskiego iść. Ot, ułożyli i wydali. Ja miałam siedemnaście lat, on osiemnaście, my byli dwoje osłów, ale u nas taki już zwyczaj. Swatki i rodzice wszystko ułożą. Pannę Małkę tak samo do ślubu powiodą. I to już tak od wieków. Moją matkę tak samo wydali... i moją córkę tak samo się wydał. To już jest taki zwyczaj. Ja pójdę po mleko! (bierze garnuszek i odwraca się do dzieci). A będziecie tutaj grzeczne, mama zaraz wróci, oj! jak mnie nogi bolą!... jak mnie nogi bolą!...

SCENA VII.

RYFKA, DZIECI, MAŁKA.

□ □

MAŁKA.

Czy to możliwe co ona mówiła! Mogliby wydać mnie za mąż? Wydać mnie! Czy władza ojca jest tak bardzo nieograniczona? Ależ to rzecz poprostu niemożliwa. Wszakże i ja mam duszę, własną wolę i mogę powiedzieć „nie chcę“. Co za nędza! Co za straszna moralna nędza!

(Jenta wraca z mlekiem, idzie do komina, odlewa trochę w garnuszek i niesie Małce).

JENTA
(nieśmiało).

Niech się panna Małke trochę mleka napiję... panna Małka nic od rana nie jadła.

MAŁKA
(płacząc).

Dziękuję, moja pocziwa Jentol

JENTA.

Niech panienka nie płacze, bo mnie zaraz aż mgli z żałości, jak cudze łzy widzę. Ja tyle już płakałam jak mnie ten łotr mąż ostawił i do tej Ameryki powędrował, że to cud, że mi jeszcze oczy łzy nie wyżały. Jest bo na świecie więcej nieszczęścia, niż szczęścia. Aj! aj!

(idzie do komina, chwila milczenia, potem słyhać cichy śpiew żydowskich dzieci za sceną).

JENTA
(do dzieci).

Cyt! słuchajcie! jak się to dzieci w chederze na dole śpiewać ładnie uczą.

SCENA VIII.

CIŻ SAM i JAKÓB LEWI.

■ ■

JAKÓB.

Czy zastałem pannę Szwarcenkopf w domu?

JENTA.

Panna Małka tam w swoim kąciku siedzi. Niech pan do niej podejdzie, bo ona bardzo smutna i płacze! Pan dobrze zrobił, że pan dziś tu zajrzał...

JAKÓB.

Śnieg sypie nie na żarty. Chciałem przyjść wcześniej, ale sanek nie mogłem znaleźć.

JENTA.

Dobrze, że i pan tak przyszedł. A mamcia zdrowa? A ojciec? a panna Flora? Ja ją dziś widziałam, bo ja byłam u państwa Schranne, za interesem i widziałam pannę Florę przez drzwi. To bardzo godna panienka. A kiedy wesele?

JAKÓB.

Nie wiem, moja Jento! (podechodzi do Małki, która siedziała w swoim namiocie, z głową ukrytą w rękach). Dobry wieczór, panno Małko!

MAŁKA

(radośnie, podnosząc głowę).

A, to pan, panie Jakóbie!

(podaje mu obie ręce).

JAKÓB.

Czy pani na mnie czekała?

MAŁKA.

Jeżeli chcesz pan, bym była szczerą, to powiem ci: tak!

JAKÓB.

I byłaś pewną, że przyjdę?

MAŁKA.

Byłam pewną, że pan przyjdiesz
(podczas tej rozmowy Jenta powoli układa do snu matkę
i dzieci),

JAKÓB.

Co pani robiłaś dzisiaj dzień cały?

MAŁKA.

To, co zawsze. Biegałam po mieście za
lekcjami.

JAKÓB.

Czy pani co znalazłaś?

MAŁKA.

Nic! Patent mój z Wrocławia nie daje mi
prawa uczenia w Warszawie. Nie wiem sama,
co począć. Byłam już w dwóch magazynach.
Ale widząc mnie przyzwoicie ubraną i mówiącą
poprawnie, godzono się na przyjęcie
mnie na praktykę, ale za opłatą z mej strony.
Wychodziłam, mówiąc, że się namysłem.
Widzi pan, jak we mnie jest jeszcze dużo
fałszywej próżności. Wstyd mi było przyznać
się, że jestem głodna i gotowa jestem za parę
groszy cały dzień nawłóczyć igły i chodzić
na posyłki.

JAKÓB.

Ciągle myślę o pani i pragnąłbym wynaleźć
dla ciebie jakieś odpowiednie zatrudnienie.
Lecz i ja wszędzie, dokąd się udam,
spotykam się z odmową. Chwilami już tracę
zupełnie nadzieję!

MAŁKA.

Ja ją już dawno straciłam!

JAKÓB.

Jednakże tak jak jest pozostać nie może. Pani nie możesz tu konać w tem otoczeniu! w takiej zabójczej dla twojej duszy atmosferze.

MAŁKA.

Wszyscy mi to powtarzacie, zacząwszy od tej pocziwej Jenty, ale kto zdoła mnie z tego nieszczęścia wyrwać i wyciągnąć. A przecież nie ja, nie moja wina i błąd wpędziły mnie w to straszne koło, z którego niema dla mnie wyjścia. Nauka, światło, otworzyły przedemną szerokie widnokregi, Wydobyto mnie z cuchnącej piwnicy przesądów i pozwolono odetchnąć szeroką piersią, aż nagle wtedy, gdy zaledwie zaczęłam kosztować owoców przygotowawczej mej pracy... zostałam zepchniętą w czerń, z której wyszłam. O! panie Lewi! gdybyś pan wiedział, jak ja bardzo cierpię. Przedewszystkiem cierpię podwójnie bo czuję, że ci wszyscy ludzie są dobrzy, pocziwi, że mój ojciec ma prawo wymagać odemnie posłuszeństwa i szacunku a ja nic im dać nie jestem w stanie. Nawet miłości, nawet przywiązania. Czuję się z nimi bardzo nieszczęśliwą i nie mam odwagi żyć już dłużej

(płacze).

JAKÓB
(wzruszony).

Panno Małko! w smutku twoim osłodą i pociechą powinna być myśl, że choć zdaleka czuwa nad tobą serce przyjaciela.

MAŁKA.

Zdaleka!

JAKÓB
(biorąc ją za rękę).

Niemniej jednak gorąco i serdecznie... Kto wie, co przyszłość dla ciebie ukrywa. Czy pani sądzisz, że my wszyscy jesteśmy wolni od trosk i goryczy. Gdybyś знаła moje...

MAŁKA.

Pan masz zmartwienia?

JAKÓB.

Ciężkie, wielkie zmartwienie, panno Małko! Przed tobą jeszcze życie całe, ja zaś mam życie już zamknięte i związane na zawsze.

MAŁKA.

Powiedz mi pan, jakie jest to zmartwienie.

JAKÓB.

Nie teraz i nie dzisiaj. Dowiesz się o tem może niedługo i pamiętaj, że to, co wydawać się może dla innych szczęściem, dla mnie jest teraz smutkiem i goryczą (śpiew dzieci za oknem). Jak smutno brzmią, te dziecinne głosy, które płaczą nad utratą ziemi obiecanej!

MAŁKA.

Czyż i w sercu pana pieśń ta oddźwięk znajduje?

JAKÓB.

Dziś więcej, niż kiedykolwiek. I moje serce płacze na myśl, że nigdy nie będzie szczęśliwe i spokojne

(słuchają oboje w milczeniu śpiewu dzieci. Świeca zgasła, przez okno znajdujące się nad łóżkiem Małki oświeca ich promień księżycy).

JAKÓB

(biorąc rękę Małki).

Pani płacze?

MAŁKA.

Tak, przed panem łez moich się nie wstydzę.

JAKÓB.

Dlaczego przedemną? Czy masz pani do mnie zaufanie?

MAŁKA.

Mam więcej, niż zaufanie... ja w pana wierzę ślepo i zupełnie. I zdaję mi się, że gdybyś mi powiedział „umrzej“ — umarłabym natychmiast. I w tej chwili płakałam nie nad sobą, ale nad smutkiem i nieszczęściem pana.

JAKÓB

(namiętnie).

Ty moje ukochane i dobre dziecko! jakżeś ty mi drogą! jakżeś ty mi drogą! (hamując się). Gdybyś wiedziała ile mam dla ciebie przyjaźni.

MAŁKA.

Powiedziałeś mi pan, że jestem ci bardzo drogą.

JAKÓB.

O tak! bo jesteś tak jak ja smutną i nieszczęśliwą! Bądź zdrowa Małko!

MAŁKA.

Już pan odchodzisz?

JAKÓB.

Już późno. Iść muszę.

MAŁKA

A prawda, dopiero teraz dostrzegłam, że masz pan na sobie strój balowy. Pan idziesz na bal?

JAKÓB.

Tak.

MAŁKA.

Baw się dobrze... Idź pan na bal i baw się wesoło!

JAKÓB

(chwytając ją za rękę).

Powiedziałem ci już raz, że jestem nieszczęśliwy i słowa tak łatwo nie zmieniam. Wyszedszy stąd, będę jeszcze sto razy smutniejszy i bardziej zgnębiony...

MAŁKA.

Czy nie można zaradzić twojemu nieszczęściu? Czy... ja...

JAKÓB.

Ty Małko mniej, niż ktokolwiek. Bądź zdrowa!

MAŁKA.

Kiedy pan przyjdiesz znowu?

JAKÓB.

Dla mnie i dla ciebie lepiej będzie, ażebyśmy się więcej nigdy nie widzieli.

MAŁKA

(blednąc ze wzruszenia).

Więc to pożegnanie?

JAKÓB.

Tak, Małko!

MAŁKA

(z wysiłkiem).

Niech pana Bóg prowadził!

JAKÓB.

Dziękuję ci, Małko.

(Gdy już jest w progu, zwraca się nagle, jakby się chciał rzucić się ku Małce, lecz po namyśle wychodzi szybko, zamykając drzwi).

MAŁKA

(Stoi jak skamieniała, poczem wybucha płaczem i upada na kolana przy łóżku).

Nie kocha mnie! nie kocha! O ja szalona! szalona! szalona!

(płacze).

JENTA

(zbliża się powoli ku Małce).

Panno Małko! panno Małko! co to? czego pani płacze? niech pani się opamięta! Któż widział. Aj! aj! taka śliczna panna i tak sobie oczy psuje!

MAŁKA

(wijąc się z bólu).

O moja Jento! dla mnie już się wszystko skończyło!

JENTA.

Dlaczego?

MAŁKA.

Ja ci nie mogę powiedzieć! ale gdybyś ty wiedziała!

JENTA.

Ja wiem, ja wiem, ja patrzyłam dobrze, jak ten pan Lewi tu przychodził i od razu zmiarkowałam, że on pannie Małce serduszko zabrał. Ale ja też wiedziałam, że to się na nic nie zda i że on tak na próżno chodzi, bo jest już zaręczony i to z panną bogatą, co mu rodzice oddawna wynaleźli i przeznaczyli.

MAŁKA

(porywając się).

On? zaręczony?

JENTA.

A jakże! ja jeszcze dziś u rodziców jego panny byłam. Nazywają się Schranne i są bogaci ludzie... Dają za córkę najmniej dziesięć tysięcy i wyprawę. Ja dziś od tej panienci dwie pary bucików kupiłam. Ona ma trochę duże nogi. Ja z niej buciki żydkom naszym sprzedam, to będą mieli fain paradę.

MAŁKA

(do siebie).

Teraz wszystko rozumiem! Wiem co zna-

czyły jego słowa! A jednak tamtych więzów zerwać nie miał odwagi i wołał mnie pożegnać i pozostawić z sercem zakrwawionem.

JENTA.

Ja wołałam pannie Małce całą prawdę powiedzieć, bo po co sobie panna Małka ma nim głowę zawracać. U nich dziś bal i on tam do nich poszedł. Będzie tańcować z nią całą noc. A jakie majonezy tam kucharka robiła! aj! aj! Wielgie jak kamienice a całe żółte! Będzie tam bal!

MAŁKA.

Tak, będzie bal!

JENTA.

Niech się panna Małka spać położy, bo późno już. Ja idę spać. Trzeba do dnia wstać i pójść na Gęsią, zanieść ten samowar co mi go jeden żydek do sprzedania dał. Samowar kradziony, ale Jenta musi oczy zamknąć, bo dzieci czworo i matka chora, to zarobić trzeba!...

(idzie stękając do swego kąta i kładzie się spać).

MAŁKA

(sama siedzi na łóżku).

On teraz na balu... zaręczony! Dlaczego mi tego odrazu nie powiedział! Zdaje mi się, że mnie żywcem w grób zamurowano! Straciłam wolę, samowiedzę, chęć do życia — wszystko! I gdy pomyślę, że tu żyć mam jeszcze lata całe! O! co za męczarnie!

SCENA IX.
CIŻ i SZWARCENKOPF.

□ □

SZWARCENKOPF.

Zmarzłem strasznie! hu! hu! ręce mi zgra-
biały! Małka! Małka! a gdzie ty?

MAŁKA.

Jestem tu, mój ojczel!

SZWARCENKOPF.

Nie masz kawałka świeczki, zapal — a tu
masz pomarańczę. Dał mi ją Maurycy Silber-
cweig i powiedział: weź to dla twojej córki.
(Małka bierze pomarańczę i kładzie w kołysce dziecka
Jenty). Pan Maurycy wychodził dziś z teatru
i był bardzo wesoły... Aj! aj! mało utargo-
wałem... śnieg sypał, nikt nie chciał się za-
trzymać kupić papierosów! (zdejmuje z szyi swoje
pudełko, idzie do pieca). Zimny piec! Jenta nie
paliła!

MAŁKA.

Nie, widocznie nie miała pieniędzy.

SZWARCENKOPF.

Żeby moje wrogi miały takie życie, jakie
ja mam! Na stare lata ponieważ i grosza
się dorobić nie mogę.

MAŁKA.

Tak — i ja ci jeszcze spadłam na kark
i siedzę zamiast dopomódz ci, ojczel mój biedny.

SZWARCENKOPF.

Będiesz mi mogła dopomódz, gdy zechcesz.

Mam dla ciebie dobrą nowinę, radosną nowinę, aż skikać zaczniesz, jak się o niej dowiesz.

MAŁKA.

Za mąż mnie chcesz wydać, mój ojczel!

SZWARCENKOPF.

A ty zkąd wiesz o tem, Małka?

MAŁKA

(gorączkowo).

Mniejsza z tem, jeżeli sądzisz, że moje zamążpójście może być dla ciebie pomocą, to owszem, zgadzam się, pójdę zamaż.

SZWARCENKOPF.

Małka! ty jesteś pocziwe dziecko!

MAŁKA.

Tylko niech się to wszystko prędko stanie, mój ojczel, może mi sił zabraknąć, albo może się pan młody cofnąć! Cóż! jeśli dobry interes, to trzeba go prędko skończyć, prawda, mój ojczel!

SZWARCENKOPF.

Prawda, ale ty, Małko, cała się trzęsiesz... ty jesteś chora, co ci jest?

MAŁKA.

Mnie? nic? tak sobie! zimno mi! O!

(nagle usuwa się zemdłona na ziemię).

SZWARCENKOPF.

Małka! nie żyje? Jenta! Jenta! Ryfke! Małka nie żyje!

JENTA

(porywa się z łóżka).

Aj waj! co jej? (biegnie do Małki). Nic! ona tylko tak sobie omdlała. To takie pańskie delikatne choroby!

Kurtyna zapada.

AKT TRZECI.

Ten sam pokój co w poprzednim akcie, tylko czyściejszy i porządniejszy. Na stołach, na piecu przylepione łożówki. Wszędzie ogarki świec w butelkach, nawet na ziemi. Namiocik Małki uprzątnięto. Pod piecem Ryfka ubrana czysto. Dzieci Jenty poodziewane w rozmaite pstre ubrania teatralne ale zbyt duże. Jenta kończy ubierać Ryfkę i narzuca jej na plecy burnus beduina.

SCENA I.

RYFKA, JENTA, DZIECI później SZWARCENKOPF.

2 2

JENTA

(przyśpiewując)

Hajde, łajde mame, tate,
Djabeł skacze na łopate,
Sam a szwarce jurl

Niech się mama nie rusza i siedzi pięknie i spokojnie, bo mama wygląda jak jaka księżna albo hrabina na tronie. Trejne, ty szlechtes Kind, nie rozdzieraj sukienki... To jest piękne balowe sukienkie, co sobie bogata pani w niej na balu tańczy a mama ci pożyczyła na dzisiejszy furszpil, żebyś sobie mogła z pannienkami koło panny młodej potańcować (stukanie do drzwi). Kto tam?

SZWARCENKOPF
(ubrany odświętnie).

Można jeszcze wejść.

JENTA.

Można, można! Dziewczęta zejdą się za jaką godzinę, furszpil zacznie się za dwie. Aj! aj, jacy wy dzisiaj, Szwarcenkopf, jesteście ubrani! nyl nyl! do szluby nie mieliście takiego chałata.

SZWARCENKOPF
(uradowany).

Bardzo śliczny chałat! Stary Firulkes dotrzymał słowa, bo jest godny, rzetelny i akuratny człowiek. A gdzie prezenty?

JENTA.

Schowałam do kieszeni Małki. Niema ani szafy, jeszcze zginie.

SZWARCENKOPF.

Przy spisywaniu trzeba będzie prezenty pokazać.

JENTA.

To się pokaże. Prezenty godne i wspaniałe. Broszka i kolczyki i pierścioneł z zielonym kamieniem, co wart może ze siedem rubli, żebym taka zdrowa była. Panna Małka będzie kontenta.

SZWARCENKOPF.

Doczekałem się z niej pociechy a gdzie ona poszła?

JENTA.

Nie wiem! Smutna była całe rano, potem ubrała się i poszła...

SZWARCENKOPF.

To taka panińska wstydlivość Smuci się a raduje, że męża będzie miała.

JENTA.

Ciekawa jestem widzieć tego Jojna!

SZWARCENKOPF.

Wczoraj Gabite uzbierał już na ślub dwieście rubli! Mnie żydki tutejsze cenią, choć ja uliczny handlarz jestem. Każdy chętnie dawał, abym miał za co Małkę za Jojne wyprawić. Ja jej z tych dwustu rubli na tuchim zapisze w dokument sto rubli a Pake Rozental prawny procent piąty dam za swatostwo. Resztę na wesele i na ubranie Małki wydać trzeba.

JENTA.

A teraz idźcie już, bo dziewczęta skikać będą. Poczekajcie, aż pan młody z marszeli-kiem i somsiady przyjdzie ze swojego scheinem.

SZWARCENKOPF.

Dobrze już, dobrze. Ja razem z niemi tu wejdę.

JENTA.

Dobrze!

(Szwarcenkopf wychodzi).

SCENA II.

RYFKA, JENTA, później WIEDEŃSKI I MAURYCY.

■ ■

JENTA

(chodzi z kąta w kąt, zapalając świece i poprawiając je).

Ściemniło się. Trzeba pozapalać świeczki. Aj! aj! jakie to piękne, aż mi się mój własny furszpil przypomniał. A ten łotr Wiedeński niech go kolki zduszą. Żeby on tak był szczęśliwy, jak moje własne wrogi. Aj! aj! (pukanie). Czego się stuczyć? wejść odrazu! Kto tam?

WIEDEŃSKI

(staje na progu).

To ja, Kolumna!

JENTA.

Aj! aj! co ja widzę! Mowsz? To ty, Mowsze? teraz się nazywasz Kolumna? Jak to można, to się tak słupy nazywają, nie ludzie.

WIEDEŃSKI

(ostro).

Moja kobieto, głupia jesteś! nie znam cię i nie znałem nigdy, rozumiesz? co? (przystępując do niej i grożąc jej kijem). Jeżeli nie przestaniesz mnie nazywać Mowszem i wmawiać we mnie, że jesteś moją krewną, to ja na ciebie sąd pozwę, do kryminału cię wsadzę.

JENTA

(prerażona).

Ja bardzo pięknie jaśnie wielmożnego pana Mow... to jest pana przepraszam, mnie się

tak zdawało, że jaśnie wielmożny pan to był dawniej łapserdak Mowsze, co to my go Tyszebuf na Krochmalnej przewali.

WIEDENSKI
(wściekły).

Ja? Tyszebuf? słyszał kto co podobnego? (zapominając się) a harst man a jetwa a głupia? a (zaczyna mówić po żydowsku i nagle opamiętując się zmienia ton i kończy po francusku). Je vous ai dit — comprendre?

JENTA.

A jakto jaśnie wielmożny pan ładnie, to po żydowsku powiedział: „hirst mana jetwa a głupia“.

SCENA III.

CIŻ SAMI i MAURYCZY SILBERCWEIG.

■ ■

MAURYCZY
(wsuwając głowę przez drzwi).

Czy można?

WIEDENSKI.

Chodź! chodź!

JENTA.

Ja panów pięknie przepraszam, ale tu mężczyznom jeszcze nie wolno, bo ten furzpiler przed ślubem, to musi się zacząć od tańców samych panien a dopiero później młody ze swojemi kolegami tu przyjdzie.

MAURYCZY.

Właśnie ja tu przychodzę dlatego, ażeby ten młody tu nie przyszedł.

JENTA.

Za pozwoleniem pana, dlaczego Jojna Firulkes nie ma tu przyjść.

MAURYCY.

Nie będę wam o moich planach opowiadał. Gdzie panna Małka?

JENTA.

Ona sobie wyszła.

MAURYCY.

A kiedy ona wrócił

JENTA.

Ona już sobie wrócił

MAURYCY.

Ale kiedy!

WIEDEŃSKI.

Nie gadaj z nią — to idjotka.

JENTA.

Żeby tak szczęście do handlu miała jak ja mam zdrowy i czysty rozum. Aj! ty Mow... nie, ty jaśnie wielmożny panie bardzo prędki w gębie jesteś. Żebyś tak dla biednych krewnych miał prędką do pomocy rękę.

WIEDEŃSKI.

Cicho bądź, nie odzywaj się do nas.

JENTA.

Ja pójdę popatrzę, czy Małka nie nadchodzi.

WIEDEŃSKI.

Po co my właściwie tu przyszli? Kazałeś

mi się tak gwałtownie ubierać, siadać w do-
rozkę i jechać za sobą. Teraz mów, nadal
nie mam odwagi wejść a raczej wdrapać się
po tych brudnych schodach do tej jeszcze
brudniejszej nory i wysyłasz mnie jako awan-
gardę. Przyznam ci się que c'est trop fort.

MAURYCY.

Szczęściem, że nie przybyliśmy za późno.
Na dole odpowiedziały mi żydówki, że w dzi-
siejszy szabes odbędzie się zwykła zabawa
u panny młodej a ślub będzie dopiero we
wtorek.

WIEDENSKI.

A gdybyśmy się nawet spóźnili, cóż wiel-
kiegoby się stało! Panna Małka Szwarcen-
kopf zostałaaby panią Jojne Firułkes!

MAURYCY.

Przyznam ci się, że jakkolwiek nie mam
zbyt czułego sumienia, to przecież nie mo-
głem poprostu spać spokojnie na myśl, że
ta śliczna i dystygowana dziewczyna ma
z mojej winy zostać żoną jakiegoś ordynarne-
go i głupiego żydka.

WIEDENSKI.

Z twojej winy? Ja tu twojej winy nie wi-
dę. Mnie się zdaje, że to pani Glanzowa
w głowie ci przewróciła a piękne oczy i zgrab-
na figurka Małki dokazały reszty.

MAURYCY.

Być może, Glanzowa przedstawiła mi po

kobiecemu fatalne położenie Małki a ja zacząłem powoli pojmować, że dziewczyna wykształcona i wychowana inaczej, nie może wytrzymać w podobnem, jak tu otoczeniu. Byłbym może jeszcze sprawę na później odłożył, ale dowiedziałem się o jej ślubie i sądzę, że obowiązkiem moim...

WIEDENSKI.

Sądzę, że obowiązkiem twoim jest usunąć pana Jojne Firułkes z kandydatury męża i na to miejsce postawić swoją kandydaturę, jako kochanka.

MAURYCY.

Nie, Maksie, ja tak nie myślę. Nie mam innych zamiarów względem tej dziewczyny jak tylko polepszyć jej sytuację i nie pozwolić jej zostać panią Jojne Firułkes.

WIEDENSKI

(ironicznie).

A więc czysto humanitarne względy kierują twoimi krokami.

MAURYCY.

Gdybym ci nawet mógł wytłómaczyć co mną w tej chwili kieruje, byłaby to próżna praca, gdyż z pewnością byś tego nie zrozumiał. Dowiedz się jednak i zanotuj to sobie w pamięci. Nie przyszliśmy tu bynajmniej po to, aby tą dziewczynkę ponownie obrazić. Przeciwnie, chciałbym, aby mi darowała, moją winę i zechciała zrozumieć, że działałem wtedy jak głupi szaleniec pijany i niepoczy-

talny. Proszę cię więc, Maksie, schowaj twą ironię na jakąś inną okazję, to jest gdy przyjedziemy do jakiej Florci albo Malci a tu zachowaj się tak, jakbyś się zachował wobec siostry twojej.

WIEDEŃSKI.

Moryś! Moryś! ja ciebie nie poznaję! Od paru tygodni pić nie chcesz, nie przegrałeś do mnie ani jednej setki... coś się z tobą dzieje. Czy ty się Moryś czasem w tej Małce nie kochasz. Jeżeli to jest tak, to ja kłaniam i ulatniam się w inne sfery. Fantazjom twoim dogadzać mogę, ale szaleństwu jamais.

MAURYCY.

Nie kocham się w tej Małce, możesz być przekonany. Z początku sądziłem, że mi ulegnie i chętnie straciłbym na nią trochę pieniędzy. Ale dziś ja mam dla niej zupełnie inne uczucie i wolę ci o niem nie mówić.

SCENA V.

CIŻ SAMI, MAŁKA, RÓZIA, JENTA.

(Małka w białej sukni, na której ma długi płaszcz, Rózia, młoda dziewczyna ubrana wytwornie w spacerowym kostjumie).

□ □

JENTA.

Oto są ci panowie!

MAŁKA

(do Jenty).

Czego oni chcą odemnie?

JENTA.

Nie wiem. Ale wygląda tak, jakby nie chcieli, żeby panna Małka za mąż za Jojne szła.

MAŁKA.

Co też Jenta mówi.

JENTA.

Jak żywa jestem!

MAŁKA

(do Rózi),

Moja droga Róziu, pozwól, że przede wszystkim tych panów stąd oddalę. Są to nieproszeni goście i należy, aby stąd jaknajśpieszniej wyszli.

RÓZIA.

Proszę cię, moja droga, nie rób sobie ze mną najmniejszej subjekcji. Sama uparłam się, żeby ci towarzyszyć aż do twojego mieszkania. Nie chcę cię krępować w niczem i dlatego odchodzę.

MAŁKA.

Cóż znowu, proszę cię, zostań. Ja przed tobą nie mam tajemnic.

MAURYCY

(do Wiedeńskiego).

Proszę cię, odsuń się, pozwól mi z nią porozmawiać sam na sam.

WIEDEŃSKI.

Dlaczego więc mnie tu przywlokłeś? Spójrz lepiej na tamtą drugą. Jaka śliczna dziewczyna.

MAURYCY

(patrzac z zachwytem na Rózię).

Prawda, jak obrazek! Ale teraz mam tu co innego do załatwienia... To dziwne, czuję się onieśmielony.

MAŁKA

(zbliża się).

Panowie życzą sobie ze mną mówić. Mogę być tylko zdziwioną, widząc tu ich u siebie, ale sądzę, że jakiś nadzwyczajny wypadek skłonił was do przyjscia aż tutaj. Zapominam chwilowo o...

MAURYCY.

Nie chwilowo, ale zapomnij pani zupełnie! W tej właśnie sprawie przychodzę do pani.

MAŁKA.

W tej sprawie? Panie Silbercweig czy to nowa chęć obrażenia mnie? Pamiętaj pan jednak, że tam byłam u ciebie bezbronna i otoczona, obecnie tu jestem w moim domu i jakkolwiek ten dom jest tylko jamą, dającą schronienie kilku rodzinom, to przecież zawsze jest mój dach, mój dom, moje „u siebie“ i w nim znieważać się nie pozwolę.

(Rózia zbliża się i staje obok Małki).

MAURYCY.

Srogo się pani zemną obchodzisz, znoszę to

z poddaniem, bo czuję, że zawiniłem względem ciebie. Wina moja nie była jednak tak wielka — było w niej dużo pustoty i lekko-myślności. Był to żart.

MAŁKA.

Żart ten natychmiast otworzył mi oczy i dał mi jasno poznać, jakie jest obecnie moje stanowisko w społeczeństwie. Zresztą nie mówmy o tem. Z czem pan właściwie przyszedłeś do mnie?

MAURYCY.

Jakkolwiek zapytanie pani zastaje mnie przygotowanym, jednakże waham się z odpowiedzią.

MAŁKA.

Jeżeli ma być obraźliwą dla mnie, zaniechaj jej pan, proszę.

RÓZIA

(do Małki po cichu).

Nie bądź dla niego tak nielitościwą. To bardzo miły i ładny chłopiec.

MAŁKA

(do Rózi).

Jakie z ciebie dziecko!

MAURYCY.

Mówiono mi, że pani idzie za mąż?

MAŁKA.

Tak jest, zaręczyny moje są dzisiaj. We wtorek odbędzie się mój ślub.

MAURYCY.

Ślub ten odbyć się nie może.

MAŁKA.

Ślub ten odbyć się musi.

MAURYCY.

Ja potrafię temu zapobiedz.

MAŁKA.

W jaki sposób?

MAURYCY.

Posłuchaj mnie pani chwilkę, tylko bez gniewu i uniesienia. Wychowaniem twojem zajmowała się moja ciotka, ona to, gdy byłaś jeszcze dzieckiem a więc nie mającą swojej woli, zabrała cię ztąd i kształciła, kierując inaczej twoją przyszłością. Po jej śmierci ten... obowiązek spada na mnie... a więc ja nie chcę, nie mogę pozwolić ażebyś ty... zgniła w nędzy pomiędzy zacofaniem, brudem i ciemnotą... Panno Małko, niech pani nie myśli, że ja jestem zupełnie złym człowiekiem... ja...

WIEDENSKI

(który słuchał z ironią).

A teraz doładź chustkę do nosa... otrzyj łzy rozczulenia i padaj na kolana.

MAURYCY.

Jeżeli nie pozostawisz mnie w spokoju, to będę zmuszony zerwać z tobą wszelkie stosunki (do Małki). Dziwisz się pani, że tak mówię do ciebie, ale skoro kiedyś opowiem ci

w jak dziwny sposób wpłynęła na mnie twoja chwilowa obecność w domu naszej ciotki, zrozumiesz może, że i ja umiem być trzeźwym i nawet uczciwym.

MAŁKA.

Słucham z radością słów pana. Zupełnie innym wydajesz mi się w tej chwili, niż wówczas, gdy pijany przemawiałeś do mnie w tak oburzający sposób.

MAURYCY.

Więc mogę mieć nadzieję?

MAŁKA.

Czego?

MAURYCY.

Że pani przyjmiesz nadal pomoc, jaką ci udzielała moja ciotka, zerwiesz zamierzone małżeństwo i urządzisz sobie życie tak jak twoje wychowanie i wykształcenie tego wymaga?

MAŁKA.

Nie, Panie Maurycy.

MAURYCY.

Ale dlaczego?

MAŁKA.

Ach! tyle jest przyczyn, żądasz pan, ażeby ci przebaczyła? Przebaczyć ci mogę, ale zapomnieć... nigdy. Przyjąć cokolwiek od ciebie! Nie mogę. Zawsze w uszach moich dźwięczałyby twe słowa jakieście mnie przywitali na

progu twego domu. A zresztą ja od obcych nie przyjmuję nic.

MAURYCY.

Przyjmowałaś od ciotki.

MAŁKA.

To była moja matka, moja opiekunka — wszystko, pan zaś jesteś dla mnie obcym.

MAURYCY.

Teraz będziesz przyjmować od męża, który jest także dla ciebie obcym człowiekiem.

MAŁKA.

To nie będzie darowizna. Ja będę z nim wspólnie pracować a nawet to ja właściwie będę prowadzić cały handel i na chleb zarabiać. Ja dobrze się dowiedziałam, panie Silbercweig, o tem, czy ja będę siedzieć z założonemi rękami i oglądać się na to, co mąż przeznaczy.

MAURYCY.

Pani będziesz prowadzić handel?

MAŁKA.

Tak paniel pół sklepiku na Marszałkowskiej ulicy i nie umrę z tego z pewnością. Lepsza taka niezależna pozycja, niż oglądać się na łaskę i dobry humor ludzi obcych. Spróbuję stworzyć sobie nowe życie. Sądzę, że mi się powiedzie.

MAURYCY.

A ja sądę przeciwnie.

RÓZIA.

Jeżeli mi wolno powiedzieć kilka słów w tej kwestji to i mnie się zdaje, że tobie, Małko, życie takie jakie zamierzasz pędzić, wystarczyć nie może.

MAŁKA.

Wystarczyć musi.

RÓZIA.

Ten wyraz łatwo wymówić? ale w czyn wprowadzić...

MAŁKA.

Moja Róziu, jesteś jeszcze dzieckiem i nie pojmujesz, że wiele ten może, kto musi.

MAURYCY

(do Rózi).

Szczęśliwy jestem, że w pani zyskałem sprzymierzeńca. Zechciej pani przekonać pannę Szwarcenkopf, że działa na własną szkodę, jeżeli odrzuci moją prośbę i pójdzie zamaż wbrew swemu przekonaniu i chęci.

MAŁKA.

Na nic się to wszystko nie zda i ty Róziu nie próbuj nawet przekonać mnie i zmienić moje zdanie. A teraz żegnam pana, panie Maurycy, goście moi lada chwila schodzić się zaczną.

MAURYCY.

Pani będziesz nieszczęśliwą.

MAŁKA.

W każdym razie nikt się o tem nie dowie.

Nieszczęście moje ma jednak jedną jasną stronę. Posłużyło ono do zmiany cokolwiek rodzaju pojęć i życia pana... To wiele.

MAURYCY.

Ale to jeszcze nie wszystko. Czy pozwoli mi pani pozostać nadal w liczbie swoich znajomych. Pragnę od czasu do czasu choć porozmawiać z panią.

MAŁKA.

Tego panu zabronić nie mogę... owszem, skoro pan mieć będziesz czas wolny i ja będę od zajęć moich swobodna, przyjdź pan i zostań tak długo dopóki się nie znudzisz. A teraz żegnam pana!

MAURYCY.

Żegnam cię, panno Małko! (do Rózi). Pani!

RÓZIA

(kłaniając się).

Pani!

WIEDENSKI

(do Maurycego wychodząc).

Nie desperuj! będzie nie taka harda, skoro jej małżeństwo dokuczy.

MAURYCY

(gwałtownie).

Milcz! mam ochotę cię w tej chwili udusić!

WIEDENSKI.

Bzika dostałeś, czy co.

MAURYCY

(wracając się).

Powiedz mi pani na jaki cel mam obrócić te pieniądze, które z sukcesji ciotki należą do pani.

WIEDEŃSKI.

On zupełnie zwarjował.

MAŁKA.

Tyle jest nędzy na świecie a zwłaszcza pomiędzy uboższą klasą żydowską. Ot i tu, patrz, w tym kącie żyje i męczy się kobieta porzuciona przez męża i ciężko pracuje, aby nędznie wyżywić czworo drobnych dzieci i sparaliżowaną matkę. Oto jest nędza smutniejsza, niż moja i więcej litości godna.

MAURYCY.

Ja sam im ofiarować nie śmiem. Gdybyś jednak pani chciała...

MAŁKA.

Dobrze. Ja z Rózią zajmujemy się tem, ażeby pieniądze ofiarowane przez pana nie poszły na marne. Założymy Jencie sklepik albo jakiś handelek i pozwolimy jej wychować dzieci i leczyć matkę. Cóż Róziu? czy zgoda?

RÓZIA.

Ależ najchętniej.

MAURYCY.

W ten sposób choć w części wynagradza mi pani zawód, jakiego doznałem, widząc, że pani odrzuca moją prośbę.

MAŁKA.

Porozumiemy się jeszcze co do tego listownie a potem osobiście, już po moim ślubie. A teraz odejdź pan. Jencie później powiem o szczęściu, jakie ją spotyka.

MAURYCY.

Tak! tak! uczyni to pani sama, wszakże to twoje dzieło, nie moje. Żegnam pani!

SCENA VI.

CIŻ, oprócz WIEDEŃSKIEGO i MAURYCEGO.

■ ■

RÓZIA.

Czy wiesz, Małko, ja mam łzy w oczach. To wszystko mnie serdecznie wzruszyło.

MAŁKA.

Mnie już nic wzruszać nie powinno. Muszę zapomnieć, że mam serce i że jestem żyjącą istotą. Inaczej... mogłoby mi sił zabraknąć. Dziś radością moją całą jest to wypadkowe spotkanie się z tobą na ulicy. Gdyby nie ten wypadek, nie miałabym nawet i tego uśmiechu szczęścia.

RÓZIA.

Moja biedna Małko! Wszakże to już trzy lata jak byliśmy na pensji w chwili, gdy jechała, telegraficznie wezwana przez matkę do łóża konającego ojca. Na szczęście, ojciec mój wyzdrowiał, ale ja za granicę wrócić nie

mogłam. Dokończyłam więc wykształcenia w Warszawie.

MAŁKA.

Ty nazywasz to dokończeniem wykształcenia! Ależ my nawet nie zaczęłyśmy się kształcić. Patrz tylko. Przyszło mi walczyć z przeciwnościami życiowymi i jakże znalazłam się przeciw nim uzbrojoną? Nie umiem nic z praktycznej strony życia i targam się w bezsilnej walce. Teraz pójdę przebojem, ale zdaje mi się, że nie dotrwam i zginę!

RÓZIA.

Takie masz przekonanie!

MAŁKA.

Tak. Tobie jednej to mówię. Nikomu więcej. Nie chcę grać roli ofiary i idę naprzód z głową podniesioną. Nie wiem dokąd mi sił starczy.

RÓZIA.

Moja Małko! Dlaczego nic dla ciebie uczynić nie mogę. Dlaczego nie pozwoliłaś, ażeby ten młody człowiek...

MAŁKA.

Ani słowa o tem, proszę cię.

RÓZIA.

Wydał mi się bardzo sympatycznym i w gruncie uczciwym chłopcem. Ten drugi z monoklem w oku nie podobał mi się bardzo. To musi być jego zły duch. Prawda?

MAŁKA.

I ja tak sędzę.

RÓZIA.

Należałoby tego złego ducha usunąć, ażeby ten młody człowiek nie zginął. A teraz pozwól mi się uściskać, życząc ci (cicho) szczęścia — i pożegnać. Muszę wracać do domu. Rodzice będą o mnie niespokojni.

MAŁKA.

Bądź zdrowa, droga moja Róziu. Jeżeli zechcesz, zachodź do mnie od czasu do czasu. Ja u was bywać nie mogę, wy jesteście bogaci ludzie, ja zaś będę biedna pani Firułkes na... dorobku.

RÓZIA.

Ależ...

MAŁKA.

Nie, nie, moja droga, wiem dobrze, co mówię. Al... po moim weselu zajmiemy się wszyscy troje instalacją Jenty w jakim sklepiku.

RÓZIA.

Czy ty widziałaś przynajmniej swego przyszłego męża?

MAŁKA.

Nie, dziś go zobaczę.

RÓZIA.

Żegnam cię, Małko! Bądź szczęśliwą jeśli to możebne (wychodzi).

MAŁKA

(do Jenty).

Moja dobra Jento, czy prędko goście przyjdą?

JENTA.

Tylko co panien patrzeć. Pan młody ze

swemi sąsiady i kolegi sam się zabawia. Panna Małka naszych zwyczajów nieświadoma?

MAŁKA.

Nie, moja Jento.

JENTA.

To panna Małka nie wie, że podczas dzisiejszego Tuchim spisze się szyliszes i pan młody złoży dla panny Małki aż całe cztery-sta rubli.

MAŁKA.

Nie wiem i niewiele mnie to obchodzi.

JENTA.

Ja zajdę jeszcze na dół i zobaczę czy idą już goście. Ja bardzo kontenta że się panna Małka może trochę pośmieje z panienkami. Choć to i nie dla panny Małki towarzystwo. Aj! aj! biedna panna Małka

(wychodzi, dzieci podczas poprzedniej sceny wyszły. Pozostaje tylko Małka i sparaliżowana Ryfka),

MAŁKA

(sama).

Biedna Małka, wszyscy mówią: biedna Małka a mimo to przeznaczenie moje spełnić się musi! Idę tak, jakby jakaś niewidzialna siła pchała mnie naprzód i zatrzymać się nie mogę. Od chwili, w której dowiedziałam się, że on nie jest wolny moralnie. Zrozumiałam wtenczas, że kochałam go oddawna, od chwili pierwszego naszego spotkania, za życia mojej opiekunki (spogląda dokoła). Jestem w tej chwili

sama i pomimo tylu światel zdaje mi się, że zapadam w ciemności. Kto tam bieleje w cieniu? A to Ryfka, biedna paralityczka, wpatrzona z uwielbieniem w te nędzne światelka...

RYFKA

(radośnie bełkocząc).

Licht! licht!...

MAŁKA.

Tak, dla ciebie to światło, dla mnie to ciemności, to gróbl... jaki straszny gróbl... (opiera się o ścianę i zasłania oczy). Czy ja go jeszcze kiedy w życiu zobaczę!...

SCENA VII.

RYFKA, MAŁKA, JAKÓB LEWI.

(Jakób Lewi wchodzi szybko nie zdejmując palta).

□ □

JAKÓB

(podchodzi do Małki chwytając ją za rękę).

Panno Małko!

MAŁKA

(nagle uradowana leci prędko, hamując się).

To pan? czego pan sobie życzysz odemnie?

JAKÓB.

Panno Małko, przyszedłem zapytać się czy to prawda, że pani zamąż idzie?

MAŁKA.

I to za prostego sklepikarza.

JAKÓB.

I to za prostego sklepikarza! Dla czego pani to robi? dlaczego?

MAŁKA.

Muszę mieć do tego przyczynę. Ja się nie pytam pana dlaczego pan się żeni.

JAKÓB.

Teraz niema mowy o mojem małżeństwie.

MAŁKA.

Owszem, jest teraz mowa o naszych małżeństwach. Pan się żenisz, ja idę zamaż. Pan żenisz się z posażną i wykształconą panną, ja zaś idę za prostego i biednego żydka, który wyszedł z tej samej klasy, z której wyszli moi rodzice, ci którzy mnie otaczają a nawet ja sama.

JAKÓB.

Ależ dusza twoja poznała światło.

MAŁKA.

Co z tego? Zresztą światło to tak słabe, jak światło tych świec, które mają oświetlać wesole moje zaręczyny. Poznałam jasność na tyle, aby samej być nieszczęśliwą i nie móżd uszczęśliwić drugich. Zostaw mnie pan mojemu losowi i idź swoją drogą.

JAKÓB.

Jedno tylko może postępowanie twoje usprawiedliwić. Kochasz swego narzeczonego?

MAŁKA.

Być może, panie Jakóbie.

JAKÓB.

Małko, czy to możliwe?

MAŁKA.

Czy pan nie kochasz swojej narzeczonej? Wi-
dzisz — milczysz, kochasz ją, nie przypusz-
czam bowiem, ażebyś bez miłości w sercu,
chciał żenić się z tą kobietą

(słysząc chór żeńskich głosów w oddali).

JAKÓB.

Więc z całą samowiedzą i dobrowolnie wy-
chodzisz zamąż?

MAŁKA.

Tak. Z całą samowiedzą i dobrowolnie.

JAKÓB.

Ojciec nie przymuszał panią do tego mał-
żeństwa.

MAŁKA.

Nie, ja sama przystałam chętnie i z własnej
woli.

JAKÓB.

Ale okoliczności... złożyły się na to, aby
panią do tego kroku popchnąć.

MAŁKA

(po chwili).

Być może... losami naszymi kieruje Bóg.
Idziemy każdy swoją drogą.

JAKÓB.

Gdybyś chciała, Małko...

MAŁKA.

Nie, nie chcę, nie mogę chcieć Jakóbie, nie mi chcieć nie wolno. Życz mi pan szczęścia i oddał się. Nadchodzą dziewczęta, z którymi bawić się mam wesoło i czekać na przybycie pana młodego. Tak każe zwyczaj... trzeba go szanować.

JAKÓB.

Słowo tylko, czy...

SCENA VIII.

Dzieci Jenty wpadają w podskokach na scenę za niemi pędzi Jenta.

□ □

JENTA.

Idą już, idą! (sposstrzega Jakóba). A to pan? panie Lewi! Niech pan stąd odejdzie, bo nadchodzą dziewczęta... to nie wolno!

JAKÓB.

Odchodzę!... Bądź szczęśliwą, panno Małko, ze swoim mężem i w swoim domu!

MAŁKA

(tłumiąc łzy).

I pan bądź szczęśliwy ze swoją żoną i w swoim domu!

JAKÓB.

Nie prędko się spełni twoje życzenie, tego możesz być pewną!

(wychodzi szybko).

MAŁKA

(sama).

Nie prędko się spełni? Ale się spełni! Ha! wszystko dla mnie skończono!... to poprostu już śmierć... już śmierć!...

SCENA IX.

Małka i dziewczęta, później Jojne, Marszelik, swatka, Mowsze, stary Firułkes, Szwarcenkopf, żydzi i żydówki. Najprzód, wchodzą, śpiewając, młode dziewczęta z kwiatami w rękach — otaczają Małkę i śpiewając cicho tańczą lekko i zgrabnie, ubrane jasno, biednie, w sukienki białe i jasne trzewiczki. Małka stoi na środku nieporuszona, bierze od dziewcząt kwiaty i całuje każdą z osobna.

□ □

MAŁKA.

Dziękuję, dziękuję wam serdecznie!

DZIEWCZĘTA

(klaszczą w ręce).

Idzie pan młody!

JENTA.

Ale on nie idzie, tylko go prowadzą.

DZIEWCZĘTA.

Dlaczego?

JENTA.

Bo on strasznie płacze.

DZIEWCZĘTA.

Płacze?

JENTA.

Aż podchlipuje.

(Wpada Pake, świątecznie ubrana).

PAKE.

Idzie marszelik! idzie marszelik!

DZIEWCZĘTA

(kłaszczą w ręce).

Marszelik idzie! si a marszelik geht...

MARSZELIK

(elegantki, wystrojony żyd, z jasną brodą, przy zegarku, w ręku ma czerwoną chustkę. Wpada powiewając chustką).

Gitwoch! Gitwoch!

DZIEWCZĘTA

(kłaszczą w ręce).

Gitwoch! Gitwoch!

MARSZELIK.

Der Hussen geht! der Hussen geht!

DZIEWCZĘTA.

Der Hussen geht!

MARSZELIK.

Wie ist die Kałe?

DZIEWCZĘTA.

Die ist die Kałe!

MARSZELIK.

Al wi schön... a wi schön... ziker sis schön
Kałe! Gitwoch panna Małka!

(Małka kłania się w milczeniu).

MARSZELIK.

Der Hussen kimt

(biegnie do drzwi)

MAŁKA
(do siebie).

Czy będę miała dosyć odwagi!

MARSZELIK.

Chodźcie tu wszyscy i starzy i młodzi i bogaci i ubodzy i ślepi i kulawi i łysi i garbaci i prości i połamani, zobaczyć pannę młodą, która jak strwożona gołębica siedzi sobie na krzeselku i grzecznie czeka na swego kanarka...

(Z po za drzwi wchodowych, razem, tłocząc się, wpadają Żydzi, mając pomiędzy sobą rozplakanego Jojnę. Prowadzi go stary Firułkes i Josek Pomeranc, on się im wyrzwa i ucieka na prawą stronę sceny. Żydzi wprowadzają starego, siwego Mowszę Radosnego i sadzają go na krzesło. Mężczyźni zajmują prawą stronę sceny, kobiety lewą.

Stary Szwarcenkopf także wchodzi z niemi).

MARSZELIK.

Hej, hu! Der Belbues so! kimen du. Er ver-bette a groise ojlem! si essen is wisst du!

JENTA.

Al Szwarcenkopf, jakie ty zbytki robisz. Ty samego Jukicla Krikus na marszelika wziął.

SZWARCENKOPF.

Dobre ludzie dopomogli.

MARSZELIK

(do Jojny).

Co ty, głupi Jojne. Ty płaczesz? waj nisz! Zeby to się twoja narzeczona bojała, to byłoby po modzie, bo panna to musi dziesięć chustek zamoczyć nim zamaż pójdzie. Ale ty Jojne, ty jesteś baran... ty nie jesteś Hussen —

ty jesteś szmendrykowater, ślimakowater, mazgajowater, bo się mażesz od rana, jak głupie ciele. Aj, Jojne jak jabym chciał być na twojem miejscu, jak popatrzę, jakie ty rarytne cackies będziesz miał za żonę.

JOJNE.

Ja nie chcę.

MARSZELIK.

Bo ty jesteś głupi. Żebym to ja był na twojem miejscu, jabym zrobił jeden szpring i był przy niej.

JOJNE.

Ja się boję!

STARY FIRUŁKES

(silny, apoplektyczny żyd z kijem i cylindrem na jarmułce).

Freig im nisz czy on chce, czy on nie chce as die presenten posłane, to już żadne gadanie być nie może.

ŻYDZI.

Tak, tak. Żadne gadanie być nie może!

MARSZELIK.

A jak cię interfirer pod hypę prowadzić będą, to ty będziesz sobie podskakiwał, jak młody królik, co świeżą sałatę zobaczył. Wu ist? Ty znów płaczesz? Wajn nisz. A Jojne Jojninke! was haste für a minkel! Czekał, ja ci dam zwilling na mazel (daje mu orzech laskowy). Tylko nie zjedz, bo ty jesteś obżartuch.

FIRUŁKES.

Gebt her zwei bogen papier.

SZWARCENKOPF.

Tu jest wszystko spisane i podpisane według naszej umowy.

FIRUŁKES.

As anzer Mojsie chce nam służyć za ważną osobę, dajcie mu w rękę czerwoną chustkę.

MARSZELIK.

I du a roite sznupftuchel, szain-eleganckie, prawdziwe kawalerskie chusteczkę

(podaje swoją chustkę. Mowsze ją bierze w rękę i prowadzony przez Marszelika idzie do Jojny, za nim idzie dwóch żydów, jako świadków).

FIRUŁKES

(do Jojny).

Weź Jojne tę chustkę...

JOJNE.

Ja się boję!

MARSZELIK.

Głupi ty, przecież to nie ogień ani rozpalone żelazo. Żeby ci tak dać konfitury, tobyś się cały trząchnął z radości. Na nim a tüchell

(Jojne bierze w rękę chustkę).

MARSZELIK.

Schön, schön...

ŚWIADKOWIE.

Schön, schön...

(idą wszyscy do Małki).

SZWARCENKOPF.

Małka! weź tę chustkę!

(Małka bierze chustkę w rękę).

ŚWIADKOWIE.

Schön! schön!

JOJNE

(nagle).

Ja nie chcę! Ja pójdę do domu! Ja mam za
dużą czapkę! Niech mi tate zdejmie tę czapkę.

MARSZELIK.

Masz czapkę za dużą? Szad nichts! To na
wyrrost. Jak nie wyrośniesz, to zrobisz jesz-
cze małe czapki dla swoich dzieci, dla kleine
Jojniszka, co będą mieć takie śliczne oczy,
jak panna Małka, Małkele, Małgorzateczke
a takie duże uszy jak ty, Jojne, Jojnele, Joj-
niszke! No, dajcie mi teraz stół, geb a tisz!

WSZYSCY.

A tisz!

(Żydki rzucają się z wraskiem i stawiają na środku stół,
papier, atrament, pióra).

MARSZELIK

(stając za stołem).

A teraz still! i mach mir nicht nacieciwko!
Gdzie Jojne? może go już niema? Może on
się cały rozplynał we łzach i nawet Mazeltoff
powiedzieć nie można? Jojne!... A jest! No!
Tuchim wam przeczytałem i niech ono wam
idzie na zdrowie i Jojniszke obżartuchowi
i Małkele, Małgorzateczke zucker sis — pa-
nienke uczone i piękne. A złe geduches
i inne dolegliwości niech one idą sobie na te-

go kogut, co wyśpiewuje: ki-ke-ry-ki, ki-ke-ryki.

(mały żydek tłucze talerze),

WSZYSCY

(radośnie).

A mazeltoff! A mazeltoff!

MARSZELIK.

A teraz proszę się tu podpisać. Husejn i Kałe najprzód, potem świadki. A żydów na papierze nie robić, bo dosyć nas tu jest (idzie po Jojnego i prowadzi go do stołu). Jojne! chodź tu i podpisz tuchim!

(Jojne podpisuje i ucieka).

MARSZELIK.

Teraz panne Małke!

SZWARCENKOPF.

Chodź, Małke!

(Małka idzie do stołu, blada i zrezygnowana, podpisuje akt i wraca na miejsce).

MARSZELIK.

A teraz świadkil! Josek Pomeranc! Mowsze Cytrynal (podpisują). Josele Zucker!... (śmieje się) Zucker, Cytryna a całe lemoniada! Lejbus Pantofell... Szal mach mir nicht nacieciwkol!

(świadkowie w miarę wołania podpisują).

MARSZELIK

(po chwili).

Jojne weź panne młodą za rękę i przypro-
wadź pięknie tutaj!

(Jojne bierze Małkę niezgrabnie za rękę i ciągnie do stołu)

MARSZELIK.

Wie ist die wódke in piernik?

(Jenta podaje wódkę i kieliszek, Pake piernik pokrajany
na talerzu).

MARSZELIK

(oddając papiery Jojnie i Małce).

Schowajcie to dobrze, bo to się wam przy-
da. A teraz Mazełtoff dla młodej pary! Ży-
czę wam szczęścia i dużo dzieci! Panno Mał-
ko sześciu chłopców, tylko nie razem! (z galan-
terją dając jej orzech). A zwilling na mazeł (pije).
Ale haim die bare habe Jojne! Ale haim die
bare habe Małke!

WSZYSCY.

Ale hajm!...

(piją kolejno i zagryzają piernikiem).

MOWSZE

(drżącym głosem).

Widzieliście wszyscy, że Tuchim zostało
przystojnie i uczciwie zawarte. Pieniądze już
Firulkes złożył na moje ręce, Szwarcenkopf
także. Oto jest szylines na otrzymane pienią-
dze. Gdyby która strona zerwała połowa
pieniędzy i prezentów przepada na korzyść
drugiej.

WSZYSCY.

Zgoda.

MOWSZE.

Ty Jojne nie potrzebujesz nauki, jak masz swoją żonę kochać i szanować, bo ciebie twój pobożny ojciec do czcigodnego rabbi zaprowadził w przeszłą sobotę i tam ci rabbi opowiedział co trzeba. A teraz ja pójdę precz a młodzi niech potańczą i pobawią się wesoło.

(starzy wychodzą).

MARSZELIK.

A schowajcie tuchim, bo je raz jeszcze rabbi będzie przy ślubie wizytował. No! a teraz wesoło. Panno Małko! ja powiem wierszyki co sobie ułożyłem... takie sobie wierszyki:

Tego tuchim ist git,
Tego husejn ist schön,
Tego życzenie dobre jest
I ja... też...

Nie, jakoś zapomniałem. Lepiej mazeltoff i tyle. Będziemy sobie tańcowali i ty, Jojne. Nie miej takiej głupiej gęby... kto pójdzie do środka?... (ustawia wszystkich kołem i liczy po żydowsku, cicho, pokazując palcem, trafia na Jentę). Na Jentę trafiłem.

(Wszyscy śmieją się).

MARSZELIK.

Ej Jentel Jentysze, Jentyszulu. Du kanst gehn lulul

(śmiech głośny. Marszelik liczy ponownie, wypada na niego, on podnosi pełę chałata jednym susem staje na środku i zaczyna śpiewać żydowskie weselne kuplety, które po nim chór powtarza. Następnie po każdej zwrotce sami mężczyźni w dzikich skokach obiegają scenę. Kobiety klaszczą i cieszą się, świeczki po kątach dogasają, atmosfera staje się smutną i ciemną. W kącie chóru paraliżniczka. Gromada dzieci z piskiem popycha się na łóżkach. Małka siedzi na krześle jak martwa, pobladła, z oczyma wlepionymi w przestrzeń)

Zasłona zwolna spada.

AKT CZWARTY.

Wnętrze pokoiku za sklepikiem, należącym do Jojne Firułkes; dwa łóżka wysoko usłane, białe i czyste. Samowar na szafie, stół, nędzna kanapa. Koło pieca siedzi stary Szwarcenkopf i grzeje się, na kanapie siedzi Jojna.

SCENA I.

SZWARCENKOPF, JOJNE.

22

SZWARCENKOPF.

Czego ty, Jojne, do sklepu nie idziesz?

JOJNE.

Po co ja mam tam iść, kiedy tam Małka siedzi.

SZWARCENKOPF.

Dlaczego ty w handel się nie wprawiasz?

JOJNE.

Po co ja mam się wprawiać, kiedy Małka się już za mnie i za siebie do handlu wprawiła.

SZWARCENKOPF.

Una kobita, lepiej niechby w mieszkaniu siedziała a ty Jojne z kundmanami się rozmawiał.

JOJNE.

Kiedy mnie zawsze głowa boli. A potem na co ja się żeniłem? na co ja żonę brałem? Niech ona się kłopotuje a nie ja.

SZWARCENKOPF.

Ty, Jojne, strasznie się zrobiłeś hardy i piśkaty. Dawniej toś cicho siedział a teraz to już jesteś bardzo mądry i lubisz dużo gadać.

JOJNE.

A cóż to! czy to ja nie taki kupiec, jak inne żydki? I żonę mam i szlafrok mam i sklepik mam.

(milczenie).

SZWARCENKOPF. ·

Jojne? śpisz?

JOJNE.

Nie!

SZWARCENKOPF.

Ty wiesz, Jojne, że po jutrze szabas?

JOJNE.

Wiem i o tem także myślę, Szwarcenkopf.

SZWARCENKOPF.

I o czem ty jeszcze myślisz, Jojne?

JOJNE.

Ja sobie myślę, że będzie dobra ryba, którą my smacznie sobie zjemy, Szwarcenkopf.

SZWARCENKOPF.

Ty figlarz jesteś, Jojne... ty myślisz o tem

jakby rybę zjeść, ale jak na nią zarobić to ci przez głowę nie chcę przejść...

JOJNE.

A czemu ty, Szwarcenkopf, nic nie robisz?

SZWARCENKOPF.

Ty głupi jesteś, Jojne! Patrz, jaka u mnie siwa broda. Ile ja mam lat? Nu, pomyśl tylko, ile ja mam lat? Jak ty będziesz miał tyle lat co ja i tak się napracujesz w życiu, to będziesz miał prawo siedzieć pod piecem i myśleć o tem, że rybę na szabas jeść będziesz.

JOJNE.

Ty dlatego pracował, Szwarcenkopf, że ty nie miał rodziców, coby ci dali pół sklepu a że ja mam takich rodziców, co mi dają pół sklepu, to na co ja mam pracować? Ja wolę na kanapie siedzieć i o dobrych rzeczach myśleć.

SZWARCENKOPF.

Jakbyś pracował, Jojne, to miałbyś więcej.

JOJNE.

Po co mnie? Ja ani Kronenberg, ani Bloch nie będę, to po co mnie się fatygować?

SCENA II.

CIŻ SAMI, MAŁKA.

(Małka wchodzi ze sklepu, jest ubrana prawie biednie, w dużym niebieskim fartuchu. Na głowie ma chusteczkę niebieską, zawiązaną z tyłu. Jest bardzo blada i zmieniona).

MAŁKA.

Jojne! idź, proszę do sklepu. Jestem chora i zmęczona. Przytem widziałam, że Rózia do mnie idzie.

JOJNE.

Mnie głowa boli.

MAŁKA.

Proszę cię, idź na chwilę tylko.

SZWARCENKOPF.

Ty naprawdę blada jesteś, Małke. Czy ty jesteś bardzo chora? Może pójdziesz do jakiego porządnego doktora?

MAŁKA.

Nie, mój ojczel! Potrzebuję tylko pozostać sama z Rózią. Gdybyś i ty przeszedł się trochę, to nawet byłoby dobrze dla twego zdrowia.

SZWARCENKOPF.

Ja pójdę i posiedzę trochę z Jojnę w sklepie, żeby jemu tam nie było smutno a potem pójdę na spacer.

MAŁKA.

W sklepie niema czasu na smutek, zawsze jest się czem zająć.

JOJNE

(do Małki, zbliżając się nieśmiało).

Ja pójdę Małka do sklepu... ale... daj mi się pocałować w szyję.

MAŁKA.

Daj mi pokój, mnie głowa boli.

JOJNE.

Jaka ty niedobra żona dla mnie jesteś... jaka ty nie dobra żona!

MAŁKA.

Nie mogę być inna. Robię co mogę. Idź do sklepu.

JOJNE.

Ajl ajl ty Małka taka księżniczka, taka księżniczka!

(dzwonek za sceną).

MAŁKA.

Ktoś wszedł do sklepu. Idź-że, bo co ukradną.

SZWARCENKOPF

(wylatuje, ciągnąc Jojnę).

Kim Jojne man kan diben!

SCENA III.

MAŁKA, RÓZIA, potem MAURZYCY.

(Rózia wchodzi bocznymi drzwiami).

❧ ❧

RÓZIA.

Dzień dobry, Małko. Jakże się dziś czujesz?

MAŁKA.

Nic mi nie jest. Głowa mnie trochę boli.

RÓZIA.

Nie jesteś względem mnie szczerą. Wyglądasz bardzo blada, bardzo mizerna. Schudłaś od chwili twego ślubu, cień zaledwie pozostał.

MAŁKA.

Zdaje ci się, nic więcej.

RÓZIA.

Nie zdaje się. Patrzą na ciebie uważnie. Praca cię zabija.

MAŁKA.

Praca mnie utrzymuje przy życiu. Gdybym nie zagłuszała się ciągłą pracą, oszalałabym chyba. Jestem po prostu manekinem, wykonującym mechanicznie całą swoją czynność. Nie myślę nic, staram się przynajmniej nie myśleć... Ale nie mówmy o mnie. Co słysząc z Jentą? Czy znaleźliście dla niej coś odpowiedniego?

RÓZIA.

Mam upatrzony dla niej sklepik, przy rogu Franciszkańskiej, ale nie chciałabym nic zrobić bez twojej porady i bez zasięgnięcia zdania pana Maurycego.

MAŁKA

(z uśmiechem).

A... pana Maurycego?

RÓZIA

(żywo).

Dlaczego się tak ironicznie uśmiechasz? Wszakże pan Maurycy dał pieniądze i ty sama...

MAŁKA

(całując ją).

Dobrze, już dobrze, nie tłumacz się tak gorąco...

RÓZIA.

No, bo jak babcię kocham, ty może myślisz, że...

MAŁKA.

Ja nic nie myślę, tylko — tylko widzę, że Maurycy jest dzielny chłopak i że twój wpływ na niego wiele dobrego zdziałać może.

RÓZIA.

Nie mój wpływ, Małko, lecz twój. Maurycy mówi o tobie zawsze z takim uwielbieniem, nazywa cię kobietą wyższą, niepospolitą, podczas gdy ja... Czy wiesz? chwilami, gdy słyszę Maurycego, mówiącego w ten sposób, jestem zła na siebie, zła...

MAŁKA.

Za co?

RÓZIA.

Za to, że ja — to ja a nie ty!

MAŁKA.

Moja droga Róziu, nie miej do siebie żalu za to, że jesteś sobą. Mój wpływ na Maurycego jest tego rodzaju, jaki miałby na niego każdy rozsądny przyjaciel, którego by nagle Maurycy spotkał na drodze swego życia. Twój zaś wpływ to będzie czar kobiety, która będzie z nim razem znosić dobrą i złą dolę.

RÓZIA

(tuląc się do Małki).

O Małko! czy ty sądzisz naprawdę, że on mnie kiedyś pokochał.

MAŁKA.

Nie kiedyś... ale teraz już kocha, jakkolwiek sobie jeszcze z tego sprawy nie zdaje.

(Maurycy wszedł już od kilku chwil przez drzwi boczne i ałuchał rozmowy dwóch kobiet, nagle rzuca się do Rózi)

MAURYCY.

Ale przeciwnie, zdaje sobie sprawę... i to już od pierwszej chwili, w której pannę Małkę poznał.

RÓZIA.

Pan tu?

MAŁKA.

Moja Róziu, nie przymuszaj się do odegrania komedji. Wszakże oboje ułożyliście się, że się tu dziś u mnie zejdziecie...

MAURYCY.

Tak — i że pójdziemy obejrzeć ten sklepik na Franciszkańskiej ulicy.

MAŁKA.

Widzisz, Róziu, on jest od ciebie szczerzy.

RÓZIA.

Jemu wypada, bo on mężczyzna a ja muszę kłamać.

MAŁKA.

Nie musisz, gdyż nic waszemu połączeniu nie stoi na przeszkodzie. Rodzice twoi, o ile mi mówiłaś, chętnie widują pana Maurycego w swoim domu.

RÓZIA.

Bardzo chętnie. Zwłaszcza odkąd rozstał się ze swym panem Kolumną Wiedeńskim.

MAŁKA.

Rozstałeś się pan z nim wreszcie? O to dobrze, to bardzo dobrze!

MAURYCY.

Przyznam się paniom, że to była mała ofiara z mej strony: towarzystwo tego pana dokuczyło mi poprostu i było mi wstrętne. Nie pojmuję doprawdy, jak mogłem tak długo wytrzymać w podobnem otoczeniu i gdy sobie dziś wspomnę, sama myśl zgrozą mnie przejmuje

MAŁKA.

Teraz mam nadzieję, że Rózia będzie zupełnie szczęśliwą.

RÓZIA.

I to dzięki tobie, moja droga Małko!

MAURYCY.

Tak, bezwarunkowo. Stało się to jedynie za sprawą pani. Przedewszystkiem poznałem Rózię u pani a potem wpływ pani podziałał tak na mnie, że zdołałem ocenić ten skarb i pokochać go całym sercem.

MAŁKA.

Widziałam pana wtedy po raz drugi w życiu!

MAURYCY.

Tak, ale ja z panią przebywałem ciągle, bo

przecież w domu ciotki, który był także i pani domem, pozostawiłaś po sobie tyle wspomnień! Służba mówiąc o tobie, nazywała cię „naszą panienką“, w szafach znajdowałem twoje dziecięce zabawki, potem już książki, zeszyty, sukienki. W pokoiku pani rozgościł się Wiedeński i nawet jego obecność nie zdołała zatrzeć tego uroku, jaki wiał z tych niebiesko obitych ścian, białych mebelków, półeczek z porcelanowymi figurkami... To niby drobnostki, ale ja ciągle pomiędzy temi drobnostkami, które mi o pani mówiły, mimowoli myślałem o pani i nauczyłem się czcić to, co jest najpiękniejsze w kobiecie, to jest wdzięki i czar dziewczęcy.

(Małka nagle opiera głowę na rękę i cicho płacze).

RÓZIA.

Małko! co tobie?

MAŁKA.

Nic mi nie jest! Jestem dziś dziwnie rozdrażniona. Nigdy mi tak nie było jak w tej chwili...

RÓZIA.

To opowiadanie pana Maurycego o twojem dawnem otoczeniu i wspomnienie domu ciotki tak cię rozdrażniło.

MAŁKA.

O nie! jest inna przyczyna.

RÓZIA.

Czy my nie możemy o niej wiedzieć?

MAŁKA.

Nie Róziu! nikt o niej wiedzieć nie może
nie będzie — Bóg jeden może.

RÓZIA.

Ty cierpisz, moja biedna Małko. Spójrz
pan, panie Maurycy, jak ona wygląda. Zbla-
dła, zmizerniała...

MAŁKA.

Fizycznie czuję się zupełnie zdrowa. Chwi-
lowe przygnębienie przy pracy przeminie.

(Głos Jojny z za sceny Małke a kim na minutkes!)

MAŁKA.

Przepraszam was, zaraz wrócę, mąż mnie
do sklepu woła

(wychodzi do sklepu).

MAURYCY

(chwytając za rękę Rózię).

O panno Róziu, jacy my będziemy szczę-
śliwi!

RÓZIA.

Będziemy szczęśliwi, ale w tej chwili nie
bądźmy egoistami. Myślmy o tej biednej
Małce, której zawdzięczamy całe nasze szczęś-
cie. Widziałeś pan, jak ona jest zmieniona.
Spójrz pan dokoła. Czy podobna nędza jest
możliwem otoczeniem dla niej? dla Małki,
która była dzieckiem pieszczonem na naszej
pensji. A męża jej pan widział? Ja nie mo-
głam z nim nawet dwóch słów zamienić.
A ona, czy pan uwierzysz, ona z nim mówi
łagodnie, jak z dzieckiem, czyta mu wiecz-

rami powiastki dla małych dzieci, dopóki on nie zaśnie na kanapie. Ja tej kobiety zrozumieć nie mogę!

MAURYCY.

I ja jej nie rozumiem, tylko podziwiać ją mogę.

RÓZIA.

Czy pan wiesz, że ona w dzień swoich zaręczyn powiedziała do mnie: „lękam się ażeby mi sił nie zbrakło“. I dziś, gdy patrzyłam, jak ona płakała, zdaje mi się, że ta chwila już nadeszła i że jej naprawdę już sił zbrakło.

MAURYCY.

Według mnie, oprócz wyczerpania fizycznego i moralnego jest tu jeszcze inna przyczyna. Małka musiała kogoś kochać przed ślubem. Miłość ta nie wygasła jeszcze w jej sercu i sprawia podwójne cierpienia. Nawet zdaje mi się, że ja zgaduję kto jest ten, kogo Małka kocha.

RÓZIA.

Małka nie mówiła mi o tem nigdy.

MAURYCY.

Małka jest dumna i skryta, ów człowiek musiał jej nie kochać, więc ztąd miłość, która nam sprawia tyle radości, jest dla niej źródłem cierpienia.

MAŁKA

(powraca).

Jestem z powrotem i teraz na trochę dłu-

zej. Poczciwa Jenta przyszła i ona mnie zastąpi razem z moim mężem w sklepie.

RÓZIA.

Tak! ale to jest chwilowa ulga. My tu z panem Maurycym...

MAŁKA.

Wy z panem Maurycym najlepiej zrobicie, jeżeli pójdziecie na Franciszkańską obejrzeć sklepik. Biedna Jenta umiera z niecierpliwości, ażeby ujrzeć się wreszcie u siebie.

RÓZIA.

Skoro nas wyrzucasz — idziemy. Chodźmy, panie Maurycy!

MAURYCY.

Do widzenia, panno Małko!

MAŁKA.

Znowu mnie pan nazywasz panną Małką!

MAURYCY.

To mimowolne. Nie mogę się pogodzić z myślą, że jest inaczej

(wychodzą).

SCENA IV.

MAŁKA sama, później JOJNE.

□ □

MAŁKA

(idzie ku oknu i patrzy, nie odsłaniając firanek).

Nie widać Jakóba już więcej. Dziś dwu-

krotnie przeszedł mimo drzwi sklepowych. Wczoraj późnym wieczorem, zamykając okno, dostrzegłam go jak stał naprzeciw, paląc papierosa. Dlaczego on tu przychodzi? dlaczego nie pozostawia mnie w spokoju! I bez tego czuję się tak rozgoryczoną i zbuntowaną, że jedna kropla a kielich będzie nadto pełny...

JOJNE

(wsuwając głowę).

Czy można wejść, Małko?

MAŁKA.

Wejdz, Jojne. Dlaczego odchodzisz ze sklepu? Jenta może cię potrzebować.

JOJNE

(nieśmiało).

Bo mnie smutno bez ciebie, Małke!

MAŁKA.

Zobaczmy się wieczorem i będziesz zemną razem, mój biedny Jojne!

JOJNE.

Ja bez ciebie nie mogę się ani chwili obejść, Małke (siada w kuczki przed nią i bierze ją za rękę). Jaką ty masz delikatną rękę, Małka... jak moja odświętna chustka... a jak ją całować, to jakby się miód piło, albo makagigenkuchen jadło (całuję ją w rękę). Jabym cię nikomu, Małka, nawet za dziesięć tysięcy, nawet za dwadzieścia pięć tysięcy rubli nie oddał, bo ja z tobą jestem bardzo szczęśliwy i ja ciebie bardzo kocham.

MAŁKA.

Ty zemną, Jojne, jesteś szczęśliwy! to być może. Ale jak ty prędko, Jojne, zapomniałeś, co ja ci mówiłam.

JOJNE.

Ja staram się pamiętać wszystko, co ty do mnie mówisz, Małke!

MAŁKA.

Nie, bo tłómaczyłam ci raz cały sobotni dzień, że ty nie mnie kochasz, ale siebie kochasz. Jeżeli ty chcesz mnie mieć koło siebie, to nie dlatego, żebym ja była szczęśliwa, ale żebyś ty był rad i wesół. Więc siebie, nie mnie kochasz, Jojne, i to jest egoizm i samolubstwo.

JOJNE

(zasmucony).

A czy to grzech, Małke?

MAŁKA.

Nie, Jojne! tylko często przez taką samolubną miłość, to druga istota bardzo cierpi i bardzo jest nieszczęśliwa.

JOJNE.

Ja byłem także nieszczęśliwy, kiedy mi się ożenić z tobą kazali i płakałem aż się goście i marszelik ze mnie naśmiewali. A teraz to ja i szczęśliwy i wesoły i bardzo mi się w małżeństwie podoba. Mam swój własny dom i żonę i już u siebie szabas odprawiam, mnie nic więcej nie trzeba.

MAŁKA.

Tak, Jojne, tobie nic więcej nie trzeba.

JOJNE.

I nikomubym cię nie oddał, nikomu!

MAŁKA.

Uspokój się, mój biedny Jojne, nikt mnie od ciebie wziąć nie chce.

JENTA

(wsuwa głowę przez drzwi od sklepu).

Jojne! Jojne! kim her — a schucler!

MAŁKA.

Idź Jojne, Jenta cię woła.

JOJNE

(ociągając się).

Nie chcę mi się iść, Małke.

MAŁKA

(surowiej).

Trzeba iść, Jojne!

JOJNE.

Pójdę, Małke... ale ja zaraz tu wrócę.

MAŁKA.

Ja zaraz przyjdę do sklepu, ojciec wyszedł?

JOJNE.

Poszedł sobie na spacer

(odchodzi do sklepu).

MAŁKA

(sama).

Gdybym mogła choć tę ślimaczą duszę po-

budzić do życia i wykrzesać z niej jakie szlachetne instynkta. Zdaje mi się jednak, że to próżna praca!

SCENA V.

GLANZOWA, MAŁKA.

□ □

GLANZOWA

(wchodzi drzwiami środkowymi).

Dzień dobry, Małko!

MAŁKA

(radośnie).

Glanzowa!

(rzuca się ku niej i całuje ją).

GLANZOWA.

Tak, to ja, moja droga panno Małko, bo takie Małżeństwo, to żadne małżeństwo.

MAŁKA.

Prawda, Glanzowa była bardzo przeciwna mojemu małżeństwu. Nawet na ślubie nie była a ja chciałam, żeby to Glanzowa a nie kto inny uciął mi włosy, skoro już ucięte być miały.

GLANZOWA.

Nie chciałam przyjść, bo ja patrzeć nie mogłam spokojnie, jakieś ty, panno Małko, szła za takiego ordynarnego i brzydkiego Jojne. Aj! Małko, Małko, jaki ty ciężki grzech masz na swoim sumieniu!

MAŁKA.

Ja?

GLANZOWA.

Tak, ty, Małko! Ty poszłaś za mąż za Jojne, mając w sercu miłość dla innego człowieka.

MAŁKA.

Zkąd wiesz o tem?

GLANZOWA.

Przed okiem Glanzowej nic się ukryć nie może. Panna Małka zapomniała, że ja byłam już w domu naszej, błogosławionej pamięci, pani, kiedy pannę Małkę ojciec przyprowadził i u nas zostawił. I panna Małka rosła pod moją opieką jak kwiatek i z dziecka wyrosła na panienkę a zawsze Glanzową lubiła i nic przed nią skrytego nie miała. Bo choć panna Małka przez dumę czegokolwiek Glanzowej nie powiedziała, to ja się domyśliłam i potrafiłam w sercu panny Małki jak w otwartej książce czytać.

MAŁKA.

Moja dobra Glanzowa!

GLANZOWA.

Czy nie tak, panno Małko? Nieraz to i sama pani mówiła do mnie, powiedz mi, Glanzuniu co Małka o tem, albo o tem myśli? Bo ona sama, nasza dobra pani, nie знаła tak dobrze myśli i serca panny Małki, jak ja znałam. I w ten sposób dowiedziałam się także, iż serce panny Małki dawno przemówiło i dawno

pokochało uczciwego i dobrego człowieka. Od niego to ja do ciebie, Małko, dziś przychodzę.

MAŁKA
(przerażona).

Od niego?

GLANZOWA.

Tak. I choć na pierwszy wzgląd, krok mój jest zły i nieuczciwy, bo do zamężnej kobiety nie przychodzi się ze słowami miłości od innego mężczyzny, to ja grzechu nie czuję na sobie i śmiało to co robię — mówię. Tak, panno Małko, ja, w imieniu pana Jakóba Lewi przychodzę i proszę cię, zostań ty jego żoną!

MAŁKA.

Glanzowol! przecież ja jestem już zamężną.

GLANZOWA.

U nas jest wielkie i ważne słowo, gdy kto jest nieszczęśliwy w małżeństwie, u nas jest rozwód!

MAŁKA
(blednąc ze wzruszenia).

Rozwód!

GLANZOWA.

Tak! na myśl ci nawet nie przyszło, że możesz wydostać się z twojego grobu i uwolnić z takiego wielkiego nieszczęścia. Bo choć ty udajesz przed ludźmi, że nie jesteś nieszczęśliwa, to ty starej Glanzowej nie oszukasz i ona o wszystkim się domyśli, jak spojrzy na twoją twarzyczkę i w twoje smutne oczy.

Rozwód! Małko, rozwód!... pomyśl, rozwiedziesz się z Jojną i pójdiesz za pana Jakóba. Ty go dawno kochasz i on także cię kocha. Ty go może dawniej kochałaś, niż on ciebie, ale teraz i on ciebie pokochał i bez ciebie żyć nie chce.

MAŁKA.

Przecież pan Lewi był zaręczony.

GLANZOWA.

Pan Lewi umowę swoją zaręczynową zerwał i teraz jest wolny.

MAŁKA

(z radością).

Wolny!

GLANZOWA.

Jak ptak! Jak ty, Małko, będziesz wolna kiedy za zgodą Jojny rozwód otrzymasz. Mnie dziś nasza, błogosławionej pamięci, pani we śnie się ukazała i powiedziała: „idź ty, Glanzowa, do Małki, powiedz jej niech się ona więcej nie męczy, niech się rozwiedzie i będzie wreszcie szczęśliwą.

MAŁKA.

I będzie wreszcie szczęśliwą!

GLANZOWA.

Tak mi powiedziała nasza pani. I ja wszystkie skrupuły odrzuciłam na bok i powiedziałam dziś panu Jakóbowi — pójdę, powiem jej, że pan chcesz się z nią widzieć... że pan...

MAŁKA.

On chce tu przyjść!

GLANZOWA.

On tu czeka za progiem, bo on może tu śmiało wejść, bo on tu nie przychodzi jak złodziej, żeby zostać twoim kochankiem, ale on chce ciebie wziąć za żonę i nie pozwolić ci umrzeć, bo ty umrzesz, Małko, jeżeli tu dłużej pozostaniesz i męczyć się tak będziesz.

MAŁKA

(z nagłym wybuchem płacząc).

Tak, Glanzowo! tak, ja umrę, ja zginę! Ratujcie mnie! ja dłużej tu żyć nie mogę! Ja wszystko robiłam, co mogłam ażeby wytrwać, ale już sił nie mam i dziś, kiedy wiem, że on wolny, że on chce mnie wziąć za żonę... i ja chcę i ja muszę być wolną...

GLANZOWA.

Powiedz mu to sama i niech się wreszcie twoja męka skończy (idzie ku drzwiom). Wejdz pan, panie Jakóbie!

SCENA VI.

JAKÓB, MAŁKA, GLANZOWA.

□ □

JAKÓB

(staje w progu i wyciąga ręce ku Małce).

Małko, moja Małko!

MAŁKA

(wyciąga także ręce).

Jakóbie!

(on chwyta ją za ręce i całuje).

JAKÓB.

Nareszcie! nareszcie. Czy zgodzisz się na rozwód? Czy chcesz być moją?

MAŁKA.

Czyńcie ze mną co chcecie. Miara się przebrała. I ja pragnę wreszcie być szczęśliwą.

JAKÓB.

Tak, będziesz nią! przysięgam ci! Dopiero teraz, gdy cię utraciłem, poznałem, jak mi byłaś drogą, jak dawno kochałem cię i jak byłaś poniekąd treścią mojego życia. Gdy przyjeżdżałaś na wakacje z pensji do ciotki, przypominaj sobie, jak często wymyślałem rozmaite preteksty wizyt i kłamałem sam przed sobą po to jedynie, ażeby cię widzieć i słyszeć twój słodki dziecinny głosik, który mnie czarował. Jednego roku zaręczono mnie z kuzynką, którą już dawno przeznaczono mi za żonę. Życie moje szło swoją drogą, twoje zaś inną ścieżką. I zdawało mi się, że nic mnie już z tobą nie wiąże i że ty nie myślisz o mnie. Tymczasem powróciłaś i od tej chwili zaczęły się twoje nieszczęścia i nędza! I stałaś mi się wtedy sto razy jeszcze droższą i zrozumiałem, że kocham cię całą siłą mej duszy. Lecz dane przezemnie słowo tamtej drugiej, wiązało mnie łańcuchem i nie

dozwalało powiedzieć ci, co me serce czuje. Wreszcie postanowiłem zerwać krępujące mnie zobowiązania i wyrwać cię z tego bag-niska, w którym ginęłaś. Nagle dowiaduję się, że wychodzisz za mąż, biegnę do ciebie pełen chęci powiedzenia ci wszystkiego i z własnych ust twoich słyszę, że kochasz twego narzeczonego, cóż mi pozostało uczynić? co?...

MAŁKA.

Dlaczego mi pan tego wcześniej nie powiedziałeś?

JAKÓB.

Dlaczego? Ależ związany słowem z inną kobietą, mówić ci o mej miłości nie miałem prawa. Dziś jestem wolny i pytam się ciebie, Małko, czy chcesz być moją żoną? O! nie myśl o tym dzieciaku, który na rozwód z łatwością przystanie i któremu jest wszystko jedno czy ta, czy tamta będzie jego żoną.

MAŁKA.

Może się pan mylisz... Ten człowiek зда-je się we mnie kochać.

JAKÓB.

To nie miłość!

MAŁKA.

Ja też nie powiedziałam, że on mnie kocha ale że on siebie we mnie kocha. Taka mi-łość bywa najsilniejsza, bo na egoizmie opar-ta. A zresztą, mniejsza z tem! I we mnie budzi się dziś chęć do życia i pragnienie

szczęścia! Nie odtrącę szczęścia skoro się wreszcie do mnie uśmiechnęło! Walczyć będę o nie ostatkami sił i muszę je zdobyć, choćby kosztem życia!

JAKÓB.

O Małko! drogie ty moje! ukochane dziecko! pamiętaj, że ja cały do ciebie należę... Ty płaczesz.

MAŁKA

(płacząc z radości).

Pozwól mi płakać! To słodkie, dobre łzy, które mi ulgę niosą. Pomyśl tylko, ile łez gorzkich z oczu moich spłynęło... te serce moje radością przejmują.

JAKÓB.

Odtąd więcej płakać nie będziesz.

MAŁKA.

Kto to powiedzieć może! Ale i ja pragnę, aby to był już kres mej nędzy, bo dłużej wlec takiego życia nie miałabym siły. I ja cię kochałam, Jakóbie, kochałam dzieckiem jeszcze i na pensji zawsze o tobie marzyłam. I gdy później spadło na mnie ze śmiercią mej opiekunki nieszczęście, to i ta czarna dola była mi możliwą do zniesienia, bo twój widok twoje słowa dodawały mi sił i otuchy do życia. I nagle jednego wieczoru, pamiętasz? powiedziałeś mi, że musimy przestać się widywać. Poszedłeś! I w kilka chwil później powiedziano mi, że jesteś zaręczony. Szedłeś właśnie do twej narzeczonej na ball

Mój ojciec przyszedł... był głodny zziębnięty i ja zgodziłam się na to małżeństwo, bo czyż nie było lepiej zapewnić ciepły kąt i łyżkę strawy temu starcowi za cenę mej swobody, skoro już niczego od życia spodziewać się nie mogłam. Oto historia mego małżeństwa.

JAKÓB.

Jesteśmy ofiarami nieporozumienia, lecz dziś...

GLANZOWA.

Widzę, że ja się w to wszystko wmieszać muszę, bo zakochani do świtu gadać mogą a nic mądrego nie powiedzą. Trzeba, żeby Małka powiedziała dziś jeszcze swemu mężowi, że się z nim rozejdzie i że rozwód z nim wziąć musi. Później niech nam da znać, co on jej na to odpowie i jak mamy dalej postępować. Czy zgoda?

MAŁKA.

Bądźcie przekonani, że natychmiast mu powiem. Inaczej czułabym się występłą i złą żoną. Bądź zdrów, Jakóbie, dziękuję za moje dobro, moja droga Glanzuniu! Ty przyczyniłaś się do mego szczęścia. Niech ci to Bóg wynagrodzi.

GLANZOWA

(wychodząc).

Tylko żebyście wy byli szczęśliwi, to będzie dla mnie największa nagroda. Chodźmy, panie Jakóbie! chodźmy!

(wychodzi).

JAKÓB
(do Małki).

Do widzenia, Małko... dziś mam prawo pożegnać cię, jako moją przyszłą żonę? Czy nie tak?

MAŁKA.

O tak! tak! jaka zmiana, jak ja się czuję szczęśliwą! toć słońce! toć zbawienie! toć nowe życie się dla mnie otwiera!

JAKÓB.

I dla mnie, droga ty moja!

(chwytając ją w objęcia, całuje i szybko wychodzi; w tej chwili ze sklepu wchodzi Jojna, dostrzega jak Jakób całuje Małkę i biegnie na przód sceny).

SCENA VII.

MAŁKA, JOJNE, później JENTA i SZWARCENKOPF.

□ □

JOJNE.

Małko! co ja widział? Kto to był? ten mężczyzna?

MAŁKA.

To był mój przyszły mąż!

JOJNE.

Co ty, Małko? ty chcesz mnie pochować? przecie ja żyję.

MAŁKA.

Nie, Jojne. Nie pragnę wcale twojej śmierci, ale ty także nie możesz chcieć mojej. My się musimy rozwieść, Jojne.

JOJNE.

Rozwieść? ty ze mną? dlaczego? dlaczego?

MAŁKA.

Bo ja ciebie nie kocham, Jojne!

JOJNE.

Ale ja ciebie kocham i ty mi jesteś bardzo potrzebna i do sklepu i na żonę.

MAŁKA.

Być może, jednak tak być musi. Ja pójdę zamąż za kogoś innego, za tego, kogo sobie za męża wybrałam.

JOJNE.

Mnie nic do tego! Ja się na rozwód nie zgodzę! nie zgodzę! nie zgodzę! ty musisz żyć ze mną i musisz być dalej moją żoną, bo ja do rozwodu nie pójdę!...

SCENA VIII.

CIZ SAMI, JENTA, SZWARCENKOPF,
STARY FIRUŁKES.

□ □

SZWARCENKOPF.

Ja spotkałem się na ulicy z panem Firułkes i prosiłem go coby sobie trochę do nas zaszedł.

JOJNE.

Ajl ajl co się tu stało! jakie się tu wielkie zmartwienie stało!

WSZYSCY
(prócz Małki).

Co takiego?

JOJNE.

Aj! aj! tutaj Małke, moja żona całowała się z jakimś obcym mężczyzną i jak ja się jej zapytałem, kto to jest, ona powiedziała, że to będzie jej mąż.

FIRULKES.

Co ty wygadujesz? ty myszygene! ty bombiny rozpowiadasz.

JOJNE.

Nie bombiny, ale prawdę. Niech una sama powie czy to nie prawda! niech una sama powie! una chce rozwód,

WSZYSCY

(j. w.).

Rozwód?

SZWARCENKOPF

(do Małki).

Ty chcesz rozwód? dlaczego ty chcesz rozwód?

MAŁKA.

Dlatego, że każdy człowiek ma prawo chcieć żyć i być szczęśliwym. Dlatego, że ja dałam wam blisko cały rok mego życia, podczas, gdy ty, ojcie, siedziałeś pod piecem a mój mąż na kanapie i nie zdawaliście się spostrzegać, że ja konam w każdej chwili jak więzień na galerach, albo jak koń do deptaku wprzągnięty.

SZWARCENKOPF.

Czego tobie było potrzeba? Ty miałaś wszystko, miałaś handel, miałaś męża...

FIRUŁKES.

My dali wszystko co potrzeba do gospodarstwa, z miedzi i pościeli!

JOJNE

(płacząc).

I taki śliczny samowar...

MAŁKA.

Zabierzcie więc to wszystko i ten handel i tę pościel i ten samowar a mnie wypuście z duszą, bo do mojej duszy nie macie prawa. Żaden dokument, żadne ksybe nie pozwala wam więzić duszy kobiety, która inaczej pojmuję życie, niż wy i czego innego od życia potrzebuje.

FIRUŁKES

(z krzykiem).

Rozwód? a kto mnie moje strate zapłaci? kto wszystkie wydatki zwróci co my na ślub i na prezenta i na ubranie Jojny wyłożyli? A przez jej gospodarstwo w sklepie, to tylko strata a nie żadne zyski. Wy mi to musicie wszystko zapłacić!

JOJNE.

Ja nie pójdę do rozwodu.

FIRUŁKES.

Płaćcie.

SZWARCENKOPF

(cały drżący z gniewu).

Czekajcie Firułkes! czekaj Jojne! Ja się z nią rozmówię! a schlehtes Kind! a verflohtes Kind! to ty chcesz iść do rozwodu! to ty chcesz

swego starego ojca znów z zapalkami i papierosami na bruk wyrzucić? Ty mi żywa za takie słowo, jak rozwód z rąk nie wyjdiesz! Słyszysz!

MAŁKA.

Ależ, ojcze, bądź pewien!

SZWARCENKOPF.

Cicho bądź! Ty raz Jojne przysięgłaś, że będziesz jego żoną. Ty bezwstydna co się pod dachem męża z jakimiś obcemi całujesz... ty do nóg padnij Jojne, niech on ci przebaczy i nazad weźmie.

FIRUŁKES.

On ją tak nie weźmie. Ty, Szwarcenkopf, musisz mi za jego krzywdę zapłacić.

SZWARCENKOPF.

Ty słyszysz, co ty nawyrabiałaś (chwytając Małkę za kark). Ty mi padnij do nóg Jojnie i nie myśl o rozwodzie ty...

(rzuca Małkę na kolana przed Jojną. Małka wrywa mu się z rąk i rzuca się ku drzwiom).

SZWARCENKOPF.

Ja ciebie przeklnę, jak ty za próg tego domu wyjdiesz!

MAŁKA.

Przeklinajcie! tylko wypuście mnie stąd żywą.

SZWARCENKOPF

(odtrąca ją od drzwi i zamyka je na klucz).

Ty zostaniesz a verfluchtes! a verdamtes Kind! tu twój dom! krokiem z mego nie wyjdiesz. Wy wszyscy chodźcie do sklepu, niech ona tu zostanie i opamięta się!

Zasłona spada.

AKT PIĄTY.

Ten sam pokój co w poprzednim akcie, na stole pali się świeca. Jedno z łóżek osłonięte parawanem. Na kanapie siedzi Jojne i drzemie. Na krześle siedzi Jenta i także drzemie. Po chwili rozlega się stukanie do drzwi. Wchodzi stary Szwarcenkopf, podchodzi do Jenty i budzi ją.

SCENA I.

JENTA, SZWARCENKOPF, JOJNE, za parawanem
MAŁKA.

2 2

SZWARCENKOPF.

Jenta! obudź się... Doktor zaraz przyjdzie.

JENTA

(budząc się z trudnością).

Doktor... do kogo?

SZWARCENKOPF.

Do kogo? do... niej!

JENTA.

A! tak do Małki! (wstając). Ja sobie trochę się zdrzemiałam.

SZWARCENKOPF.

Czy wuna nic nie mówiła.

JENTA.

Niel może wreszcie zasnuła.

SZWARCENKOPF.

Idź i zobacz co ona robi?

JENTA

(idzie i zagłada przez parawan).

Siedzi sobie w kącie koło łóżka i oczy ma otwarte.

SZWARCENKOPF.

Ona czwartą noc nie śpił... (po chwili). Czy ty, Jenta, dobrze drzwi od sklepu zamknęła!

JENTA.

Nie bójcie się, Szwarcenkopf, tam się złodziej nie dostanie.

SZWARCENKOPF.

Mnie już o złodzieja nie chodzi, Jenta, ale mnie o to chodzi, żeby tamten tu się nie wkradł i z Małą w konszachty nie wszedł. Ta Glanzowa wczoraj przemocą wejść chciała, ale ja, Jenta, zrozumiałem, że ta kobieta musi być ich współniczka i ja nie wpuściłem jej do mego mieszkania.

JENTA.

Ty źle zrobił, Szwarcenkopf. Może ona jakie ważne słowo miała do powiedzenia.

SZWARCENKOPF.

Jakie ona może mieć ważne słowo? Ja nie chcę, żeby ona się z Małą widziała.

JENTA.

Niech się z tobą zobaczy, Szwarcenkopf. Trzeba koniecznie się z nią zobaczyć. Niech ona nam powie, niech wytłomaczy.

SZWARCENKOPF.

Ja nie chcę słyszeć jej wytłomaczenia. Małąkę zły duch opętał, ja był u rabina, on się za nią modlić będzie a jak nie pomoże, to on ją zobaczy. A teraz rabin kazał, żeby do niej doktora sprowadzić i leczyć, żeby nie wpadła w jaką ciężką chorobę... Rabin mi kazał mieć wiarę, że to się skończy dobrze... że znowu rozumu nabierze i znowu wszystko będzie jak dawniej. Aj, Jenta! Jenta! tak było tu dobrze i cicho... tak stary Szwarcenkopf grzecznie pod piecem siedział i ciepło mu było i wygodnie... A verfluchtes! verdamtes! verdamtes Kind! Jojne! Jojne!

JOJNE

(podnosząc głowę).

Ja nie śpię. Szwarcenkopf.

SZWARCENKOPF.

Jak ty nie śpisz, Jojne, to dlaczego ty nie pójdziesz tutaj i nie posłuchasz co mnie rabin powiedział.

JOJNE

(kiwając smutnie głową).

Tobie, Szwarcenkopf, powiedział rabin to a ja tu sobie powiedziałem — drugie.

SZWARCENKOPF.

Ty głupi jesteś, Jojne, to co rabin powie,

to więcej warte, niż to, co ty możesz w twojej głupiej wymyślić głowie.

JOJNE.

Rabin nie zna moich myśli ani tego, co się w mojej duszy dzieje. A ja znam i myślę tak sobie od czterech dni i sam ze sobą rozmawiam. I ja sobie już dużo powiedziałem, Szwarcenkopf.

SZWARCENKOPF.

Ty się tymczasem ogarnij trochę i wstań bo zaraz przyjdzie doktor. O!... już idzie (Jojne nie wstaje z kanapy ale opiera głowę na rękach i pogrąża się w myślach).

DOKTÓR

(w progu).

Czy tu mieszka Firulkes?

SZWARCENKOPF.

Tu! tu!... proszę! niech pan doktor wejdzie...

DOKTÓR

(wchodząc).

Czy to wy po mnie przychodziliście!

SCENA II.

CIŻ SAMI i DOKTÓR.

(Doktor niemłody mężczyzna dostatnio ubrany, traktuje wszystkich z góry i niedbale).

□ □

DOKTÓR.

Któż to jest chory?

SZWARCENKOPF.

Moja córka, panie doktorze.

DOKTÓR.

Co jej jest?

SZWARCENKOPF.

Jenta, idź ty i przyprowadź tu Małkę.

DOKTÓR.

Dajcie mi drugą świecę, bo tu ciemno jak w grobie.

SZWARCENKOPF.

Zaraz, panie doktorze,

(idzie zapalić drugą świecę, Jenta z za parawanu wyprowadza Małkę bardzo bladą i bardzo zmienioną).

JENTA.

Oto jest chora, panie doktorzel

(Małka stoi przed doktorem nie patrząc na niego).

DOKTÓR

(do Szvarcenkopfa, który przyniósł świecę).

Postawcie tu świecę. Tak! (do Małki). Odpowiadaj teraz wyraźnie i prędko, bo ja nie mam czasu. Co cię boli? co wam jest! głowa! płuca, żołądek?

(Małka nie odpowiada).

SZWARCENKOPF.

Z przeproszeniem pana doktora, ale ja...

DOKTÓR.

Cicho! niech chora sama odpowiada. Dlaczego nie gadacie? Gardło was boli?

SZWARCENKOPF.

Ona nie odpowie...

DOKTÓR.

Dlaczego? głucha? niema? język ma ucięty?

SZWARCENKOPF.

Nie, panie doktorze, ale ona ma zmartwienie i z tego chorość. Ona nie chce jeść, ani gadać, ani spać, tylko siedzi w kącie i myśli.

DOKTÓR.

Musieliście jej zrobić jakąś krzywdę (do Małki). Czy możecie mi powiedzieć co się wam stało? (bierze ją za puls). Hml... wielkie wycieńczenie, przytem silne zdenerwowanie.

MAŁKA.

Ja mam do pana wielką prośbę!

DOKTÓR.

Wreszcie przemówiliście. To szczęście.

MAŁKA.

Ja od czterech dni nie śpię. Mnie to strasznie męczy... Ja chciałabym zasnąć i trochę w tym śnie odpocząć... Może pan doktor mi da jakie lekarstwo na sen uspakajający...

DOKTÓR.

Owszem, mogę wam przepisać trochę morfiny. Zaśniecie spokojnie. A oprócz braku snu co wam dolega?

MAŁKA.

Nic!

DOKTÓR.

Musicie mieć jakieś moralne zmartwienie. U was się to często zdarza. Zameżna? Tak! A to się wyjaśnia. Chwilowa scena z mężem! Zapiszę środek uspokajający nerwy, lepiej jednak zrobicie, jeśli w tak młodym wieku nie będziecie się poddawali nerwom, bo później zrobi się z was jędba i mąż uciekać od was będzie na cztery wiatry. No, idźcie spać, zjedzcie rosół z kury z kaszką, weźcie proszki i dajcie mi z waszemi chorobami święty spokój. Gdzież jest papier i pióro?

SZWARCENKOPF.

Ja już wszystko przygotowałem, panie doktorze.

(Doktor siada do stołu i pisze receptę).

SZWARCENKOPF

(do Jenty).

Ile jemu trzeba dać?

JENTA.

Może trzydzieści, może pięćdziesiąt kopiejek.

SZWARCENKOPF.

Ja mu dam trzydzieści i zawinę w papier, to on nie zobaczy.

JENTA.

A jak z papieru odwinie?

SZWARCENKOPF.

To ja powiem, że ja się pomyliłem.

DOKTÓR

(napisawszy receptę).

Idź z tem do apteki a potem dawać ostrożnie,
bo jak się weźmie za dużo to może zaszkodzić.

(Jenta bierze receptę).

JENTA.

Ja pójdę i poczekam, to zaraz przyniosę.

DOKTÓR

(sposstrzegając Jojne).

A temu co jest? czy go zęby bolą.

SZWARCENKOPF.

Nie, panie doktorze, ale un ma zmartwienie
i un tak sobie siedzi i myśli; ten jest jej mąż.

DOKTÓR

(śmieje się).

To! mąż! do chederu mu jeszcze chodzić
a nie żenić się... Bywajcie zdrowi. Na drugi
raz nie nudźcie mnie temi głupstwami, bo jak
które będzie naprawdę umierało to nie uwie-
rzę i nie przyjdę.

SZWARCENKOPF.

Po co my mamy już umierać! po co?

DOKTÓR.

A to sobie żyjcie!

(Szwarcenkopf podaje mu pieniądze w papierku. Doktor
bierze, rozwija z papierka, w tej chwili Szwarcenkopf
zaczyna).

SZWARCENKOPF.

Ja się po... (widząc, że doktor chowa pieniądze nie licząc). Dobranoc panu doktorowi
(doktor wychodzi, Szwarcenkopf odprowadza go ze świecą).

JOJNE

(podnosi głowę i patrzy na Małkę).

Małka!

(Małka nie odpowiada, tylko podchodzi do stołu i gorączkowo pisze kilka słów na pozostałych kartkach papieru).

JOJNE.

Do kogo ty piszesz Małka. Ty mi nie odpowiadasz a ja Małka tak chciałem ci powiedzieć... że...

SZWARCENKOPF

(powraca, Małka chowa zapisany papier za gors).

Idź ty na łóżko, Małka, zaraz ci lekarstwo Jenta przyniesie. Jak się wyśpisz, to jutro ja ci powiem, co rabin mi powiedział. Bo ja przez ciebie chodziłem do niego i mój wstyd przed nim odkryć musiałem. Ale niech on między nami rozsądzi i tobie powie.

MAŁKA.

Napróżno ty chodziłeś do rabina, mój ojczel! Pomiedzy mną a tobą jest tylko jeden sędzia najwyższy i najsprawiedliwszy! Do niego ja się udam po rozsądzenie naszego sporu.

SZWARCENKOPF.

Ty mnie chcesz do sądu pozwać? ty stąd nie wyjdiesz, ja ci to powiedziałem!

MAŁKA.

Nie, ojczy, ja stąd nie wyjdę. Możesz być spokojnym. A na ten sąd cię wezwą nie dziś, nie jutro, choć kto wie, może prędzej aniżeli przypuszczasz. Bądź zdrow, mój ojczy! Bądź zdrow, biedny Jojne!

(odchodzi za parawan).

SZWARCENKOPF.

Może ona się opamiętała.

SCENA III.

CIŻ SAMI, STARY FIRUŁKES później JOJNE.

■ ■

FIRUŁKES

(wchodzi gwałtownie).

Co się stało?

SZWARCENKOPF.

Nic się nie stało! co się miało stać!

FIRUŁKES.

Gdzie Małka? nie uciekła?

SZWARCENKOPF.

Co ona miała uciekać. Ona jest trochę chora, to ona sobie leży za parawanem. Czego ty, Firułkes, tak się rzucasz i hałasujesz.

FIRUŁKES.

Jak ja nie mam hałasować kiedy i ja i mój syn mamy przez waszą córkę stratę i wstyd.

SZWARCENKOPF.

Wy jeszcze żadnej straty nie macie, bo o tem co się stało nikt nie wie... a w sklepie dziś siedziała Jenta i targ był dobry. Więc czego ty chcesz, Firułkes?

FIRUŁKES.

A zmartwienie Jojny? a te jedzenie co Jenta zje?

SZWARCENKOPF.

Za to Małka nic nie je.

FIRUŁKES.

Tak nie będzie... tak nie może być! Niech ten sam Gabide co na ślub twojej córki zbierał, uzbiera jeszcze trochę pieniędzy i ty możesz te pieniądze nam dać, jeżeli chcesz, żeby mój Jojne twoją córkę w domu trzymał...

SZWARCENKOPF.

Gabide tego nie zrobi, ten może dopomódz wydać córkę zamaż, ale on w takiej sprawie nie może się mieszać.

FIRUŁKES

(krzycząc).

Róbcie co chcecie... ja stratny nie będę, żebym tak zdrow był.

SCENA IV.

CIŻ SAMI i JENTA.

■ ■

JENTA.

Jest lekarstwo! (do Szwarcenkopfa). Ja mam z wami pomówić, Szwarcenkopf.

SZWARCENKOPF.

Idź, daj jej lekarstwo niech weźmie.

JENTA

(podchodząc do parawanu).

Masz Małka flaszeczkę (do Szwarcenkopfa). Tutaj jest Glanzowa. Una chce z wami pomówić. Una ma dla was wszystkich dobry porządek i złoty interes. Nu!... co szkodzi? Pogadać z nią możecie. To nie kosztuje a jak z nią pogadacie to może się wszystko na dobre zmienić!

SZWARCENKOPF.

Ty mówisz co ona ma interes dla nas!

JENTA.

Jak jestem żywa

(mówi po cichu).

FIRUŁKES.

Ty, Jojne, żebyś się z nią nie przeproszał aż nam dadzą pieniędzy.

JOJNE.

Ja się z nią wcale przeproszać nie będę.

FIRUŁKES.

Jak zapłacą to ty się przeproś... ja ci powiadam.

JOJNE.

Niech ojciec nie krzyczy, bo ja się nie zlekne... Ja wiem co mam zrobić i ja to zrobię.

FIRUŁKES.

Ty myszygene! ty wiesz co masz robić? ty

głupil ty dumer Kerl! ty nie myśl co ty masz zrobić, ja za ciebie będę myślał i postępował.

SZWARCENKOPF

(do Jenty).

Idź i powiedz jej niech tu przyjdzie. Wpierw jednak zobacz czy Małka zasnęła.

JENTA

(idzie za parawan i wraca).

Zasnęła. Traciłam ją, ale się nie obudziła.

SZWARCENKOPF.

Zasuń dobrze parawan i przyprowadź tę kobietę

(Jenta wychodzi).

FIRUŁKES.

Co to za kobieta?

SZWARCENKOPF.

Ona mówi, że ona ma dla nas korzystny interes i że my wszyscy możemy na nim dużo zarobić pieniędzy.

FIRUŁKES.

No, to niechaj prędko wejdzie.

SCENA V.

CIŻ SAMI i GLANZOWA.

□ □

GLANZOWA.

Dobry wieczór! Dlaczego ty, Szwarcenkopf, tak długo mnie tu wpuścić nie chciałeś?

SZWARCENKOPF.

Bo wy, Glanzowa, musicie być współniczką od tego młodego człowieka, za którego Małka zamąż się wybiera!

FIRUŁKES

(z krzykiem).

I przez którego my tyle strat ponieśli, ja i mój syn, Jojne.

SZWARCENKOPF.

Sza. Firułkes! Małka się obudzi. Czy nie tak, pani Glanzowa, czy ja nie odgadłem, czy pani Glanzowa tutaj nie od niego przychodzi!

GLANZOWA

(spokojnie).

Tak, Szwarcenkopf, ja tu od niego przychodziłam i ja w tej chwili od niego przychodzę.

SZWARCENKOPF.

I wstydu nie macie, Glanzowa? wstydu nie macie podchodzić tak do uczciwej kobiety?

GLANZOWA.

Nie, bo Małka dla mnie nie jest zamężna. Ona jest piękna, delikatna, mądra, jak księżniczka a wy ją oddali ordynarnemu, brzydkiemu i ciemnemu Jojnie, co ledwie jaką Ryfkę, albo Surę ze wsi mógł za żonę sobie wziąć.

FIRUŁKES.

Mój syn miał pół sklepu.

GLANZOWA.

I cały jest połamany i krzywy. To nie ja

wstydzić się mam, ale wy, boście taki piękny kwiat na śmietnik wasz posadzili i chcieli żeby uwiadł, ale dopóki Glanzowa będzie żywa, to wychowanka mojej drogiej, biednej pani nie zginie. Ty, Szwarcenkopf, oddałeś Małkę za to, żeby już więcej z zapalkami nie chodzić i nic nie robić a pod piecem siedzieć. Pan Lewi, ten pan co się z Małką chce żenić, daje ci zaraz na rękę dwieście rubli i co miesiąc dwanaście rubli na twoje utrzymanie. To lepsze, niż czekać na łaskę Jojny i nie mieć nigdy kopiejki w kieszeni, czy nie? powiedz sam.

SZWARCENKOPF.

Ja tego nie powiem, że gorzej. Ale jaką ja będę miał pewność?

GLANZOWA.

On to w tuchim zapisze a potem, te dwieście rubli on ci je dziś albo jutro da.

SZWARCENKOPF.

A. kto wie, że on taki pan?

GLANZOWA.

On jest pan Jakób Lewi, adwokat, już teraz on otworzy kancelarię adwokacką.

FIRULKES.

Sicht! adwokat!

SZWARCENKOPF.

To... ja może i nicbym już nie powiedział, ani Jojne, ale stary Firulkes...

FIRUŁKES.

Nie! nie! my mieli duże straty... my nie chcemy.

GLANZOWA.

Powiedzcie na ile swoje straty liczycie?...

FIRUŁKES.

Czy ja wiem?... może na pięćset rubli... może i więcej pieniędzy a zmartwienie Jojny osobno.

GLANZOWA.

Jak wy się nie wstydzicie, Firułkes, mówić mnie, kobiecie rozumnej takie rzeczy. Ślub i wesele zapłacił do połowy Szwarcenkopf z pieniędzy, co mu Gabide u dobrych ludzi zebrał. Ja wiem ile kosztowała sala, ile serwer, ile kredencer, ile marszelik. A potem wiem ile meble...

FIRUŁKES

(zaperzony).

Wy nic nie wiecie. Co wy możecie wiedzieć? skąd wy możecie wiedzieć! Mnie sama ta kanapa kosztowała na Krasieńskim Placu siedem i pół rubla! Żeby tak szczęście do handlu miał, żeby tak niezaniewidział, żeby tak Jone rąk i nóg nie połamał!

GLANZOWA.

Ja widzę, że my z wami interesu nie zrobimy. To ja odchodzę...

SZWARCENKOPF.

Na co zaraz odchodzić? Jaka z pani Glan-

zowej gorączka... W interesie gniewu niema,
można pogodzić.

GLANZOWA.

Ja nawet słuchać takich słów nie mogę co
on opowiada... Pięćset rubli za takiego Jojne,
nyl ny! to żeby on ze złota był, toby jeszcze
tyle nie kosztował.

FIRUŁKES.

Teraz taki młody żydek co ma pół skle-
piku to wart złoto.

GLANZOWA.

Un wart najwięcej sto pięćdziesiąt rubli.

FIRUŁKES.

Kikstel! sto pięćdziesiąt rubli! to kuń wię-
cej kosztuje a un nie ma sklepiku!

GLANZOWA.

Chcesz dwieście, tak jak Szwarcenkopf.

FIRUŁKES.

Żebym tak zdrow był, nie mogę. Mnie
samego do handlu więcej kosztuje.

SZWARCENKOPF.

Niech będzie trzysta i niech będzie zgoda...

FIRUŁKES.

Sich! jaki mądry! sam dostał dwieście
i procent dwanaście na miesiąc a mnie każe
brać trzysta.

SCENA VI.
CIŻ SAMI i JAKÓB.

□ □

GLANZOWA.

Ot i pan Jakób, najlepiej się z nim ułożycie.

JAKÓB.

Nie mogłem dłużej wytrzymać w tej niepewności. Co się tu dzieje? Czy przystajecie? Gdzie Małka?

(Jojne wstaje i bardzo wzruszony patrzy na Jakóba).

JOJNE

(na stronie).

To on! to jego Małka kocha!

GLANZOWA.

Stary Szwarcenkopf przystaje, ale ojciec Jojny bardzo się targuje.

JAKÓB

(do Szwarcenkopfa).

Dziękuję wam i bądźcie przekonani, że nie pożałujecie zamiany. Postaram się, ażeby wam do końca życia nie brakowało na niczem. Oboje z Małką potrafimy odwdziżyć się wam za to, że zezwoleniem swoim przyczyniliście się do naszego szczęścia.

FIRULKES.

Ale ja nie mogę się zgodzić...

JAKÓB.

Ile żądacie?...

FIRUŁKES.

Ja dla siebie pięćset rubli.

JAKÓB.

Jakkolwiek jest to żądanie zuchwałe, jednak zgadzam się. Będziecie je mieli...

FIRUŁKES.

A teraz mój syn, Jojne... on miał przez pana duże zmartwienie... Jemu trzeba też wynagrodzić.

JOJNE

(nagle stanowczym tonem z resztką nieśmiałości i walcząc ze łzami).

Mnie nic nie trzeba wynagradzać, ojczel

FIRUŁKES.

Ty głupi, ty się do handlu nie wtrącaj...

JOJNE

(podchodząc do Jakóba).

Uni dwa panu Małkę sprzedali, ale Jojne swojej żony nie sprzeda i swoich łez nie sprzeda i swego zmartwienia nie. Bo ani na żonę, ani na łzy, ani na smutek to niema nikt takich wielkich pieniędzy, żeby za to mógł zapłacić!

FIRUŁKES.

Ty głupi, ty nie psuj interesu, ty musisz iść do rozwodu.

JOJNE.

Ja Małki nie sprzedam, ale ja panu ją oddam. Niech ją pan za żonę weźmie, bo pan dla niej na męża lepiej dobrany, niż ja pro-

sty, głupi i brzydki Jojne. Ona była dla mnie bardzo dobra i pocziwa, ale ja teraz zrozumiałem, że ona miała za mną ciężkie życie i była bardzo nieszczęśliwa. Teraz to przynajmniej ja jeden będę miał smutek i zgryzotę a ona będzie wesółą i będzie sobie z panem dobrze i szczęśliwie żyła... Niech ją pan weźmie... ja pójdę do rozwodu... tylko niech mnie pan pieniędzy nie daje... bo choć Jojne głupi, ale on za pieniądze swego serca nie sprzeda.

JAKÓB

(podając mu rękę).

Pocziwe biedne serce, które uczciwie i szlachetnie bijesz w tem przygniatającem otoczeniu!

JOJNE

(usuwając rękę i kierując się ku drzwiom).

Ja pójdę trochę pospacerować! Ja o jedno was poproszę! jak ja wrócę, to już niech Małka stąd pójdzie!... ja nie mógłbym jej widzieć (z głośnym płaczem wychodzi i żegnając się z nimi), nie mógłbym jej widzieć.

JAKÓB.

Jutro pójdziecie ze mną spisać umowę i pieniądze wam wypłacone zostaną. A teraz, gdzie jest Małka? trzeba ażeby się przygotowała do opuszczenia tego domu. Pani Glanzowa, zabierzcie ją do siebie.

SZWARCENKOPF.

Małka jest trochę chora, zasnęła sobie po lekarstwie.

JAKÓB.

To ją zbudźcie. Trzeba, ażeby z nami poszła. Należy uszanować żądanie Jojny i zrobić to, co on prosił.

SZWARCENKOPF

(idzie za parawan).

Małka! Małka! wstawaj wszystko się dobrze skończyło... idziesz do rozwodu... herst du? do rozwodu!

(Milczenie).

JAKÓB.

Niech Glanzowa pójdzie obudzi Małkę, moja Glanzowa.

(Glanzowa idzie za parawan, usuwa go tak, że jest widoczne łóżko dla widza. Na łóżku ubrana leży Małka nieżywa. W ręku trzyma wypróżnioną butelkę z morfiną. Na piersiach ma przypiętą kartkę papieru, na stole pali się świeca).

GLANZOWA.

Panno Małko! Panno Małko! wstań! i ja tutaj i pan Jakób przyszliśmy po ciebie (nagle odsuwa się z przestraczem). Panie Jakóbie! zobacz pan!

JAKÓB.

Co takiego?

(biegnie do łóżka, patrzy na Małkę, nachyla się, chwytając ją w pól, flaszka wypada z rąk trupa, on zrywa z jej piersi kartkę).

JAKÓB.

Otruła się! nie żyje!...

SZWARCENKOPF.

Nie żyje?

JAKÓB

(czyta kartkę).

„Nie płaczcie po mnie i darujcie. W tej chwili nareszcie zupełnie jestem szczęśliwa“
(pada na kolana przy łóżku). Małko! Małko! i ja ci niosłem w tej chwili szczęście, ale przyszedłem zapóźno!

Zasłona wolno spada.

JOJNE FIRUŁKES

SZTUKA w PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

CIEŃ MAŁKI.
CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.
JOJNE FIRUŁKES.
STARY FIRUŁKES.
CHANA OBERWASSER.
JAŃCIO.
LAJBELE.
BALCIA.
DAWID.
SZMULE.
REBE AJZYK.
REBICE.
MOZESA.
GUSTA.
LEJZOR.
MARJEM.
AWRUMEL.
CHERŻINE.
MAMKA.
CHAJA FLINTA.
TREJNE.
SZOLEK.
SZLOJME.
LAJBE.
JOSEL.
WŁAŚCICIEL PIEKARNI.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia wnętrze izby, podzielonej na dwie części szafą i trzcinowym parawanem. Z prawej od widzów jest sklepik z drzwiami w głębi na ulicę. Dwa kontuary i szafa z nędznymi towarami galanteryjnymi i gałkotką na ladzie. Lewy kontuar ma kilka kołków, na nich czapki i kapelusze żydowskie. Za szafą i parawanem (lewa strona widzów) jest kąt, w którym stoi pięć łóżek drewnianych; na nich niema sienników, tylko masa szmat. Na środku stół, przed nim wązka ławka; krzesło trzcinowe bez siedzenia. Przez całą przestrzeń poprzeciągane sznurki, na nich szmaty, koszule i pieluchy. W kącie piec, obmazany i brudny; dokoła niego suszą się szmaty i pończochy. Nędza straszna. W lewym oddziale chodzą kury, stoją konewki, garnki, miotła. Koło pieca balia. W chwili podniesienia zasłony na scenie znajdują się: Jańcio, siedzi na łóżku zgarbiony i patrzy w ziemię, Gusta pierze bieleznię w balii, Dawid Nus śpi na łóżku, Milcia, mamka, siedzi także na łóżku, przy niej leży małe dziecko; Balcia stoi na środku i płacze; przy stole siedzi Lajbele i czyta. Koło Jańcia stoi Chana. W sklepiku za kontuarem lewym siedzi Mozesza i szyje. Przed kontuarem stoi Marjem z dzieckiem na ręku. Dwoje dzieci małych bawią się w kącie koło stołu.

SCENA I.

JAŃCIO, GUSTA, DAWID, BALCIA, MILCIA, LAJBELE,
CHANA, MARJEM, MOZESA, dwoje dzieci.

□ □

CHANA

(niska żydówka, z twarzą obrzękłą i żółtą, odziana trochę
czyściej, niż inni, chustka pod brodą zawiązana).

Jańciul Jańciu! nie będziesz nic jadł?

JAŃCIO

(młody jeszcze żyd, zaniedbany i chmurny, milczy i mru-
czy coś niewyraźnie).

CHANA.

Niech Jańcio co odpowie. Może Jańcio chce
kawałeczek mięsa?

(Wyjmuje z papieru jedzenie).

MAMKA MILCIA.

Lepiby mnie pani dała, jak tam jemu pod
gębę podtykać. Nie chce jeść, to niech nie je.

CHANA.

Niech mamka zamilczy sobie i nie wtrąca
się. Mamka jeść dostała — niech mamka ci-
cho siedzi. Pan jest pobożny, to pan nie mo-
że gadać, jak inne ludzie.

GUSTA

(młoda, obdarta, wesoła).

Ty, Chana, sama Jańcia psujesz. Ja, żebym
takiego męża miała, to onby musiał jeść i co
robić.

CHANA

(z lamentem).

No, co ja na to poradzę? On ani mnie,
ani dzieci nie ma w sercu! On mi tylko inte-
res paskudzi, bo ja się bez niego zawsze do
zajęcia spóźnię; i te panie w ochronie mówiły,

że jak na czas do gotowania nie przyjdę, to zarobek stracę. A co ja zrobię? gdzie ja pójdę z temi dziećmi?

GUSTA

(piorąc).

Dobrze tak! dobrze tak! Czego zamaż iść? Ja tam zamaż nie pójdę! nie pójdę! nie pójdę!

MAMKA.

Aa! aino by palicem kto kiwnon!

GUSTA,

Niech mamka gębę zawrze i nie wtrąca się, kiedy państwo rozmawiajom.

MAMKA.

Państwo! hi! hi!

CHANA.

Nie będzie Jańcio jadł? Balcia, czego ty płaczesz? ty chcesz, żeby ze mnie wątroba uciekła? co ty chcesz? śledzia? ni? trzewików?

BALCIA.

Ja chcę trzewików! Ja nie mogę chodzić do szkoły, ja się wstydzę... ja nie mam trzewików.

CHANA.

Ty w domu siedź! ty nie chodź do szkoły... dziewczyna, tobie szkoła nie potrzebna. Lajbele, chcesz śledzia?

LAJBELE.

Nie chcę!

CHANA.

Ciebie znów głowa boli?

LAJBELE.

Boli... Ja nie pójdę do szkoły.

CHANA.

Ty złe, ty nieposłuszne dziecko — ty nie chcesz iść do szkoły? A na co ja tyle nauczycielom płacę do roku? Ja chcę, żebyś ty był uczony. Ty na uczonego pójdziesz, ty może nauczycielem będziesz, ty będziesz wielkim panem, ty głupi!

LAJBELE.

Mnie głowa boli.

CHANA.

Ucz się! czytaj elementarz, to cię głowa nie będzie bolała.

MAMKA.

Dzie to widziane, żeby takiego bachora do książki już naganiać!

CHANA.

Niech mamka będzie cicho! Jańciu! niech Jańcio zje mięso!

(Jańcio coś mruczy po żydowsku).

Co Jańcio mówi?

GUSTA

(przechyla się przez poręcz łóżka).

On mówi, że nie zarobił, to nie będzie jadł.

CHANA.

No, to niech Jańcio zarobi, niech Jańcio się czego chwyci. Aj! aj! już idę!...

(związuje chustkę).

MARJEM
(do Mozesy).

Panna Mozesza nie wie, która to godzina?

MOZESA.

Nie wiem dokładnie, moja Marjem, ale ot belfer idzie po Lajbele — musi być trzecia.

BELFER AWRUMEL

(stary i nędzny żyd wchodzi i woła):

Lajbele! Lajbele! chodź do szkoły! (bije kłapaczką we drzwi). Chodź do szkoły... in di szule reino!

CHANA.

Lajbele, zbieraj się, belfer po ciebie przyszedł!

LAJBELE
(płacząc).

Mnie głowa boli!

CHANA.

Jaką ja mam z tobą gryzawkę, ty nieposłuszne dziecko! Ja się z ostatniego zdzieram i belfera i szkołę płacę, a ty nie chcesz do szkoły iść? To Balcia płacze, że nie ma bucików i do roboty iść nie może — a ty, co masz nowe buciki, iść nie chcesz? Ty taki sam, jak twój ojciec, nieposłuszny i bzikowaty...

(Bierze za rękę Lajbele i prowadzi do sklepiku).

BELFER AWRUMEL.

To dziś już się miesiąc skończył.

CHANA.

Masz tu, Awrumel, dwadzieścia kopiejek, a dziesięć ci jeszcze jutro dodam, bo nie mam... A pilnuj, dziecko niech się uczy.

BELFER AWRUMEL.

Robi się, co można, Chano! Z naszej szkoły wyszedł rabin, ten, co jest w Amsterdamie i ma dwadzieścia tysięcy rocznego dochodu (ironicznie). Może i twój syn?

MARJEM.

Dwadzieścia tysięcy? Ajzyk dwadzieścia tysięcy!

BELFER AWRUMEL.

Jak jeden nic... ale to musi Lajbele długo się uczyć...

CHANA.

Niech się uczy; choć on idzie do szkoły jak na bicie... Ja skórę z siebie zwlekę, ale on musi być mądry i uczony.,.

MOZESA.

Chano, Lajbele jest chory; patrz, jaki on blady!

CHANA.

On się wdał w ojca. On taki sam blady i nieposłuszny, jak jego ojciec. Idź, Lajbele; jak wrócisz, dam ci obwarzanek — idź!

(Wypycha za drzwi belfera i Lajbele).

SCENA II.

CIŻ SAMI, oprócz Lajbele i belfra, później STARY FI-
RUŁKES. Chana idzie do swego kąta, zagląda do dziecka,
szturcha w plecy Balcię, zapędza kury pod łóżko; przez
ten czas Gusta pryska wodą z balji na śpiącego na łóżku
Dawida.

□ □

GUSTA.

Dawid, Dawid, wstawaj!

CHANA.

Daj ty jemu pokój — niech on się wyśpi...

GUSTA.

Kawaler jest — powinien być rzeźwy i wesół...

CHANA.

Ale... napracuje się w piekarni, to niech
w dzień pośpi... Aj! żebym to ja mogła przy-
legnąć i pospać!

GUSTA.

Ny — a kto za mnie pójdzie do ochrony
jeść gotować? Może Jańcio, albo Balcia?
A kto na pierwszego pieniądze do domu
przyniesie?... Jańcio nie je? To ja schowam
na piec. A niech mamka tu nie ruchnie je-
dzenia, słyszy mamka?

MAMKA

(układając się do snu).

I zaraz ci tam ruchnę!

CHANA.

Bo ja wczoraj położyłam trzy kawałeczki
śledzia i kawałeczek chały, a ktoś ruchnął.

MARJEM

(do Mozesy).

Panna Mozesza co teraz szyje?

MOZESA.

Czepek dla córki Chai Skowronek, czepek weselny zaraz na drugi dzień po ślubie.

MARJEM.

Panna Mozesza ciągle pracuje?

MOZESA.

Trzeba co zarobić, żeby żyć. I ty, Marjem, wzięłabyś się do jakiej roboty.

MARJEM.

Ja jeszcze chora, a potem, jaką ja mam robotę? Szmaty wyprałam a gotować nie mam co, ani w czym. Lejzo mi co z miasta przyniesie, jak mu targ pójdzie.

CHANA

(ubrana, kieruje się ku wyjściu).

Ja nafty z ochrony przyniosę, bo dziś lampy nalewają. Ty, Gusta, porozwieszaj bieliznę, niech się przesuszy. Może Jańcio pójdzie z dziećmi na spacer. Nie?... On się ciągle gniewa! Aj! aj! co to za mąż! co za mąż!

(Wychodzi do sklepu).

(Stary Firułkes staje na progu sklepu; pod pachami ma rozmaite przedmioty, poowijane w szmaty i papiery, w kieszeniach również).

MARJEM i CHANA.

Dzień dobry, Firułkes!

FIRUŁKES
(mrurowato).

Dzień dobry! Jojne wyszedł?

MOZESA.

Wyszedł.

FIRUŁKES.

Obrzydły próżniak!

Ustawia rozmaite pudełka i towary galanteryjne na kon-
tuarze i pułkach).

CHANA.

Co wy, Firułkes, jeszcze towary znosicie?
I tak targu niema, kto tu kupować będzie
takie elegantne rzeczy? Tu same parszywe
kundmany, same kapcany!

FIRUŁKES.

Nie wtrącać się do mojej roboty—ja wiem,
co ja robię. Dawno Jojne poszedł?

MOZESA.

Z godzinę.

CHANA.

Aj, Firułkes! wy także macie zmartwienie
ze swoim synem takie, jak ja z moim mężem.
Oni obaj są nieposłuszni — nic nie robią,
tylko myślą i gniewają się, a do geszeftu się
wziąć nie chcą.

FIRUŁKES.

Wasz mąż jest choć pobożny, a Jojne i po-
bożny nie jest i do interesu niezdolny.

CHANA.

Aj! za pobożność jedzenia nie kupisz!

MARJEM.

Ty sama, Chana, takiego męża chciałaś.

CHANA.

Chciałam! chciałam, żeby nie był latawiec i z porządnej rodziny.

MARJEM.

Nu — Jańcio jest z porządnej rodziny.

CHANA.

To się wie — i dlatego teraz nic robić nie chce. Ty, Mozesza, nie idź nigdy za takiego, co by nie był latawcem. Jak on będzie latawcem, to on będzie miał i ciebie i dzieci i interes w sercu. Niech on lepiej będzie wyżarty i wypity, a nie mruczkowaty. A Jojne i Jańcio — oba mruczkowate.

FIRUŁKES.

Niechby Jojne był mruczkowaty i zabiły, ale niechby do interesu był zdolny.

CHANA.

To się wie! to się wie! No, bądźcie zdrowi!
(Wychodzi).

FIRUŁKES

(do Marjem).

No, a kiedy wy, Marjem, mnie za stancję zapłacicie? Już trzeci tydzień pieniędzy nie widzę...

MARJEM.

Ja byłam chora.

FIRUŁKES.

To właśnie powinnaś była zapłacić. Tobie

panie miłosierne dały trzy ruble na chorobę —
dlaczego ty mi nie zapłaciłaś nic za stancję?

MARJEM.

Doktór wziął — dziecko było chore.

FIRUŁKES.

Ja pierwszy jak doktór, a stancja to pierwsza,
jak apteka. Ty, Marjem, chytra jesteś — ty
najlepszy kąt wzięłaś i całe łóżko i nie płaci-
sz. Ale żeby jutro pieniądze były, bo ja od-
najmę innemu małżeństwu wasze miejsce —
słyszysz?...

MARJEM.

Może Lejzor dziś co utarguje...

FIRUŁKES.

Mnie nic do tego...

MARJEM.

Wy nie macie serca, Firułkes, wy nie ma-
cie sercal

FIRUŁKES.

To nie o serce się rozchodzi, ale o pienią-
dze za stancję. Jak nie zapłacicie, to poszli
won — nie macie u mnie miejsca.

(Marjem wchodzi do izby, płacząc).

MOZESA

(cicho).

Ile Marjem panu za stancję winna?

FIEUŁKES.

Rubel pięćdziesiąt kopiejki.

MOZESA.

Ja panu dam pięćdziesiąt kopiejek dziś wieczór, jak robotę oddam... Niech im pan nie dokucza.

FIRUŁKES.

A rubel? Kto mi mój rubel zapłaci?

GUSTA

(do Marjem w izbie).

Czego ty, Marjem, znów płaczesz? Ty, Marjem, ciągle płaczesz! Firułkes krzyczy — niech krzyczy!

MARJEM.

Jak nie płakać, kiedy nawet za spanie nie ma czem zapłacić!

GUSTA.

Łzy wam nie pomogą, a tylko zaszkodzą...

MARJEM

(idzie do łóżka, lamentując).

Aj, nic mi już nie zaszkodzi... nic! A taka byłam młoda, taka piękna, jakem za Lejzora szła!

GUSTA.

Nie lamentuj, a zaśpiewaj! Wesołość smutek odgania! Aj, aj, Marjem! ty wiesz, o czem ja myślę? Nie? Ja myślę, że karnawał niedługo, że maski będą chodzić po domach, że będą śpiewać, tańczyć, opowiadać!

MARJEM.

Ty jesteś jeszcze panną, Gusta, ty nie masz żadne zmartwienie, ty możesz być wesoła, jak

młody wróbel!... Pośpię trochę, to Lejzor
prędzej przyjdzie.

(Kładzie się na łóżku, twarzą do ściany).

GUSTA

(wbiega do sklepiu).

Mozeso, daj ty mi igły z nitką—niech ja te
dziury zaszyję... Ty wiesz, Mozeso, ty mnie
(przykuca za kontuarem i szyje mokrą szmatę) musisz
na purim dać choć wstążkę na szyję. Może
maski do wuja przyjdą... jakże ja tak, biedna,
będę, kiedy wszyscy się będą cieszyć i we-
selić! Dasz mi wstążkę, Mozeso?

MOZESA.

Dam.

(W izbie Jańcio ogląda się na wszystkie strony, wstaje
powoli, cicho skrada się do pieca i wykrada jedzenie; je
ogromnie szybko i po chwili wraca na miejsce. Ten ma-
newr jego widzi mamka, która podnosi głowę z nad łóżka
i mówi, śmiejąc się. cicho).

MAMKA.

O! jak się to niby gniewa, a jak to źre
pocichu...

FIRUŁKES.

(do Mozesy, oparty o kontuar).

Ja Mozesie co powiem. Mozesza już się
namysłila nad asekuracją?

MOZESA.

Ależ, Firkułes, to chyba nie warto. Co się
tu u mnie może spalić?... trochę wstążek?
koronki? ny! co więcej? Jakby był ogień, to

można wszystko zgarnąć w fartuch i wynieść na dziedziniec.

FIRUŁKES

(gniewnie).

Mnie nic do tego! Ja tu mam towar — ja się o towar boję. Tu was mieszka czternaście osób, to kto niebądź może ogień zaprzążyć... Ja bez asekuracji nie mogę pozwolić, żeby panna odnajmowała pół sklepik!

MOZESA.

Ja się poradzę mego wuja, nauczyciela.

FIRUŁKES.

Nima co się radzić. Jutro rano urzędniki z asekuracji przyjdą towar obejrzyć i książki. Gdzie ten głupi Jojne ma książki? Jak on ten handel prowadził gdzie są jego książki?

MOZESA.

Ja wiem, gdzie są książki... ja Firułkesowi sama książki pokażę.

FIRUŁKES.

Nie trzeba... to Jojne musi mi zdać rachunki, żebym jutro mógł urzędników objaśnić. A z Mozesa żadne gadanie być nie może. Assekurirt — a nie, to niema u mnie miejsca! Ja tu zaraz wrócę.

(Wychodzi).

SCENA III.

CIŻ SAMI, oprócz starego Firułka; później CHAJA
z TREJNA, później UCZEŃ.

■ ■

GUSTA

(siedząc na ziemi).

Mozesa, ja wiem, czemu ty się boisz, żeby
cię Firułek z pół sklepu nie wyrzucił.

MOZESA.

Znowu powiesz co głupiego, Gusta.

GUSTA.

Ty zanadto za Jojnem trzymasz, Mozesa.

MOZESA.

Za Jojnem?

GUSTA.

Ty myślisz, że Gusta jest ślepa? Choć ja
tu nie mieszkam, tylko codzień dopadnę, bo
mi się u wuja nauczyciela przykrzy, to ja
was podpatrzyłam — ciebie i Jojnego. Ty nie
tak postępujesz, jak to u nas w zwyczaju.
Ty nie czekasz na swatów, ty sama sobie
męża szukasz. Ty, Mozesa, jesteś mądra!

MOZESA.

Żebyś ty, Gusta, nie była moja siostra, ja
musiałabym się na ciebie gniewać...

GUSTA.

Gniewać się niema za co. Jojne, choć głup-
kowaty i taki zabity, jak Jańcio, ale zawsze

ma pół sklepik i jest mężczyzna. On wowiec — no, ale dzieci nie ma. Ja za niego bym nie poszła, ja ciąglebym go za uszy targała; ale ty, Mozesza, ty jesteś także mruczkowata i trochę głupia, to Jojne mąż dla ciebie.

MOZESA

(smutnie).

Nie, Gusta, Jojne mnie nie kocha!

GUSTA.

Ty jesteś głupia, Mozeszo, on ciągle z tobą gada. On innym to i dzień dobry nie powie, a z tobą się rozkloni i — jeszcze wiem coś więcej,..

MOZESA.

Cicho już, Gusta...

GUSTA.

I książki jakieś tobie czyta...

MOZESA.

Cicho! (po chwili). Zkąd ty wiesz o tem?

GUSTA.

Mnie mówił Dawid, że was mąż w nocy podpatrzył... Mówił, że widział, jakście tu w sklepiku nocą książki czytali.

MOZESA.

Jak on widział? Przecie on w nocy w piekarni chleb piecze.

GUSTA.

On przez szpary w drzwiach podpatrzył.

On był bardzo zły... bo ty wiesz, Mozesza, Dawid to także o tobie myśli.

MOZESA.

Ale ja o nim nie myślę.

GUSTA.

To źle, Mozesza, Dawid piękny mężczyzna, on będzie może zarabiał dużo pieniędzy—on ma ciebie w sercu.

(Wchodzą Chaja i Trejne. Chaja—tłusta, gruba żydówka, Trejne—mała, prawie dziecko, rozczochrana żydóweczka).

CHAJA.

Dobry wieczór, panno Mozeszo! Przychodzimy—ja i moja Trejne—po czepek i perukę.

MOZESA.

Już jest gotowe, tylko gumkę przyszyję.

CHAJA

(ogląda perukę i czepek).

Bardzo ślicznie; tylko, czy to nie będzie zamałe?

MOZESA.

Brałam miarę.

CHAJA.

Ona może jeszcze urość — jej głowa może jeszcze urość... ona jest bardzo młoda.

(Gusta wyłazi z za kontuaru i przygląda się ciekawie Trejnie).

CHAJA

(mówi dalej; przymierza perukę na rozczochrane włosy Trejny).

Jej narzeczony jest tyż młody—ale on jest

syn pobożnego ojca i ojciec jego jest w jatce na Franciszkańskiej. On ma, ten stary, funt mięsa na dzień, to on synowi daje pół funta—i Trejne będzie miała codzień mięso.

GUSTA.

El... ja nie lubię jeść mięsa.

CHAJA.

Tu nie idzie o to, aby mięso zjeść, ale takie pół funta mięsa można codzień sprzedać i odłożyć. Nu, ile się należy?

MOZESA.

Za czepek z wstążek i perukę rubel dwadzieścia kopiejek.

CHAJA.

Ja pannie Mozesie dam teraz siedemdziesiąt pięć kopiejek, a resztę potem. Sprawiedliwie — nie mam pieniędzy...

GUSTA

(podskakując).

Teraz nikt nie ma pieniędzy, ja też nie mam pieniędzy!

CHAJA.

Ny, my za nią musimy dać pięćdziesiąt rubli, inaczejby jej mąż nie wziął. My chcieli Dawida Nusa, co to u was mieszka; ny ale swat powiedział, co Dawid Nus żenić się nie chce. Jak to może być? Taki duży i stary mężczyzna! Jemu już dwadzieścia dwa rok!

To grzych! No chodź, Trejne; my idziemy do kąpieli. Chodź!

(Wychodzi z Trejną).

GUSTA.

Żeby ona dziesięć razy do kąpieli poszła, to ta dziewczyna będzie zawsze taki smoluch, jak ona jest.

(Wchodzi uczeń mały w mundurku).

MOZESA.

Uciekaj, Gusta!... Kundman idzie do sklepu!

GUSTA

(śmiejąc się).

To nie kundman, to pół kundmana!

(Gusta z minami pajaca chowa się za parawan, kopie wyciągniętą nogę mamki, szczypie Balcie, która piszczy płaczliwie, huczy w ucho Jańciowi i zaczyna pracę).

UCZEŃ

(do Mozesy, która idzie za kontuar).

Proszę za dyskę obsadzkę, kantkę i kajet.

(Mozesa podaje mu to wszystko).

SCENA IV

CIŻ SAMI i STARY FIRUŁKES;

znów wnosi rozmaite przedmioty i ustawia w sklepie.

22

FIRUŁKES.

Jojne jeszcze nie wrócił?

MOZESA.

Nie jeszcze—ale on pewno zaraz przyjdzie.

FIRUŁKES.

Gdzie on poszedł? on na cmentarz poszedł!

MOZESA.

Ja nie wiem.

UCZEN.

Proszę mi reszty dać, bo ja nie mam czasu!
(Bierze resztę i wychodzi).

FIRUŁKES.

Ja jemu ten cmentarz z głowy wybiję. On takie sztuczki zakłada, jakby jaki tysiączny dochód miał... Takie sztuczki, coby chodzić na cmentarz tak często—to nie może być! to nie może być!

MOZESA.

Wy przecież wiecie, Firułkes, że Jojne po Małce płacze i żalobę ma w sercu...

FIRUŁKES

(gwałtownie).

On po takiej głupiej, jak Małka, nie powinien mieć żaloby w sercu. Ona nam wszystkim dużo zmartwienia zrobiła; a potem, przez to, że się takiego trucia na śmierć objadła, to nam nikt za zmartwienie nie zapłacił...

MOZESA.

Małka była nieszczęśliwa!

FIRUŁKES

(gwałtownie).

Ona była grzeszna, a nie nieszczęśliwa! Ona była zła, a handel dobrze szedł i na Mar-

szalkowskiej wtedy my pół sklepik mieli.
A teraz my przez nią skapconieli...

MOZESA.

Małka była nieszczęśliwa!

FIRUŁKES
(gwałtownie).

Ona była grzeszna, a nie nieszczęśliwa.
Ona była zła!

MOZESA.

Przez nią skapconieli! Co ona temu winna?

FIRUŁKES
(stukając kijem o podłogę).

Przez nią!...

(Wchodzi 1 służąca w chustce).

1 SŁUŻĄCA.

Proszę krochmalu za pięć kopiejek.

(Firułkes usługuje).

1 SŁUŻĄCA.

O, jak mi to pan sypie sam miał; ja nie
chcę! Dawać mi porządnie, albo pójdę gdzie-
indziej!

(Wchodzi 2 służąca).

1 SŁUŻĄCA.

Dzień dobry pannie! A po co panna przy-
szła?

2 SŁUŻĄCA.

Po sól. Dawaj mi kupiec soli, tylko czystej.

FIRUŁKES.

U mnie sam czysty towar, jak skrybło.

1 SŁUŻĄCA.

Ajuści! Rzucić o ścianę, to się przylepi.
Dawaj kupiec krochmal i naści dziesiątkę!
Bywaj pani zdrowa!

2 SŁUŻĄCA.

Patrz pani, jaką mi ten psia wiara sól daje!
A niech cię!... pójdę gdzieindziej...

FIRUŁKES.

Ny? co to? zła sól? A jaka ona ma być?
ze srebra, czy z djamentów? To hrabska sól...
to najlepsza sól...

2 SŁUŻĄCA.

Ajuści! hrabska! Hyclowska, nie hrabska;
krowaby jej nie polizała! Chodź pan!

(Wychodząc, oboje śmieją się).

FIRUŁKES

(zły, ociera sól połą od chałata).

Niech cię djabeł porwie!

SCENA V.

CIŻ i LEJZOR.

□ □

LEJZOR.

(młody żyd z koszem na plecach. W koszu słoma i trochę talerzy i garnuszków fajansowych. Przechodzi przez sklepik stękając. Lejzor już koło progu staje, słysząc głos Firułka).

FIRUŁKES.

Lejzor, masz pieniądze?

LEJZOR.

Nie mam.

FIRUŁKES.

Jakże będzie ze stancją?

LEJZOR.

Może jutro...

(Mamka wstała z łóżka i kieruje się ku wyjściu, patrząc na Lejzora).

GUSTA.

Gdzie mamka idzie? po co mamka odchodzi? Pani nie lubi, jak mamka od dziecka odchodzi.

MAMKA.

Idę trochę na powietrze, nim sklepik zamknę.

GUSTA.

Niech mamka wraca! Pani mamkę wychowuje nie po to, żeby mamka sobie spacerowała.

MAMKA

(popychając Lejzora).

No, ustąpić się!

(Wychodzi przez sklepik).

GUSTA.

Marjem! Lejzor wrócił!

FIRUŁKES

(do Mozesy).

Niech te pudełka tu stoją. Niech Mozesę to Jojnemu powie, że ja przykazałem, coby pudełek nie ruszał. Ja tu zaraz przyjdę.

(Wychodzi).

(Lejzor podchodzi do łóżka, stawia kosz na ziemi. Marjem budzi się wolno i siada na łóżku).

MARJEM.

Ty mi przyniósł jeść, Lejzor?

(Lejzor, milcząc, wydobywa z siana kawałek chleba i podaje Marjem).

MARJEM.

Ty mi nic więcej nie przyniósł, Lejzor? Ty wiesz, co ja karmię, mnie chleb niezdrowy — ja jeszcze słaba...

LEJZOR.

Ja sprzedałem dziś tylko talerz i imbryczek.

MARJEM.

Ty mi mógł kupić chociażby wątroby!

LEJZOR.

Nie, bo Lajkman przyszedł i zabrał mi pieniądze za towar, co dał na borg.

(Marjem je chleb suchy. Ściemnia się powoli. W sklepiu Mozesza zapala wiszącą lampę, siada i szyje).

LEJZOR.

Deszcz padał... targ nie szedł... coraz gorzej idzie! Posuń się, Marjem, ja jestem zmęczony.

(Wali się na łóżko z butami i zasypia).

MARJEM.

Co ja teraz zrobię? Doktor kazał, cobym ja jadła... i dużo jadła!

GUSTA
(obcierając ręce).

Łatwo doktorowi gadać!

MARJEM.

Ja już pójdę do ubogiej kuchni, albo co...

DAWID NUS
(budząc się).

To już ciemno?...

GUSTA.

A ciemno już, ciemno! Dawid nigdy słońca nie widzi.

DAWID
(wstaje powoli).

Co mi po słońcu? Słońce zarobku nie da.

GUSTA.

Ale tak ładnie świeci, tak ładnie grzeje...

DAWID.

Czemu tak ciemno?

GUSTA
(śmiejąc się).

Bo nie jasno!

(Dawid wstaje, odziewa się i kieruje się ku wyjściu).
(Marjem kładzie się do łóżka Dawida i bierze dziecko do siebie).

DAWID
(do Gusty).

Tam... Mozesa sama?

GUSTA

(śmieje się).

Nie... trzy księżniczki przyszły do niej na wizytę.

DAWID.

Jaka ty głupia jesteś, Gustal

GUSTA

(śmiejąc się).

I ty nie mądrzejszy, Dawidl (po chwili). Dawidl!

DAWID.

Co?

GUSTA.

Czy ty się będziesz przebierał na purym, Dawid?

DAWID.

Może!

GUSTA.

A przyjdiesz do nas? do wuja? do rebe Ajzyka?

DAWID.

Rebe Ajzyk jest dumny — on maski wyrzuci za drzwi.

GUSTA.

Nie! nie! ja już z jego żoną o tem pomówię. To będzie wielka zabawa!

DAWID

(wchodzi do sklepiku).

Dobry wieczór, Mozesol

MOZESA.

Dobry wieczór, Dawidzie!

DAWID.

Panna Mozesa jeszcze nie poszła do domu?

MOZESA.

Nie. Jojnego niema — nie można sklepiku tak zostawić.

DAWID.

To Mozesa czeka na Jojnego?

MOZESA.

Chcę mu zdać sklep — niech zamknie.

SCENA VI.

CIŻ SAMI i SZMULE PANTOFEL,
młody, wesoły, zabawny żydek, ogolony.

□ □

SZMULE.

Dobry tydzień! dobry tydzień!

GUSTA

(wypada jak bomba z za parawanu).

Szmule Pantofell Szmule Pantofell

SZMULE.

Gitwoch, panno Gusto! Panna Gusta się nazywa Oberwasser, ja Pantofel — ładna paral...
Ja do panny Gusty swatów przysię — pójdzie Gusta za mnie?

GUSTA

(chichocze się i podskakuje na prawej nodze).

Zaraz, tylko buciki włożę!

SZMULE.

Ja Gustę i bez bucików wezmę! Idziesz, Dawid?
już czas... ja po ciebie zaszedłem.

(Nakłada sobie fajeczkę).

GUSTA.

Panie Szmule! Pan będzie na purym przebrany?

SZMULE.

Będę!

GUSTA.

A za co?

SZMULE.

Za toreso; teraz najnowsza moda—za toreso!
Panna Gusta niech się też przebierze za kominiarza... taki czarny co po dachu łązi.

DAWID

(który stał przy Mozesie i rozmawiał z nią pocichu).

Czego ty, głupi Szmule, opowiadasz, za co ty będziesz ubrany; niech oni cię między innemi chłopakami poznają!

GUSTA.

Nie! Ja muszę wiedzieć! ja muszę wiedzieć!

(Rozmawia wesoło ze Szmulem).

DAWID.

Ja mogę pannę Mozesę i Gustę do domu odprowadzić, mnie do piekarni po drodze.

MOZESA.

Ja wrócę sam! dziękuję, we dwie do domu trafimy.

DAWID

(po chwili).

Mozesa nic odemnie przyjąć nie chce? żadnej usługi?

MOZESA.

Ja mam już taką naturę, że lubię sama o sobie myśleć i dla siebie się starać.

DAWID

(z ironją).

No... i dla drugich panna Mozesza lubi się starać — tylko nie dla mnie.

MOZESA.

Ja nie wiem, co Dawid chce przez to powiedzieć.

DAWID.

Ale ja wiem! No, dobranoc przy wesołem czytaniu z filutami, półgłówkami, panno Mozesol!

MOZESA

(gwałtownie).

Niech Dawid ustąpi i do mnie nic nie ma. Dawid nie mój ojciec, ani krewny, ani z rodziny...

DAWID.

To mniejsza czy z rodziny, czy nie — ale jak kto zaledwie z półgłówkami w bliskości żyje, to i sam może być półgłówkiem. Dobranoc! — ja jestem robotnik, ja pracuję, ja się po nocy nie włączę!

(Wychodzi szybko).

SZMULE.

Ny, co się stało? Czego Dawid się rozgniewał?

GUSTA

(śmieje się).

Mozesa mu coś powiedziała!

SZMULE.

Ajl ajl jaki on nierozsądny! Jak młoda dziewczyna co powie, to jakby czyżyk zaświergotał. Kobieta ma po to język, żeby mówiła niemiłe rzeczy. Ja nawet ułożyłem takie wiersze:

Kobieta — to jest takie złe,
Co, chociaż nie chcesz, ugryzie cię.

GUSTA

(chichocząc się).

Szmule wiersze robił Szmule jak sam rabin, taki mądry!

SZMULE.

I na pannę Gustę ułożę wiersze:

Panna Gusta
Nie jest sobie tłusta.

I na pannę Mozesę:

Panna Mozesza
Robi dobre interesa.

Ja tak zawsze, jak ciasto gniotę, to takie przyśpiewki sobie układam. Dowidzenia! do-branoc! Idę do roboty! A na purym będziemy

tańcowali, panno Gusto!... Git nacht! Będę
teraz ciasto gniótl!... Git nacht!

(Wybiega).

GUSTA.

Szmule! Szmule! Już ucieknął! Jak żywe
škrybłol! To ładny chłopak; nie taki ślama-
zarnik, jak Jojne... No, ale ja muszę iść do
domu! (Biegnie do izby i wdziewa trzewiki — śpiewa):
Panna Gusta nie jest tłusta. Marjem! Marjem!

MARJEM

(budzi się).

Co?

GUSTA

(ubierając się).

Ty wiesz, był tu Szmule Pantofel. On bę-
dzie ubrany na purym za toreso — za toreso;
on przyśpiewki robi! I maski do nas do wuja
przyjdą! (nucąc): Muszę iść do domu! do domu
trzeba iść!...

MARJEM

(cicho).

Mnie się jeść chce, Gustal

GUSTA.

Co ty chcesz, Marjem?

MARJEM.

Czy Jojne nie wrócił?

GUSTA.

Nie jeszcze, Marjem. (Zagłada za parawan). Nie-
ma go; Mozesa tylko siedzi sobie bardzo
smutna i myśli.

MARJEM.

Żeby Jojne był, onby mi dał co zjeść.

GUSTA

(zafrasowana, zbliża się do łóżka).

Tobie się jeść chce, Marjem? Zaczekaj, ja ci coś dam. Tu jest chleb i chała, co Jańcio nie chciał jeść, a Chana go na piec położyła. (Belfer odprowadza Lajbele; dziecko przechodzi wolno przez sklepik, ma głowę zwieszoną, na plecach woreczek z elementarzem, Wchodzi do izby, siada cicho na ławce i opiera głowę o stół; przez ten czas Gusta szuka na piecu jedzenia. Jańcio z niepokojem spogląda na nią z pod oka).

GUSTA.

Nie mogę znaleźć... Widziałam, jak Chana sama kładła; może mamka wzięła! (krzyczy) Mamka! mamka!

SCENA VII.

CIŻ SAMI i STARY FIRUŁKES.

22

FIRUŁKES

(znów wnosi towary).

Jojne jeszcze niema?

MOZESA.

Nie!

FIRUŁKES

Ja jemu jutro ten cmentarz z głowy wybije!
Gdzie są książki?

MOZESA.

Zaraz!

(Idzie za kontur pod niego wyjmując zniszczony zeszyt i książkę rachunkową).

GUSTA.

Mamka! mamka!

MAMKA.

Czego?

(Przechodzi przez sklepik i wchodzi do izby. W sklepiku pali się lampa, a w izbie jest ciemno. Tylko oknem przez firanki pada z ulicy światło na łóżko Marjem i na śpiącego na stole Lajbele. Balcia i inne dzieci już wlażyły do łóżka, gdzie siedziała mamka i zakopały się w gałgany)

GUSTA.

Tutaj był śledź i chała na piecu. Pani położyła... Gdzie śledź i chała?

MAMKA.

Ja nie wzienam! Ja nie wzienam!

GUSTA.

Ale... mamka nie wziena... i zaraz... to mamka ukradła! Gdzie jest jedzenie? gdzie jest jedzenie?

FIRUŁKES.

Jak ten warjat przyjdzie, to niech mu Mozesa powie, że ja go już nauczę!

GUSTA.

Gdzie jedzenie?

MARJEM.

Nie krzycz, Gusta! nie krzycz!

GUSTA.

Niech mamka odda jedzenie!

MAMKA.

To pan zeżał pokryjomu.

GUSTA.

Pan? Mamka kłamie! Pan się gniewa, pan jest na poście, pan się z betów nie ruszał.

MAMKA.

A właśnie, że jak nikt go nie widzi, to wtedy się obzyra. Sama widziałam! Zapytajcie się go — niech powie.

GUSTA

(krzycząc).

Mamka tak umyślnie mówi, bo wie, że on jest pobożny i nie odpowie!

MARJEM

(wstaje z łóżka i podchodzi na przód sceny; dzieci się budzą, oprócz Lajbele, który siedzi nieruchomy na swoim miejscu).

To ona wzięła... Jańcio nie jel

MAMKA

(z krzykiem).

Nieprawda! Je tylko pocichu, żeby nikt nie widział...

FIRULKES

(wchodzi za parawan).

Co się stało? Nie rób hałas!

GUSTA.

Mamka wzięła jedzenie. Chana zostawiła śledzie i chałę.

MARJEM.

Ona mówi, że Jańcio wziął. Ona łze! ona łze!

MAMKA.

A jakże! Szwargociał! szwargociał! Że mają we famijli złodzieja na żarcie, to myślą, że inny może być taki łakomy...

(Robi się duży hałas i krzyk. Firułek chce ich uspokoić. Lejzor wstaje z łóżka i także się miesza do rozmowy. Chwilę wszyscy krzyczą. Wreszcie dopadają do Jańcia, który siedzi nieruchomy na łóżku i wszyscy naraz pytają go na różne tony).

WSZYSCY.

Jańciul powiedział! wzięłeś chałę i śledzie? Wziął Jańcio? wziął?

JAŃCIO

(nagle wstaje, prostuje się, patrzy na nich chwilę pogardliwie, wreszcie zwraca się ku balii, chwytą całą masę mokrej bielizny pod pachę i wychodzi. Na progu sklepiu odwraca się i mówi);

Ja sobie odchodzę!... — ja odchodzę, nie wróć! Powiedzcie to Chanie.

(Wychodzi).

(Chwila milczenia i ogólnej konsternacji).

LEJZOR.

Ny, co to jest? On od Chany odszedł?

FIRUŁKES.

On był warjat, choć on był z domu pobożny... on nic nie miał w myśli!...

GUSTA.

Czemu on mokrą bieliznę z balii zabrał? Gdzie on z tą bielizną poszedł? Gdzie on ją powiesi? Gdzie on ją wysuszy? Co teraz Chana powie?

FIRUŁKES.

Ny... to Chany i jego interes. Ja idę do domu — rankiem jutro przyjdę. (Do Mozesy). Niech nikt tego, co ja ustawiłem i przyniosłem, nie ruszy. A sprzedąć teraz nic nie wolno! Mozesza niech też książkę swoją do asekuracji przygotowuje.

(Wychodzi).

LEJZOR.

No, teraz Chana już nie ma męża! Tak, jakby do Ameryki popłynął!

(Wraca na łóżko i kładzie się spać).

MARJEM.

Chana będzie lamentować.

MAMKA.

Jest tam za czem!... taki mąż!... ani do pracy, ani do śmiechu! Niech się cieszy...

GUSTA.

Cicho! Niech mamka zawrze pysk!... Cicho!

SCENA VIII.

CIŻ SAMI i CHANA.

■ ■

CHANA

(wchodzi).

No!... nareszcie skończyłam!... Naczynia po myła dziewczyna, a dzieci już kolację zjadły. (Kobiety patrzą na nią w milczeniu). Ty tu jeszcze, Gusta? nie poszłaś do domu? i Mozesza także?

No, macie kawałeczki świecy... zapalcie. Lajbele! ty śpisz? Ach, ty ungehorter, ty prawdziwy Bena pikores! Ty — albo śpisz, albo cię głowa boli. Weź ty elementarz i jeszcze poczytaj.

LAJBELE.

Ja spać chcę!

CHANA.

Masz tu obwarzanek (patrzy na kobiety). Co wy tak na mnie patrzycie? Może się zasmoliłam przy robocie? Gdzie jest Jańcio? Niema? On poszedł pospacerować sobie? (Chwila milczenia). Ty powiesiłaś bieliznę, Gusta? (Milczenie). No... co się tu stało? Wy takie macie miny, jakby się tu co bardzo straszного stało? Gdzie są wszystkie dzieci? (Biegnie do łóżka do dzieci i liczy je): Balcia, Tołce, Dawid, Szmul, Lajbele. Ufl są wszystkie. Ja myślałam, że które przejechali...

(Mozesa zbliża się do Chany).

MOZESA.

Chano... najlepiej będzie, skoro się zaraz dowiesz. Twój mąż cię opuścił!

CHANA

(bledniejąc i siadając na ławce).

Jańcio? opuścił?

MOZESA.

Jańcio uciekł, Chana.

CHANA.

Powróci.

MOZESA.

Powiedział, że nigdy nie wróci...

WSZYSTKIE KOBIETY

(pochylone nad Chaną).

Jańcio uciekł! Jańcio uciekł!

CHANA

(lamentując).

On zawsze był taki niepocziwy! on mi zawsze tę gryzawkę robił. Oj, bieda! co za zmartwienie na mnie spadło!... Co ja pocznę z moimi małemi dziećmi?... Biada mi!

MOZESA.

Chano, ty wiecznie narzekałaś, że Jańcio jest dla ciebie ciężarem. On nie był ci w niczem pomocny, on tylko ci życie psuł.

CHANA.

Ale on był mój mąż; a teraz on uciekł, a ja zostaję przez niczego... Oj, biada! Oj, biada!
(Inne kobiety lamentują także).

MAMKA.

I jeszcze wszystkie bieliznę z balii chycił i mokrą wzion pod pachę i poszedł!...

CHANA

(zrywa się).

Bieliznę! po co on wziął bieliznę?

GUSTA.

On koniecznie chciał co z domu zabrać na drogę i wziął bieliznę.

CHANA.

Gdzie on będzie z tą bielizną po Warsza-

wie chodził? On głupi... jego trzeba gonić
Niech on bieliznę odda! on ma bieliznę od-
dać! (biegnie ku wyjściu). Oj, biada!...

GUSTA, MARJEM i MAMKA

(pędzą za nią, krzycząc i machając rękami).

On ma bieliznę oddać! Jańcio uciekł! Bie-
liznę wzion mokrom, a jakże!

(Głosy ich gubią się na ulicy).

MOZESA

(woła za niemi).

Ależ, Chana! gdzie znajdziesz teraz Jańcia?
Wróć się do domu!

CHANA

(powraca na front sceny).

Napróżno... nikt go z drogi nie wróci...

(Wchodzi do izby, bierze trochę łachmanów i ściele na
ziemi w sklepiku za kontuarem, potem podchodzi do
Lajbele, delikatnie całuje go i prowadzi do sklepu)

Lajbele! dzieciątko, chodź spać, już pora!

LAJBELE.

Czy Jojne powrócił?

MOZESA.

Nie jeszcze... ale ty się połóż, ty zmęczo-
ny, ty chory...

LAJBELE.

Ja powinienem zmówić pacierz... ale, Moze-
sa, Lajbele głowa boli... (Mozesa go rozbiera, on
obejmuje ją za szyję). Ty dobra jesteś — ty i Joj-
ne; ty mnie uczyć się nie każesz. Ja będę
mówić pacierz.

MOZESA.

Źy śpij, Lajbele — ja ciebie ukołyszę.

(Mozesa cicho nuci).

LAJBELE

(leżąc na ziemi, półsenny).

Mnie dzisiaj belfer uderzył linia... uderzył mocno... bo Lajbele nie wiedział, że Jica to po Tes i co znaczy Bereisis...

MOZESA.

Cyt... biedaku! Nie myśl już ani o hajderze, ani o Bereisis — śpij...

LAJBELE

(j. w.).

Ja będę uczony... Pasch... beis... o! głowa...
głowa...

(Śpi, jęcząc cicho).

MOZESA

(kołysze go i po chwili wstaje, idzie ku drzwiom. Słychać zdaleka lament Chany, która po chwili razem z mamką i Marjem wchodzi do sklepiku).

SCENA IX.

CIŻ, CHANA, MOZESA, LAJBELE (śpi).

MAMKĄ, MARJEM, LEJZOR (śpi).

□ □

CHANA

(płacząc).

Niema go! niema!... nikt go nie widział...
poszedł... poszedł... a niech go...

MOZESA.

Chano, nie kluj — tak być miało, że cię mąż opuści. Idź, połóż się i płacz cicho, jutro do roboty iść musisz.

MAMKA.

Jest też za kim lamentować taki pokręcony...

MARJEM

(kładąc się na łóżku Dawida).

Ty, Chana, weź rozwód i idź za drugiego.

CHANA

(kręcąc się koło swej pościeli).

Widzisz ją — za drugiego! Ja się odprzysięgnę od męża i będę sama siedziała. A to nie-dobry, bezwstydnym! A warjat!... A łotr, uciekł! uciekł! A łotr, uciekł!... (Ze stękanem kładzie się odziana na łóżko i płacze). On mnie więcej jak trzysta rubli jedzenia kosztował — i hodowałam go dobrze. Czego nie chciał... I bieliznę wziął... Balci sukienkę.

MAMKA

(na łóżku).

I moje koszule. Pani mi odkupi.

CHANA,

Ajaj... jaką ja mam gryzawkę! jaką ja mam gryzawkę!

(Cicho jęcząc, zasypia).

SCENA X.

Poprzedni uśpieni, tylko Mozesza gasi lampę, w sklepie zapala kawałek świeczki, przyciąga na środek krzeselko

i zamyka drzwi sklepiku okiennicami wewnątrz. W tej chwili daje się słyszeć stukanie; Mozesza uchyla drzwi — pokazuje się JOJNE.

MOZESA.

Czy to ty, Jojne?

JOJNE.

Ja, Mozesz!

(Wchodzi wolno i ogląda się dokoła).

JOJNE.

Wszyscy śpią?

MOZESA.

Śpią.

JOJNE.

Ja przyniósł dla Marjem trochę gotowanego mięsa, a dla Lajbele okruszynę wina.

MOZESA.

Posnęli oboje... Ty, Jojne, był na kirkucie?

JOJNE.

Tak, Mozesz, ja był na kirkucie. Tam śnieg cały grób Małki przykrył, ten śnieg taki biały, jak ona była biała, kiedy ją tragarze żałobni stąd wynieśli... Ja dziś tak nad jej grobem stał i ja myślał, Mozesz, że ona mnie przecie widzieć musi... (po chwili). Tatele mój tu był?

MOZESA.

Był, Jojne; on się gniewał, że ciebie w sklepie niema. Jutro ma przyjść asekuracja od ognia.

JOJNE

(obojętnie ramionami wzrusza).

Po co? (sposstrzega przedmioty, które Firułkes postawił na kontuarze). Skąd to, Mozeszo?

MOZESA.

Firułkes to przyniósł i nie kazał ruszać.

JOJNE.

Lajbele jest tu... Ja go słyszę, on jęczy cicho i żali się.

MOZESA.

On teraz jest sierota — od Chany mąż uciekł.

JOJNE

(kiwa głową).

On to wreszcie zrobił! Ja wiedziałem, że on to robi, bo on nie był próżniak, jak mówiła Chana — on był tylko tak jak ja, Mozeszo, on tu wysiedzieć nie mógł.

MOZESA.

Ty, Jojne, przecież tu trwasz pomiędzy nami... i dobry jesteś... pomagasz...

JOJNE.

Do mnie jej głos powiedział, żebym nie tylko siebie kochał... Jakbym ja siebie kochał, a nie was, to jabym dawno ztąd poszedł... Mnie Awrumel powiedział dziś, że u nas jest taki stary żyd, już nieżywy, ale taki duch, co się nazywa Ahaswer; on tak po świecie chodzi, wciąż chodzi. I jabym tak chciał chodzić, Mozeszo, żeby takiego jęku, jak ten jęk Lajbele, nie słyszeć, żeby nie widzieć, jak

Marjem głodna i jej dziecko płacze, żeby uciec od nędzy drugich — kiedy ja sam za biedny, żebym co mógł pomódz. (Milczenie. Słychać jęk Lajbele i Chany). To Lajbele się żali...

(Idzie i klęka przy dziecku).

MOZESA.

Jojne... ja boję się, czy ja nie popełniłam grzechu. Ja dziś Lajbele nie zmusiłam, żeby on powiedział pacierz. Ale on był zmęczony w szkole, ja nie mogłam go zmuszać. Czy to grzech, Jojne?

JOJNE

(po chwili milczenia).

Ja sam nie wiem, Mozeszo, bo ja nie rabin i nie uczony. Ale mnie się zdaje, że takie małe, pobożne, biedne dziecko, — to ono się modli cały dzień do Boga.

MOZESA

(siada na ziemi koło stolika, na którym stoi świeca).

Czy i to ci mówiła ona, Jojne?

JOJNE.

Nie, Mozeszo, Małka mi tego nie mówiła, ale ja tak myślał i myślał sobie. Ale i to mi przyszło z tego, że Małka nieraz mi opowiadała; bo wszystko, co ja teraz robię i mówię, to od niej pochodzi. (Siada koło Mozesy z drugiej strony krzesła). Ja się więcej przez jej słowa nauczył, niż przez tyle lat, co ja w szkole się uczył. Mnie tak, Mozeszo, było, jakby mi kto powieki przedzierał, jakby ja był ślepy i nagle przejrzał.

MOZESA.

A teraz ty, Jojne, mnie nawzajem uczysz. I mnie, kiedy ty mówisz, jest tak, jakby kto powieki przedzierał. Dawniej ja byłam pusta i głupia dziewczyna, teraz ja chcę być inna. (Gorąco). O! Jojne, ja chciałabym być taka, jak Małka!

JOJNE

(kiwając głową).

Nie, Mozeso, ani ja, ani ty nie będziemy nigdy jak Małka! ona była taka... co to... wszystko!

MOZESA

(cicho).

Więc ja nigdy nie będę niczem, Jojne?

JOJNE.

Ty możesz być, Mozeso, lepszą, niż byłaś i ja mogę być ciągle lepszy... tylko my na to musimy nie kochać siebie wcale i nie myśleć o sobie. My musimy kochać biedne i brzydkie ludzie i mówić im: „mój biedny, mój dobry“, choćby on był bardzo brzydki i obmierzły. Ja był także głupi, ciemny, obmierzły, obżartuch — a ona mi mówiła: „mój biedny Jojne!“ Ja teraz inny — niech i tamci będą także inni.

MOZESA

(gorąco).

Ja chcę tak postępować, Jojne, ja robię co mogę, ja oddaję moje pieniądze Marjem i Chanie, wspomagam. Ja na szabas i sukienki nowej nie sprawię, niech oni ciepłą odzież mają.

JOJNE.

Ty dobra jesteś, Mozeszo, i to, co robisz, to milsze Bogu, niż gdybyś sto razy „dawenem“ mówiła. Słuchaj, Mozeszo! słuchaj, jak Chana jęczy, jak się głodne dziecko Marjem żali, jak Lajbele płacze...

(Pukanie do drzwi sklepiku).

MOZESA

(przerażona).

Kto to może pukać o tej porze? Co to jest?

JOJNE.

Może to ojciec! Ja nie chcę go widzieć, Mozeszo, ja dziś nie mogę o handlu z nim mówić!
(Pukanie ponowne, wreszcie pauza i głos Dawida Nusa).

GŁOS DAWIDA.

Dwa gołębie w gołębniku siedzą i gruchają sobie w nocy! Aj! jakie one mądre, te gołębie! Im nie trzeba ani rabina, ani ślubu, ani świadków! Oni sobie wesele sami wyprawiają!...

JOJNE.

Co to jest? Ja ten głos znam...

MOZESA

(drżąc z trwogi).

O, Jojnel nie odpowiadaj nic, niech on odejdzie — ten zły człowiek.

GŁOS DAWIDA.

Aj! aj! jaka panna młoda piękna i cnotliwa...
a pan młody pobożny, tylko półgłówek! Ha! ha!
(Śmiech niknie za sceną).

MOZESA

(po chwili).

Odszedł! Ja wiem, kto on — to warjat...

JOJNE.

Ty bądź dobra, Mozeso, ty mu przebacz — on zły. On biedny, że zły. Jego trzeba chyba żałować, tak, jakby był chory. Chodź tu, Mozeso, my będziemy jeszcze dalej czytać dziś te książki, co ja w kuferku Małki znalazł.

(Idzie za kontuar, wyciąga książkę i wraca na dawne miejsce).

JOJNE.

Tu jest mowa o żydach, co z lichwy żyją i drugich ludzi obdzierają. Ja ci głóśno to przeczytam, a potem ty pomyśl, Mozeso...

(Urywa).

MOZESA.

Czemu ty dalej nie mówisz, Jojne?

JOJNE.

Nie... ja dziś tobie o takich handlach czytać nie będę. Ja dziś koło jej grobu tak długo stał, że u mnie myśl jest czysta i serce żalu pełne. My weźmiemy, Mozeso, tę inną książkę, gdzie są takie słowa, co my nie wszystkie rozumiemy, ale one są piękne i muszą być dobre, Chodź tu, Mozesol

(Sam klęka z jednej strony krzesła, Moześa z drugiej).

JOJNE.

Ja cię na tej książce będę uczył dalej czytać.

MOZESA
(z radością).

Otl... dobrze, Jojne!

JOJNE.

Patrz, Mozeszo, to jest l. U nas w abecadle
to się nazywa lamet.

MOZESA.

L...

JOJNE
(nagle zasmucony).

A może to nie l. Ja już dobrze nie pamię-
tam, Mozeszo. Nie, nie, lametl... Tak — ona
mi to mówiła... ona!

(Po chwili, ze łzami).

Ona mnie tak samo po nocy w sklepiu
czytać uczyła!...

MOZESA.

L-a-s — czy tak, Jojne?

JOJNE.

Tak, Mozeszo, L-a-s.

(Czytają dalej. — Słysząc jęk Lajbele i Chany).

(Zasłona powoli spada)

AKT DRUGI.

Scena przedstawia cheder w nader ciasnem mieszkaniu. Widać przez otwarte drzwi drugą izbę i znów otwarte drzwi prowadzą do sieni. Na scenie jest tylko stół koszlawy, dwa stołki i dwa rzędy małych, niskich ławek z pulpitemi. W tych ławeczkach siedzą małe dzieci, biednie ubrane (najmniej trzydziści) i przed podniesieniem już kurtyny wrzeszczą w niebogłosey alfabet żydowski: „Alef, beis, gimel, dallet, haj, wuw, zujen, ches, tes, Jied, Chup, lamet, nin, samet, ajen, zeis, zadek, sijen, Tow, Bei, Fei“. Przy stole belfer Awrumel. Każde z dzieci trzyma wytłuszczony elementarz, z którego czyta; malutkie dziecko koło ławek chodzi. Mełamed, stary żyd, w zatłuszczonym chałacie, z długą linją w ręku, krzyczy razem z dziećmi alfabet. Od czasu do czasu uderza które dziecko linją. Podczas lekcji wchodzi obszarpane żydówki z dziećmi na ręku, kręcą się po scenie i wychodzą. Lajbele siedzi w jednej z ławek pomiędzy dziećmi. Krzyk trwa długą chwilę po podniesieniu kurtyny. Wreszcie mełamed krzyczy, bijąc w ławkę. Wieczór. Jedna lampka pali się przy ścianie, druga w dolnej izbie.

SCENA I.

22

MEŁAMED

(żyd stary, ponury, mrukliwy).

Cicho! dosyc! Nie krzyczciel! (Dzieci ustają nagle, tylko słyhać jeden głos Lajbele, mówiący dalej alfabet). Cicho, chłopaku! Ty jesteś nicpoń! Nie krzycz! (Lajbele mówi dalej, nie zatrzymując się. Mełamed pod-

chodzi do niego). Co to jest? on śpi? on śpi? Lajbele, czy ty chcesz linją!

(Podchodzi do stołu i bierze w rękę dyscyplinę).

DZIECI

(z krzykiem).

Lajbele! Lajbele!

(Dziecko się budzi i milknie).

I BELFER

(do dziecka, które przed nim stoi).

Widzisz, Szmule, to jest alef; przypatrz się dobrze na tablicy i mów jeszcze raz, Szmule, alef; mów sam: alef.

MEŁAMED

(do drugiego belfra).

Belfer Awrumel, weź Lajbele i ucz się z nim Kumel Reis i patrz, żeby uważał. Lajbele, idź się uczyć!

(Lajbele się ociaga, mełamed wyprowadza go za rękę).

MEŁAMED.

Ty jesteś nieposłuszny! niedobry! jesteś nicpoń... prawdziwy syn swojego tatę!

SCENA II.

CIŻ SAMI, GUSTA, później REBICE.

■ ■

GUSTA.

Wuju mełamedzie, rebice kazała wam powiedzieć, że na ulicy słyszała, że karnawałowi goście do nas dzisiaj przyjdą.

MEŁAMED.

Ty jesteś warjotka, Gusta, karnawał wczoraj minął.

GUSTA.

Ale są jeszcze takie, co świętują. Aj, wujciu, nie gniewaj się i pozwól, niech oni trochę potańcują! Oni będą poubierani za pajaców, za toresów, za hiszpanów!

REBICE

(wchodzi szybko).

I cóż, rebe? czy mam nagotować dla gości naszych wątroby, przygotować śledzia i piwa? Ja spotkałam w mieście Dawida Nusa i on mówił, że może tu maski przyjdą (ciszej, biorąc mełameda na bok). Nus chce swata przysłać o Mozese... Nus dobry rzemieślnik, ona będzie z nim dobre miała życie.

MEŁAMED.

Mozesa twoja familja, nie moja. Jak chcesz, wydaj ją za Nusa. A teraz idź, Rebice, nie przeszkadzaj lekcji — matki się przysłuchują, niech się dzieci uczą (do dzieci śpiewającym tonem). No... kumec, alef, Uh, Pasech, Beis, Ba, Cegel, gimel, Ge, Ceirei, Mem, Mei.

(Dzieci krzyczą za nim wniebogłosy, żydówki przysłuchują się).

REBICE

(do Gusty, która się śmiała z belfra Awrumela).

Chodź, Gusta, będziesz mi pomagać krajać śledzia.

(Wychodzi).

GUSTA.

A nauczyciel Awrumel — za co on będzie ubrany? Za rabina samego, a może za pajaka? To nie trza garbu przypiąć.

(Śmieje się i ucieka).

BELFER AWRUMEL

(do Lajbele).

O czym ty myślisz, Lajbele? Dlaczego ty w elementarz nie patrzysz?

LAJBELE

(kaszle).

Ja słaby... mnie dusi w piersiach, ciasno, ja chciałbym iść ztąd precz na powietrze...

BELFER AWRUMEL

(smutno).

Nie można, Lajbele, mów za mną: beirei, Mem, mei...

MEŁAMED

(podechodząc do Awrumela).

Ty Awrumel belfer rozumiesz, niepotrzebnie z dziećmi gadasz; ty ich ucz, co jest przepisane, a żadne gadanie być nie może. Matki płacą za to, żeby się ich dzieci uczyły. Jakbym ja tobie pozwolił, toby ty mi swoje wiersze śpiewał...

BELFER AWRUMEL.

Lajbele dusi — on chce iść na powietrze.

MEŁAMED.

Tu jest dosyć powietrza na trzydzieści dzieci, to starczy i dla niego. Ty zwarzował,

Awrumel; tyby może chciał luftowane pałace
na cheder... No, Srul... chodź tu!

SCENA III.

CIŻ SAMI, STARY FIRUŁKES, później CHANA.

■ ■

FIRUŁKES.

Ja tu do was, rebe, przychodzę... ja wiem,
że teraz lekcja, ale u mnie przedtem geszefty;
rano muszę być na Bankowym placu, to mo-
gę dziś tylko z wami pogadać.

MEŁAMED.

O co ci chodzi, Firułkes? Czy chcesz kogo
oddać do szkoły? U ciebie syn duży, u mnie
cheder dla małe dzieci.

FIRUŁKES.

Ja nie o to, rebe... Chodzi tu o mego dziec-
ko, ale jemu uczyć nie trzeba. On był już
taki zabity, że i tu w szkole poradzić z nim
nie było można. Ale Jojne mnie teraz duże
gryzotę robi. On handlować wcale nie chce...
on ma głowę przewrócone, on mnie nie słu-
cha, on się żenić nie chce drugi raz... on, jak
tylko ma grosz, to nie myśli, jak z niego dru-
gi grosz zrobić, ale zaraz jakiemu wetknie...
On jest bardzo niepocziwy, a niedobry,
a warjat, a szlechtes Kind...

MEŁAMED.

Ny, co ja wam mogę poradzić?

FIRUŁKES.

Ja wiem, co Jojne do was przychodzi... Ty, rebe, uczony i pobożny jesteś, pomów ty z nim — może ty z nim co zrobisz. Niech on się do czego weźmie... Jak on handlu nie chce, to niechaj zemną pod bank chodzi i tam się mądrym operacjom przysłuchuje... Ja go bić nie mogę, bo on może mi co jeszcze odpowiedzieć i wtedy będzie dla niego nieszczęście. Ale tak, ja mam duże przez niego strate, bo choć on mało je, ale zawsze co nieco pije, a nic nie robi. Ja teraz zaasekurował sklep, on nawet książek nie miał — to panowie urzędniki bardzo się gniewali i wyśmiewali. A twoja siostrzenica, rebe, także jest nieposłuszna; ona się mnie sprzeciwiała o te asekuracje. Mozesza taka sama, jak Jojne. Mnie mówił Dawid Nus, że oni jedno drugie nieposłuszeństwa uczą. Powiedz ty co Mozesie, rebe...

MEŁAMED.

Mozesa niedługo pójdzie za mąż... Ją Dawid Nus weźmie.

FIRUŁKES

(gwałtownie).

Ale ona jeszcze sklepik do lata musi dotrzymać... ona musi! ona nie śmie się wyprowadzić!

MEŁAMED.

To nie moja rzecz, Firułkes; idź ty do mojej żony, do rebice; ona ma głowę do interesów. Ja umiem tylko dzieci uczyć... Ty mi

przyslij Jojnego, ja z nim pogadam; nie długo — ja czasu nie mam.

FIRUŁKES.

Ja wam rebe, ten czas wynagrodzę. Ja teraz pójde do waszej żony, żeby ona Mozesie kazała siedzieć w moim półsklepiku do lata. Ja nie mogę sam komornego płacić. Jaby skapiał do reszty! (Wychodzi; spotyka w progu Chanę). Czy Jojne jest w sklepie?

CHANA.

Nie, Firułkes, tam jest tylko Mozesa. (Do mełamedy). Ja tu przyszłam dowiedzieć się, czy Lajbele dobrze się sprawuje? Ja idę do ochrony kolację gotować.

(Firułkes wychodzi).

MEŁAMED.

Wasz Lajbele, Chano, nie robi nam pociechy. On ciągle chce iść precz i źle się uczy.

CHANA.

A, to zły syn... to on prawdziwy syn tego złego ojca, co także nikogo słuchać nie chciał!

MEŁAMED.

Lajbele, mów, co to znaczy Berejszes? No! mów prędko! (Lajbele milczy). Dlaczego ty nie wiesz, co to znaczy Berejszes? To Szalek będzie wiedział, co to znaczy Berejszes. Szalek, co znaczy Berejszes?

SZALEK

(mały, blady, garbaty żydziak, wstaje i krzyczy):

Berejszes burn znaczy z początku jak Bóg stworzył świat.

I KOBIETA

(u drzwi).

To mój syn tak ślicznie się uczył

KOBIETY

(szmerem do siebie).

To jej syn tak ślicznie się uczył

CHANA.

Ach, ja nieszczęśliwa! Niedość, że mnie mąż odbiegł i samą zostawił, jeszcze moje dziecko nieposłuszne i nie chce się uczyć. Innych to dzieci wspomagają, a ja miałam nadzieję, że choć cokolwiek kiedy będę miała pomocy; ale Lajbele nie ma także nic w myśli, jak jego ojciec. (Pokornie do mełameda). Ja wam kurę przyniosłam, rebe, kurę tłustą, zdrową, śliczną kurę. Ja ją oddam rebice, niech ona wam na szabas ją każe zarznąć i rosół z niej ugotuje. Wy będziecie mieć więcej siły, żeby się z tym moim chłopcem męczyć... Aj, Lajbele! Lajbele! dlaczego ty nie chcesz rebe zostać? tobyś potem sam szkołę miał.

MEŁAMED.

Ja nauczycieli do niego zmienię. Belfer Awrumel nie ma siłności do dzieci. On z nimi gada. W szkole niema co gadać...

CHANA.

Zmień, rebe, belfra, niech się tylko Lajbele uczy, to ja już ostatnie koszule ze siebie ściągnę, żeby tylko dzieci wychować i na uczenie mieć.

REBICE

(wychyla się przez drzwi).

Rebel! pójdź na minutkę! Firułkes chce ci coś powiedzieć!

(Mełamed wychodzi, za nim Chana).

SCENA IV.

CIŻ SAMI, oprócz mełameda i Chany. Dzieci popychają się z piskiem w ławkach, jak stado owiec.

■ ■

BELFER.

Bądźcie cicho, bo będę bił linją!

(Wywija dyscypliną w powietrzu).

BELFER AWRUMEL

(cicho).

Odpocznij. Lajbele, zamknij oczy i postój tak cicho koło stołu. Jak rebe przyjdzie, ja cię zbudzę... Josele! Josele! chodź się uczyć.

2 KOBIETA

(z dzieckiem wysuwa się trochę naprzód).

To mój buher — idzie się uczyć!

INNE KOBIETY.

Jej buher idzie się uczyć!

(Dzieci znów piszczą i dowodzą).

BELFER.

Bądźcie cicho... nie krzyczcie! bezwstydyne
bębny!

BELFER AWRUMEL

(podchodząc do dzieci).

Sza! cicho dzieci! Sza, małe dzieciątki! Co
tobie? (Do jednego malca) ty głodny? Ny, pocze-
kaj, już się szkoła kończy. Zaśpiewajcie sobie
jaką pieśń pobożną. O... ja wam pomogę, no!
(Dzieci zaczynają śpiewać krótką melodyjną pieśń, belfer
Awrumel niemi dyryguje).

I BELFER.

Awrumel, ty źle robisz. Rebe nie lubi, że-
by dzieci w chederze śpiewały...

BELFER AWRUMEL.

One się nudzą. Chertzino belfer; one jesz-
cze małe, one jeszcze bardzo małe.

(W głębi widać, jak naprzód Chana, potem stary Firułkes
wychodzą do sieni i znikają).

SCENA V.

CIŻ SAMI, JOJNE, później MEŁAMED.

22

JOJNE.

(wchodzi wolno, staje pod ścianą i słucha śpiewu dzieci,
na progu kobiety posiadały na ziemi. Lajbele oparty
o stół, stoi w milczeniu).

AWRUMEL

(widząc Jojnego).

Tu był twój ojciec, Jojne.

JOJNE.

Spotkałem go na dole, kazał mi tu wejść.
Szał Awrumel, ja chcę słuchać ich śpiewu,
nie mów mi o niczem...

(Stoi z przymkniętymi oczyma, nagle Lajbele usuwa się
na ziemię i leży nieruchomy).

AWRUMEL.

Lajbele! Lajbele! On zemdlał, on nie dyszy!

JOJNE

(przystępuje do Lajbele).

Jemu trzeba powietrza, Awrumel; daj mi go
na rękę, ja go do domu odniosę.

AWRUMEL.

Odnieś go ty do domu, Jojne; on się już
dawno skarżył i chciał iść ztąd precz.

(Jojne bierze za rękę Lajbele).

MEŁAMED

(wychodzi i krzyczy na dzieci).

Cicho! szal nie śpiewać! Tu szkoła, nie
bóżnica — szal (do Jojnego). Gdzie ty niesiesz
Lajbele, Jojne?

JOJNE.

Ja go niosę tam, gdzie on może odetchnąć,
bo z niego może życie ucieknąć z takiej nauki.

MEŁAMED.

Ty się wściekł, Jojne! Mnie Chana płaci za
to, żeby Lajbele uczyć i do szkoły przygo-
tować. Un sie u mnie uczyć będzie. Ty mi
chcesz chleb odebrać?

JOJNE.

Ty mi pozwól dziecko do domu odnieść;
na pościeli go ułożę, a ja do ciebie wrócę
i z tobą się rozmówię.

MEŁAMED

(widząc, że kobiety wstały i oglądają Lajbele,
kiwając głowami).

Idź ty z nim, kiedy chcesz i niech inne
dzieci idą sobie także. Już lekcja skończona.
Poświętny dzień, to lekcje krótsze.

(Belfery rozbierają pomiędzy siebie dzieci i wychodzą
powoli ze sceny).

MEŁAMED.

Ty, Awrumel, zdam swoje dzieci na belfra
Cherzina, a sam zostań tutaj. Ja tobie mam
co do powiedzenia, Awrumel.

(Wszyscy wychodzą, zostaje mełamed i Awrumel).

MEŁAMED.

Belfer Awrumel, ja z ciebie nie kontent.
Ty nie jesteś belfer, jak każdego mełamed chce
i potrzebuje mieć w chederze. Ja wczoraj
słyszał, jak się ciebie Chaimek pytał o zna-
czenie jakiegoś trudnego słowa. Ty je jemu
chciał tłumaczyć; tego nie można, belfer
Awrumel, tego nie można, tego nie wolno!

AWRUMEL.

Dziecko mądre jest — chciało wiedzieć, co
czyta.

MEŁAMED.

Ja ciebie nie rozumiem, Awrumel! Ty bied-
ny jesteś i dla chleba w szkole uczysz. Dla-

czego ty się buntujesz i chcesz inaczej uczyć, jak dotąd uczono? Żeby ty był młody — ja by wiedział, że ty możesz być nieposłuszny, ale ty stary jesteś, ty siwy jesteś, ty aż z Galicji przed nędzą przywędrowałeś, ty nic nie tłumacz dzieciom, bo ja będę musiał ciebie oddalić i ty znów nach Galizien powędrujesz. Tobie się zdaje, że ty wiersze piszesz, to ty mądry jesteś. To nie mądrość dla żyda wiersze pisać, to dla pobożnego żyda wstyd takimi głupstwami się zajmować.

(Wchodzi Jojne).

MEŁAMAD.

A ot i drugi nieposłuszny, a ungehorter jest także. Ty mówisz, Jojne, że u mnie powietrza niema w chederze? Ja przecie oddycham i mam dość siły, dzieciom jeszcze mniej potrzeba powietrza, jak starszemu człowiekowi, to czego ty chcesz, Jojne?

JOJNE.

Ja nic od ciebie nie chcę, rebe; ty nie możesz zrozumieć sam, że ty źle robisz... Ja ci tłumaczyć nie mogę.

MEŁAD.

Ja mam z dzieci dwadzieścia rubli na miesiąc; ja z tego muszę utrzymać żonę i dzieci.

JOJNE.

Ty nie potrzebujesz mieć ani żony, ani dzieci, rebe.

MEŁAMED.

Ja? dlaczego?

JOJNE.

Bo te wszystkie chłopcy, co się tu uczą, powinni być twoje dzieci, a ty powinienesz kochać ich jak ojciec.

MEŁAMED.

Ty jesteś głupi. Twój tatele ma wielkie z tobą zmartwienie. Ty nic robić nie chcesz, a sam chcesz drugich nauczać. Ty jesteś próżniak, obżartuch i głupiec. Ojciec twój jest pracowity żyd. On umie grosze przysparzać. I ty, jak on, do handlu wziąć się powinienesz. Dlaczego ty nie chcesz handlować? Dlaczego ty, jak twój ojciec, nie idziesz pod bank i tam się w geszefty nie wdajesz? Ja z ciebie nic w chederze nie mógł zrobić — ty byłeś zawsze mrukowaty i zabity. Ale choć interes miej w myśli...

JOJNE

(gorzko).

Ja nie byłem zabity, rebe, jakem do ciebie przyszedł... Ja tu, na tych ławkach siedziałem i z dziecka ja się zrobił zwierzak, co krzyczał elementarz i nic więcej już nie rozumiał, bo mi rozumieć (cicho) nie było wolno.

MEŁAMED.

Ja ciebie uczył tego, co od wieków dzieci uczyć dozwolone.

AWRUMEL.

Czy od wieków nic się dla nas nie zmie-

niło, rebe? Na świecie ludzie więcej wiedzą —
dlaczego my także nie mamy więcej wiedzieć?

MEŁAMED

(gwałtownie).

Dla nas nic się zmienić nie powinno. Nic! Słyszyciel (po chwili z wściekłością). Żeby takich jak wy żydów więcej było, to jabym chleb postradał, jabym nic zrobić nie mógł! Ty, Jojne, jak będziesz ciągle próżniak, to ty będziesz jak ta sucha gałąź, co na drzewie nie powinna siedzieć; taką gałąź trzeba obciąć, żeby ona nadarmo drzewa nie ssła. Ciebie powinien twój ojciec z domu wypędzić, bo w tobie siedzi djabeł — nieczysty w tobie siedzi i w tobie, belfrze Awrumel!

(Wybiega do sieni).

SCENA VI.

JOJNE i AWRUMEL.

22

JOJNE

(po chwili).

Jak tę gałąź suchą, mnie odciąć potrzeba! Jak tę gałąź suchą — bo ja nie mogę iść pod bank, bo ja nie mogę handlować w sklepiku. O! Awrumel! ja przecie wiem, że taki handel, jaki prowadzi mój ojciec, to oszukaństwo; a tam koło banku ja raz był z nią, jeszcze z moją Małką! My przechodzili, a ona mi powiedziała: „Patrz, mój dobry Jojne, jak się tu ludzie dla grosza trzęsą, jak oni się w kru-

ki zamieniają!“ Ja się wtedy zaśmiał, bo ja dobrze jej nie zrozumiał, bo ja to wszystko przeczytał, co ona zostawiła, jak ja zaczął myśleć... jak ja ciebie poznał, to ja pojął. A ja Awrumel, krukiem nie chcę być, bo kruk to może serce i oczy słabszemu wydziobać.

AWRUMEL.

A ty co robić będziesz na świecie, Jojne? I ja nie chciał krukiem być, ja się nie kłopotał ani o zrobienie grosza, ani o zarobki, ja tylko wiersze pisał na trzy języki — i co się ze mną zrobiło? Belfer, podbelfer nawet.

JOJNE.

Ale ty, Awrumel, pisał piękne książki — ty ułożył to, co myślał, w słowa.

AWRUMEL.

O! (wyjmuje z zanadru małą, potarganą książkę w żółtej oprawie). Jak mnie w grób kłaść będą, niech mi te moje wiersze pod głowę włożą (czyta): Pieśń o Sjonie... Sionslied! Nocami pisałem, wydałem w Drohobyczu za własne pieniądze, com uzbierał ciężką pracą. Ja melodje dobrał z oper — tak, z oper, co ja słyszał, jak śpiewali.

(Porywa drżącym głosem, nuci z początku cicho, później głośniejszą strofkę na melodję: „Szumią jodły“. Jojne usuwa się na ławkę dziecięcą i łka na niej cicho. Gdy Awrumel skończył, Jojne mówi jakby sam do siebie).

JOJNE.

Tu, tu, na tej ławce mnie zabili duszę na tyle lat... Ja pamiętam, ja tu przyszedł wesoły, maleński i mnie wszystko bawiło: i zwierzęta i ptaki, i ja myślał, że ja będę żyć tak, jak wszyscy ludzie pod słońcem. A po trzech latach ja był ciężki, ja był głupi, ja był ciemny, ja był obżarty, bo ja słońca nie widział, bo ja cały dzień w tej wilgotnej izbie siedział i nad książkami krzyczał. O! (z rozpaczą). Żeby nie ta ławka, żeby nie ta ciemność, jaby nie był taki prosty głupiec i onaby jeszcze żyła! onaby nie odeszła odemnie! Małka! Małka! czego ty mnie zostawiła! czego ty mnie znów duszę zbudziła i poszła bez...

(Opiera głowę o ławkę i cicho płacze. Awrumel cicho i jękliwie nuci drugą strofkę).

SCENA VII.

CIŻ i MOZESA.



MOZESA

(wchodzi, potyka się o Jojnego, pochyla się i poznaje go).

Jojne! Jojne! czy ty chory? co tobie? Wstań, Jojne; ja do ciebie przyszłam, żeby ci powiedzieć, że twój ojciec powynosił wszystko ze sklepu, co przedwczoraj przyniósł.

JOJNE.

To było jego...

MOZESA.

Ale ci panowie z asekuracji mówili, że to tylko coś warte.

JOJNE.

Tak ci panowie mówili, Mozeszo?

MOZESA.

Tak, Jojne! Ty nie rozumiesz się na interesach, ale Mariem mówiła mi, że tobie trzeba o tem powiedzieć koniecznie.

JOJNE.

Niech ojciec robi, co chce, to jego sklep. Ja jestem sucha gałąź, Mozeszo! sucha gałąź!

MOZESA.

A potem — ja tobie chciałam powiedzieć, że Dawid Nus ma jutro swatkę przysłać do ciotki o mnie....

JOJNE.

Nus?

MOZESA.

Tak, Jojne! Ale ja za niego nie pójde, Jojne.

JOJNE.

Kochasz go, Mozeszo?

MOZESA

(cicho).

Nie, Jojne.

JOJNE.

A może jeszcze masz myśl o innym w sercu?

MOZESA
(cicho i słabo).

Tak, Jojne.

JOJNE
(szybko)

To nie idź za Nusa, Mozesol! nie idź! Niech cię Bóg zachowa!... To będzie nieszczęście dla ciebie i dla niego. A potem, to ciężki grzech!

MOZESA.

Ja, Jojne, nigdy za mąż nie pójdę!

JOJNE.

Ty już powiedziałaś, że masz w sercu innego?

MOZESA.

Ale on nie dla mnie, Jojne! On nie dla mnie, Jojne!

SCENA VIII.

CIŻ i GUSTA.

22

GUSTA

(wpada, ubrana brudno, ale we wstążki; trzyma w ręku kinkiet naftowy i wiesza go na ścianie; ma na nogach trzewiki bez pończoch, rozczochrana i w szopie włosów ma wetknięte pawie pióra).

Dzień dobry! Życzę szczęścia! Rebice dała jeszcze jedną lampę — wszystko przygotowane! Ha! ha! Mozesol! ha! ha! Marjem przyjdzie także! Będzie wątroba, piwo, śledzie... Jendyków nie będzie, bo my nie bogacze...

(Biegnie do okna).

Idą! idą!

(Słysząc gwar, trąbki, hałas, krzyki, dzwonki).

SCENA IX.

CIŻ SAMI, REBICE, żydówki z dziećmi, MARJEM z dzieckiem na ręku, wpadają, szwargocząc, do izby. GUSTA biegnie do drzwi. Słysząc śpiew, z początku cichy, później coraz wyraźniejszy, bez słów (majufes); wreszcie wpadają: DAWID NUS w masce za toreadora, pończochy na nogach, kamaszki z gumami, na głowie czapka z piórkiem; dalej SZMULE za starą żydówkę, później inni żydzi, przebrani za żebraków, za garbatych, za rycerzy w tekturowej zbroi na chałatach.

□ □

JOJNE.

Chodźmy, Awrumel... tu będzie za wesoło.

GUSTA.

Co to chodźmy? — nie wolno! Wszyscy się będziemy bawili i czeszyli! Patrz, jaki piękny toresol!

(Kobiety otaczają maski, które piszczą i podskakują).

SZMULE

(zmienionym głosem).

Ty, Gusta, tylko na piękne mężczyzny patrzysz, a jak będziesz taka stara, jak ja, to się tylko za ciepłym kątem oglądać będziesz! A ja, ja jestem stara, ale wesoła kobieta, co miała czterech mężów i osiemnaście dzieci.

GUSTA

(chce zajrzeć pod maskę).

Ej, ty babula! ja ciebie znam! ty w nocy ciasto pieczesz!

REBICE.

Nie wolno, Gusta, zaglądać pod maskę, nie wolno; to wielka obraza dla gościa — ty sobie to popamiętaj.

DAWID NUS

(zmienionym głosem).

Gdzie są muzykanci? Zostali za progiem?

GUSTA.

Muzykanci?!

(Pędzi jak szalona, roztrącając wszystkich i wprowadza trzech żydów muzykantów).

MARJEM.

Te maski pięknie chodzą, bogato, z muzykantami!

DAWID

(kłania się Rebice).

Czy Rebice Bałabustin pozwoli, aby muzykanty conieco pograli, a my, toresy, baby, chłopcy, bojkierzy potańcowali?

REBICE.

Proszę was, śpiewajcie, tańczcie od serca! Ja wam zarządziłam wódkę, śledzie, wątrobę, piwo... Jendyków i konfitur wam nie dam, bo my biedne ludzie...

(Wybiega, a za nią Gusta).

DAWID

(do Szmula cicho, swoim głosem).

Ten szmendryk Jojne się tu zaplątał... Ty jego wyrzuć, Szmule. Ja cierpieć go nie mogę! ja jemu co zrobię... ja mu co złego zrobię!

SZMULE.

Zostaw to mnie, Nus; już ja i jego i tego Awrumela za drzwi wyproszę. (Tańcząc i skacząc do maski, przebranej za garbatego rebe). Jakiś ty ładny, rebe!

MASKA

(tańcząc naprzeciw niego).

Ja jestem z przedmieścia Czechajow, moja Rachela także tu jest i cała familja,

SZMULE

(j. w.).

A wy co tu robicie?

MASKA.

Co ja tu robię? Moje Dwojre ma czternaście lat, ożeniła się i ja przyszedłem na wesele!

SZMULE.

No, przy twoich dzieciach wesołego szczęścia!

WSZYSCY

(tańcząc, wołają):

Wesołego szczęścia!

(Tymczasem rebice, przy pomocy drugiej żydówki, wniosła jedzenie i ustawia na ławkach i pulpitych. Dwie świeczki, przyklepione do pulpity. Żydzi zaczynają traktować się wódką).

MOZESA

(do Jojnego i Awrumela).

Ja widzę, wy tylko patrzycie, któredy ztąd wyjść.

JOJNE.

A ty, Mozeszo?

MOZESA.

Och! i ja chciałabym wyjść — ztąd, Jojne! Ja się nie umiem weselić, jak drugie... a potem — ja się masek boję...

SZMULE

(zbliża się do Mozesy i mówi zmienionym głosem).

Dlaczego taka śliczna dziewczyna siedzi w kąciku koło takie dwa paskudne warjaty? Jeden to ma takie uszy, aż mu widno na dwie mile, a drugi to pajac, ale nie na purym, ale już tak na codzień... Czego ty, stary, od codnia garb nosisz? Ty garb połóż na ziemię!

(Wszyscy zanoszą się od śmiechu. Przez ten czas Dawid
Nus mówi coś żydom).

JOJNE

(zdławionym od oburzenia głosem).

Ja nie wiem, kto ty jesteś, ale ty musisz być zły człowiek, kiedy ty ze starego i pobożnego człowieka się śmiesz.

SZMULE.

Aj! aj! jak ty ślicznie mówisz, jak jaki pan... A ja myślał, że jak kto ma takie wielgie uszy, to za to już ma mało języka w gębie...

(Wykręca się do Nusa).

DAWID

(tańcząc, pyta)

Babusia, a zkad wy jesteście?

SZMULE

(t. s.).

A z za Czerniakowa.

DAWID.

A co tu robicie?

SZMULE.

A na bal-em przyszła.

DAWID.

A po co? po co przyszła?

SZMULE.

Żeby znaleźć Jańcia.

DAWID.

No, to ja jestem Jańcio.

SZMULE.

Una i Maryna — i mamy Lajbele za syna,
za syna!

WSZYSCY

(tańczą i śpiewają).

No, to on jest Jańcio, a wuna Maryna —
i mają Lajbele za syna, za syna!

(Przez ten czas Awrumel, Jojne i Mozesa chcą wyjść,
lecz żydzi, z którymi się porozumiał Dawid, zagradzają
drogę).

SZMULE.

Gdzie to śliczne kawalerowie idą? gdzie
idą kawalerowie?

MOZESA.

Puście nas, my chcemy ztąd wyjść!

(Żydzi coraz ciaśniejsem kołem otaczają Mozesę,
Awrumela i Jojnego).

DAWID.

A dlaczego ty chcesz iść z nimi? czy my
nie dla ciebie towarzystwo?

MOZESA
(bardzo gwałtownie).

Nie! bo jesteście źli i ordynarni ludzie! bo
i mnie i Jojnemu i temu staremu Awrumelo-
wi przykrość chcecie zrobić!

DAWID
(wyzywająco).

W sklepie po nocy lepsza zabawa...

JOJNE
(podnosi głowę i zaciska pięści).
Co ty powiedział?... Kto ty? Jak ty śmiesz?...

DAWID
(j. w.).

Ja mówię, co porządne i pobożne dziewczyny,
uczciwe dziewczyny, które chcą, żeby ich
kto szlachetny wziął za żonę, nie siedzą po
nocy same z młodemi mężczyznami, choćby
ten mężczyzna był taki wytrzęsiony i podobny
do garbaty wrony, jak ty, Jojne!

REBICE
(która zbliżyła się naprzód sceny).

Co ten toreso gada?

GUSTA
(zapalczywie).

On łże!

MOZESA

(silnie).

On łże! on podły! To niegodziwy, to zły człowiek!

DAWID.

Kto teraz ordynarne i złe ludzie? My, co uczciwe, czy wy z Jojnem, co sobie wesele przed ślubem sprawiacie?

JOJNE

(rzuca się na Dawida i zrywa mu maskę z twarzy).

Ty chamie!

(Okropny wrzask i krzyk. Dawid chce się rzucić na Jojnego z pięściami, lecz Szmule go powstrzymuje).

REBICE i ŻYDÓWKI

(lamentują).

Co się stało? Pijany? Co on zrobił? On zrobił kłótnię!

(Awrumel pociąga Jojnego ku drzwiom i wychodzą. Na froncie sceny pozostaje Mozes, Gusta ją pociesza).

DAWID

(za Jojnem).

Ty sam cham! ty sam bezwstydnny błazen! pijany cham!

REBICE

(zmartwiona).

Ach, moi goście, moi mili goście! Wy mnie darujcie, wy mnie przebaczcie!... Ja nie jestem winna... wy pijcie i jedzcie i tańczcie! Aj! aj! ten głupi, ten kapconowaty Jojne! On taki bogaty, takie gewizem maskę oberwał i obraził!

SZMULE.

Nie lamentuj, rebice; on, choć nic nie pił,
ale już był pijany.

WSZYSCY.

Ha! ha! pijany!

REBICE.

Ja ci, Mozeso, nie pozwalam więcej z takim warjatem gadać, on ci tylko wstyd robi.

MOZESA

(płacząc).

Jojne nie jest warjat! to Dawid jest zły i nieuczciwy człowiek!

REBICE.

Ty sobie, Dawid, nic z niej nie rób. Proszę, goście, oto jest piernik purymowy Hementasz—jedzcie i pijcie i bawcie się do woli.

DAWID.

Ja jemu kiedy za tę jego śmiałość zapłacę!

SZMULE.

Teraz możemy się bawić, bo te garbate i brzydkie kapure już sobie poszli. No, Gusta, ja ci zaśpiewam piosenkę purymową, com ja się nauczył.

GUSTA

(z zachwyceniem).

Śpiewaj, tylko głośno!

(Mozesa uciekła podczas śpiewu. Wśród tańca zapada kurtyna).

AKT TRZECI.

Ta sama dekoracja, co w akcie pierwszym, tylko drzwi sklepiku przymknięte od ulicy. W izbie na dwóch krzesłach leży ciało zmarłego Lajbela, przykryte prześcieradłem. Na ziemi pali się w lichtarzu świeca. Nieco dalej na ziemi także stoi zapalony kaganek i szlanka wody, nakryta płótnem. Obok ciała siedzi na ziemi CHANA z załamanemi rękoma. Na łóżku śpi DAWID NUS, na drugim łóżku siedzi LEJZOR BEM, na trzeciem MAMKA, BALCIA i inne dzieci. W sklepie koło kontuaru siedzi JOJNE z głową opartą o kontuar. Oparta o szafę stoi MARJEM w kącie. W chwili podniesienia zasłony długa pauza. Pod piecem AWRUMEL. Milczenie. Po chwili wsuwa się GUSTA później MEŁAMED.

SCENA I.

☞ ☞

GUSTA.

Pst! Marjem! Czy już przyszli grubery?

MARJEM.

Jeszcze nie — ale zaraz przyjdą.

(Gusta wchodzi, skradając się).

MARJEM.

Czy ty się boisz, Gusta?

GUSTA

(potrząsając głową).

Tak, Marjem, ja się bardzo boję śmierci! Ja bym nie mogła zobaczyć teraz Lajbele. Ja nie mogę nigdy patrzeć na umarłego! To bardzo nie wesoło (po chwili). U nas też nie wesoło... U nas Mozesza słabuje od tej paskudnej awantury na purym bal.

MARJEM.

Ona może z tego słabować, Gusta — ona miała wielki wstyd i ona teraz już nigdy za męża nie pójdzie, bo ona już teraz nie jest uczciwa dziewczyna.

GUSTA.

Ty wiesz, Marjem... ja słyszałam, że Dawid Nus chce po mnie swatów przysłać.

MARJEM.

Dawid Nus? On to chce na złość Mozesie zrobić.

GUSTA.

Może i tak, Marjem, ale ja biedna dziewczyna, u mnie niema posagu, to ja chętnie pójdę za Nusem.

(Pukanie do drzwi sklepiku. Jojne wstaje i zagląda przez drzwi).

MEŁAMED.

Czy tu jest Awrumel belfer?

JOJNE.

Jest — wejdźcie, rebe.

MEŁAMED
(wchodząc).

Ja nie powinienem nigdy już wejść na twój próg, Jojne... Ty mi zrobił dużą krzywdę i zwyczaję pogwałcił. Ty Nusowi maskę zdarł, mnie to rebice opowiadała. Ona się tak zmartwiła, że miała chorość przez dwa dni. Ja ciebie powinienem był do sądu pozwać, ale ja tego nie chcę robić, bo ja wiem, że ty jesteś głupi i że ty może był pijany.

JOJNE.

Rebe! Lajbele umarł — on tam leży.

MEŁAMED.

Ja wiem: ja przyszedłem tobie powiedzieć, że ja nie chcę, żeby ty do mnie do szkoły przychodził. Jabym przez ciebie mógł stracić wszystkie ucznie w szkole. Ty mówił wczoraj na ulicy, że Lajbele umarł przez to, że w szkole niema powietrza i wilgoć jest. Nu — może jaka kobieta cię posłyszeć i swego syna odemnie z nauki odebrać.

JOJNE.

Wszystkie to zrobić powinny.

MEŁAMED
(wściekły).

Ty się wściekłeś? Ja tobie zakazuję to mówić! Ja tobie proces zrobię za to, że ty mnie interes psujesz! Lajbele umarł nie z tego, że mało było powietrza, ale z tego, że ten głupi belfer Awrumel z nim za dużo gadał, objaśniał mu. On miał małą głowę, a w taką

małą głowę jest tyle miejsca, co na elementarz potrzeba. Niech on całą książkę na pamięć umie, to jemu dosyć roboty.

JOJNE.

Ty mnie chcesz proces wytoczyć, mełamed? Może nawet jabym taki proces przegrał — ale ty przegrałbyś swój proces, jakby ci go Bóg wytoczył. Tam Lajbele świadczyłby przeciw tobie!

MEŁAMED.

I ty i Awrumel belfer jesteście dwa warjaty! Ty i jemu powiedz, że ja jego w mojej szkole nie chcę mieć. Niech on już z cmentarza do mnie nie przychodzi, bo on mi swoją głupotą wszystkie dzieci ze szkoły wystraszy. On nie ma u mnie miejsca!

(Wychodzi i spotyka się we drzwiach z gruberami).

GUSTA

(przerażona).

Marjem... żałobnicy idą... ja się bardzo boję!

(Ucieka do kąta).

JOJNE.

Marjem, powiedz ty Chanie, że idą grubery.

MARJEM.

Ty sam idź do niej, Jojne; ja się boję do niej mówić, ona bardzo zgryzional

JOJNE

(idzie do Chany).

Chano, idą żałobnicy... wstań, zrób miejsce dla trumny...

CHANA
(lamentuje).

O! Och, ja nieszczęśliwa matka! co ja teraz pocznę bez mojego syna! bez mojego kochanego Lajbele!

JOJNE.

Nie płacz, Chano! ty źle robisz, krzycząc tak i lamentując. Pomyśl tylko — ty sama sobie teraz żałujesz i nad sobą płaczesz, nie nad biednym Lajbele, bo jemu lepiej teraz, niż przedtem.

AWRUMEL.

Lepiej, Chano, lepiej!

CHANA.

Dlaczego jemu lepiej? Przecież on miał co jeść i do chederu go oddałam, jak miał trzy lata. Inne matki nie zmogą się tak wcześnie i dzieci ich dopiero w piąty rok do chederu idą, a jego posłałam na naukę, jak jeszcze był taki maleńki... I dziś go muszę karawaniarzom oddać!

AWRUMEL.

Dlatego właśnie, Chano, dlatego, żeś go takim maleńkiem dzieckiem do chederu posłała, teraz go karawaniarzom oddać musisz.

CHANA
(patrząc szeroko rozwartymi oczami na Jojnego i Awrumela).

Co on mówi, Jojne? Czy on prawdę mówi?

JOJNE.

On prawdę mówi!

(Na progu sklepiku ukazują się obaj karawaniarze. Przez drzwi widać gromadkę dzieci, które cicho zaczynają śpiewać pieśń żałobną).

CHANA

(na klęczkach płacze).

Ja chciałam dla niego dobrze! Ja chciałam, żeby on od maleńkości był nauczony!

JOJNE.

Ale on był za słaby, a nauka za silna, Chano. Był on, jak ten kwiat... on potrzebował światła i powietrza, a tyś mu wszystko odebrała, Chano!

CHANA

(na widok wchodzących gruberów).

Nie bierzcie go jeszcze! nie bierzcie go jeszcze!

(Mamka wychodzi z dzieckiem na ulicę).

AWRUMEL.

Szczęście, że nie większe nieszczęście.

CHANA,

Szczęście, że nie większe nieszczęście!

(Żałobnicy biorą ciało Lajbela w prześcieradło).

I ŻAŁOBNIK

(kłaniając się przed Chaną).

Gdzie tata tego dziecka?

CHANA

(ponuro).

Tata niema: ojciec uciekł.

ŻAŁOBNIK.

Matko, niech ci przebaczy! (Zwraca się do dzieci).
Bracie, niech ci przebaczy! Siostro, niech ci przebaczy!

(Przez uchylone drzwi widać żydów, mężczyzn, stojących na ulicy. Lejzor Bem; Jojne, Awrumel wychodzą za ciążem. Żałobnicy wychodzą ze sklepika. Nus przewraca się na łóżku i zakopuje w bety. Pozostają same kobiety.

SCENA II.

MARJEM, GUSTA, CHANA, NUS śpi.

□ □

CHANA

(lamentując).

O, Lajbele! Lajbele! byłoby lepiej, żebyś wcale na świat nie przyszedł!

MARJEM.

Nie krzycz, Chano!... masz jeszcze inne dzieci!

CHANA

(j. w., ubiera się do wyjścia).

Och! teraz muszę patrzeć jak go do trumny kładą! Och, ja muszę iść do ochrony!... ja muszę gotować...

MARJEM.

Idź lepiej do roboty, Chano; może ci to zejdzie z głowy.

CHANA

Nie zejdzie mi to z głowy! Tyle pieniędzy, co ja na szkołę wydałam — i teraz to wszyst-

ko karawaniarze zabrali... Balcia, ty trzewiki po Lajbele jutro weźmiesz; ja ciebie do chederu zaprowadzę. Ty się ucz!

(Wychodzi lamentując).

MARJEM.

Ja pójdę z tobą, Chano. Tobie będzie weselej na ulicy.

(Wychodzi za Chaną).

SCENA III.

GUSTA, później MOZESA, NUS śpi.

■ ■

GUSTA.

El iść za mąż, to wieczne lamenty i zmar-twieniał a nie iść za mąż — grzech! Jabym wolała nie iść... ale chciałabym iść... Mozeso! (Mozesa wychodzi wolno; jest słaba i zmieniona). Dlaczego ty, Mozeso, wstała? Czemu ty nie leżysz, kiedy ci ciotka pozwoliła? Ja za ciebie w sklepie posiedzę.

MOZESA.

Ja chciałam porządek w sklepie zrobić, obliczyć, co jest towaru i wszystko zabrać... Chyba, że ty, Gusta, może chcesz po mnie handel wziąć?

GUSTA.

Co tobie, Mozeso? Dlaczego ty chcesz handel zwinąć?

MOZESA.

Bo ja teraz nie mam dla kogo pracować, Gusto.

Jak ty była mała i Chana, nasz brat był mały, a ojciec jeszcze, choć w szpitalu, ale żył — to ja musiałam pracować w handlu, żeby dla was wszystkich na życie starczyło. Ale teraz ty, Gusta, jesteś duża dziewczyna, Chaim jest u blacharza, biedny nasz ojciec na cmentarzu — to i ja mogę nie handlować więcej, Gusto... i odpocząć.

GUSTA.

Ty już pracować nie chcesz, Mozeso? ty sił nie masz do pracy?

MOZESA.

Nie, Gusto, ty mnie nie rozumiesz. Ja do pracy siły mam, tylko ja do handlu sił nie mam. Ja nie umiem obliczyć zarobku na każdym kawałku koronki i wstążki; ja nie potrafię już tak zrobić, żeby kundmana oszukać na wszystkim (po chwili). Ja dawniej to dla was robiłam — i innych ludzi oszukiwałam nieraz, żeby wam ciepłą strawę dać... ale ja tego robić dziś dla siebie nie chcę i nie będę...

GUSTA

(siada u jej nóg).

Ja ciebie dobrze nie rozumiem, Mozeso. Ale mnie się zdaje, że ty jesteś bardzo mądra, więc to, co mówisz, musi być mądre i dobre. Ale dlaczego ty za męża iść nie chcesz? Ty ciotkę bardzo tym uporem gniewasz. Może tobie chodzi i o ten wstyd, co tobie Nus na purym bal zrobił? Aj, Mozeso! on bardzo bogaty, bardzo tego żałuje i on mówi, że on tak przez zazdrość

do Jojnego zrobił. On mówił, że jak ty go nie zechcesz, to on się ze mną będzie żenił...

MOZESA.

Jeżeli masz go w myśli, to idź za niego, Gusto — ale mnie się zdaje, że ty o Szmulu myślisz, Gusto, więcej i lepiej, niż o Nusie.

GUSTA.

Może, Mozeso, Szmule mi się więcej podobają — ale Szmule nie ma jeszcze nic i ledwie parę rubli zarobi. Co to za mąż! A Nus już czeladnik. Jak Nus po mnie przyśle, to pójdę za Nusa. A ty, Mozeso? ty musisz także iść za mąż. To grzech u nas, jak kobieta zostaje bez męża...

MOZESA.

Niech już będzie na mnie ten grzech, Gusto.

GUSTA.

Dzieci mieć nie będziesz, Mozesol

MOZESA

(z wielką powagą).

Gusto! u nas żydów jest tyle biednych dzieci, co matek nie mają — one będą moje dzieci!

GUSTA.

To nie wszystko jedno, Mozesol! No — zrób, jak ty chcesz; ty już duży jesteś, ty wiesz, co lepiej. Ja tymczasem wezmę dzieci i pójdę z nimi na spacer. One bardzo smutne po Lajbele... (wybiega po dzieci). Ajzyk, Boruch, Balcia! pójdziemy na spacer!

(Nus się budzi; opiera rękę na łokciu i patrzy przed siebie).

GUSTA

(wybiegając z dziećmi).

Ja za godzinę odprowadzę dzieci. Czy ty tu będziesz, Mozeszo?

MOZESA.

Nie wiem, Gusto.

SCENA IV

MOZESA i DAWID NUS.

Mozesa wchodzi za kontuar, układa rzeczy w porządku w pudełkach, owija je w papier, chwilę szuka papieru pod kontuarem, wyjmując z szafki kapelusz, potem wchodzi do izby, szukając papierów pod łóżkiem. Spotyka się nagle ze wzrokiem Nusa, który wstaje i siada na łóżku. Mozesza cofa się, lecz on zrywa się i wyciąga do niej rękę.

MOZESA.

Czego ty chcesz, Nus, odemnie?

DAWID NUS.

Przebacz ty mnie, Mozeszo!

MOZESA.

Ja ci odrazu przebaczyłam, Nus. Ciebie zły duch opętał i przez ciebie mówił; bo człowiek taki, jak ty, złym być nie mógł.

NUS

(po chwili gwałtownie)

Dlaczego ty nie chcesz być moją żoną, Mozeszo? Czy dlatego, że ja ciemny prosty żyd? Ale ty źle myślisz o mnie, bo choć ja, tak

jak Jojne, książek nie czytał i nie czytam, to przecież ja umiem liczyć, grosze robić i, jak będę miał własną piekarnię, to ja potrafię interes prowadzić.

MOZESA.

Właśnie, Nus, ja lękam się, że ty za mądrze i za dobrze prowadziłbyś swój interes... a ja nie byłabym dla ciebie na żonę zdatną. A potem, ty może myślisz Nus, że ja mam jaki posag i dlatego się na mnie łakomisz. Ja nic nie mam w handlu ci pomagać nie będę. A nawet nie mógłbyś powiedzieć, żeś wziął czystą i uczciwą dziewczynę, boś sam się o to postarał, żeby ludzie mówili inaczej.

NUS.

Jak się z tobą ożenię, Mozeszo, to ludzie przestaną na ciebie gadać.

MOZESA.

Ludzie nigdy źle nie przestaną o drugich mówić. A potem, Nus, tobie nie o mnie chodzi, ale o ten pół sklepik i mój zarobek. Tylko ja przedtem pracowałam dla mojego rodu, a teraz miałabym na ciebie pracować?!

NUS.

Nie na mnie, Mozeszo; ale na nas oboje i na nasze dzieci. Myby mogli jeszcze nawet do pieniędzy dojść... mieć nawet dużo pieniędzy — parę sto rubli — jakby my się bardzo oszczędzali i byle czem obchodzili.

MOZESA

(patrzając w oczy Nusa).

A co potem byłoby, Nus?

NUS.

Ny — jakto co potem?

MOZESA.

Tak — potem, jakby my mieli pieniądze?

NUS.

Ny — toby... toby my mieli pieniądze, tak jak inni bogaci żydzi.

MOZESA.

Nie, ja tego nie chcę, Nus.

NUS

(z coraz większą złością).

Tobie ten głupi Jojne w głowie przewrócił? Ny — ja myślał, że jak ty przez niego taki wstyd miała na purym bał, to ty się od niego odwrócisz i zrozumiesz, że taki zabity i głupi Jojne, to tylko wstyd może dziewczynie przynieść. Bo on się z tobą nie ożeni — on handel zmarnuje... on niedługo będzie po ulicach chodził i będzie taki, co to dzieci będą na niego kamieniami ciskały. Ty się sama od niego odwrócisz, Mozeszo.

MOZESA.

Nie, Nus, ja i wtedy się nie odwrócę od Jojnego.

NUS

(j. w.),

I ty także, Mozeszo, będziesz z nim po prośbie, jak zebrak, chodziła, bo i ty nie jesteś, jak każda uczciwa i mądra żydowska kobieta, co chce za mąż iść, pracować, mieć dzieci i handlować, po to, aby do czegoś dojść. Ty także zmarniejesz, bo ty zwarzowała, Mozeszo. Ty jeszcze głupsza od Jojnego! (z coraz większą złością). Jak ty myślisz? — może ja cię będę bardzo prosił? To ty się mylisz! Jaby tobie łaskę był zrobił, żebym taką wygonioną pannę chciał za żonę wziąć. A tak, ja wezmę Gustę... a ciebie niech djabeł porwie!

(Wściekły, rzuca się na łóżko i okrywa się z głową).

MOZESA

(stoi chwilę, patrzy na niego, potem mówi z westchnieniem).

Biedna Gusta!...

SCENA V.

MOZESA, JOJNE, AWRUMEL, NUS (śpi).

Jojne wchodzi wolno i, niewidząc Mozesy, która wróciła do sklepiku, siada przy kontuarze i opiera głowę na ładzie.

□ □

MOZESA.

Jakto? jużście wrócili? Nie byliście na cmentarzu?

AWRUMEL

(cicho).

Jojne od śmierci Małki nie może patrzeć

na otwarty grób i słuchać, jak śpiewają „Kolerachmen“. Ja jego sam namówił, żeby do domu wrócił, bo źli ludzie mogą powiedzieć, że on robi jakie sztuczki.

MOZESA

(smutno).

Jak on nie może o Małce zapomnieć!

AWRUMEL.

On o niej nigdy nie zapomni, Mozeso. Ona była dla niego jak słońce! Ona, jak umierała, to swoją duszę w niego przelała i dlatego on już będzie do śmierci do niej należał — bo on jej wszystko winien, co jest w nim lepszego, Mozeso!

MOZESA

(składając ręce na piersiach).

A ja będę także do śmierci do Jojnego należała, bo ja winna mu to, co jest we mnie lepszego, Awrumel!

AWRUMEL

(patrzy na nią uważnie).

Ja ciebie dopiero teraz rozumiem, Mozeso!

MOZESA

(milczy chwilę — idzie do kontuaru, składa rzeczy, potem patrzy na Jojnego).

On nikogo z nas nie widzi. On cały jest w myśli tej chwili, kiedy Małkę w grób kładli... A ja chciałabym z nim pomówić, Awrumel.

AWRUMEL.

Pomów ty z nim, Mozeso! Mnie rebe ze szkoły wygnał. Jojne mi to mówił; ja sobie

siadę na schodkach przed sklepem. Słońce już zachodzi, ale jeszcze go trochę jest. A słońce nic nie kosztuje, ono nas wszystkich jednakowo grzeje... czy bogatych, czy biednych.

(Wychodzi i siada na stopniach przed sklepem, ale drzwi są przyknięte).

MOZESA

(wychodzi cicho do Jojnego i dotyka jego ramienia).

JOJNE

(podnosi oczy łez pełne).

Kto mnie woła?

MOZESA.

To ja, Jojne. Daruj mi to, że ci tu przeszkadzam w myśleniu, ale ja chciałam ci powiedzieć ważną rzecz, Jojne. Ja zwijam handel i wyjeżdżam z Warszawy.

JOJNE.

Dlaczego ty to robisz, Mozeszo?

MOZESA.

Ty wiesz, dlaczego ja to robię, Jojne!

JOJNE

(po chwili).

Ty dobrze robisz, Mozeszo, ty bardzo dobrze robisz. Dziękuję ci — ja teraz także wiem, co zrobić. Ty, kobieta, miała więcej odwagi, jak ja. Mnie wstyd przed tobą, Mozesol

MOZESA.

Ja ci powiem, Jojne, dlaczego ja miałam więcej siły. Bo ja ją brałam od ciebie. A ty

nie miałeś z kąda brać odwagi i chęci. Ta, co była twoją siłą — ona w grobie!

JOJNE.

Ale, choć ona w grobie, ona zawsze przy mnie. Ale, gdzie ty jedziesz, Mozeszo? dokąd? co będziesz robiła?

MOZESA.

Z Galicji przyjechały tu dwie żydówki. One mnie mówiły, że tam miłosierni ludzie założyli tanie kuchnie dla biednych i że tam trzeba pomocnic. Ja prosiłam już dawno, żeby mi się o takie miejsce wystarały. I wczoraj mi powiedziano, że takie miejsce jest.

JOJNE.

Dlaczego ty chcesz tak daleko jechać Mozeszo? Ty możesz i tutaj taką pracę mieć i tak samo drugim służyć.

MOZESA.

Nie, Jojne, ja tak samo drugim służyłbym tu nie mogła...

JOJNE.

Dlaczego? Przecież wszyscy biedni są jednakowi.

MOZESA

(cicho, po chwili wahania).

Tak, Jojne... ale ja tutaj nie tylko biednych miałabym w sercu. A im trzeba się oddać całą duszą; ty sam tak mówiłeś, Jojne... Ja muszę odjechać, koniecznie... Bądź zdrow, Jojne... Dziękuję tobie, żeś mi powiedział, co

ja mam robić w życiu i że nie sam handel mi w życiu pozostał.

JOJNE.

Idź spokojnie Mozesol Ja tobie także dziękuję; tu przy tobie było mi cicho i dobrze. Ty i Awrumel, jedni nie śmieliście się ze mnie i słuchali tego, co ja powiedziałem. Inni żydzi na mnie rzucali obelgi i patrzyli, jak na warjata, bo ja nie jestem jak oni i zowią mnie nieposłusznym warjatem.

MOZESA.

I mnie także nazywają nieposłuszną, Jojne, za to, że ja za mąż nie chcę iść według woli familji i swatek. Oni mówią, że każda żydówka musi iść za mąż, musil I gdybym tu została, nie miałabym ani chwili spokoju. Dlatego z tąd pójdę, bo ja nie mogę być takim na targu zwierzęciem, które kupić przez swatów koniecznie trzeba! (po chwili). Ja jednak zostałabym tutaj, gdybyś ty mi to kazał, Jojne!

JOJNE.

Nie — idź lepiej, Mozesol U ciebie także dusza inna. Ty mogłabyś zostać żoną niekochanego przez ciebie człowieka i być taką nieszczęśliwą, jak była ze mną Małka (gorączkowo). Nie! nie! nie! nie trzeba!

MOZESA

(silnie, patrząc w oczy Jojnego).

Ty gdybyś zechciał mnie, ja zostałabym, Jojne!

(Zakrywa twarz).

JOJNE

(zdziwiony).

Ja? ja? coś ty powiedziała, Mozeso?

(Chwila milczenia. Słysząc cichy śpiew, w żargonie Awrumela po za drzwiami sklepiku).

JOJNE.

Ja ciebie nie zatrzymam, Mozeso! idź lepiej odemnie!

MOZESA

(postępuje ku drzwiom).

Bądź zdrów, Jojne!

JOJNE.

My się nieraz jeszcze spotkamy, Mozeso, my oboje nieposłuszni... My po jednych ścieżkach chodzimy.

(Słysząc łoskot od uderzenia we drzwi kamieniem i jęk Awrumela).

MOZESA.

Co to jest?

(Drzwi się uchylają, wchodzi przez nie Awrumel, trzyma w ręku kamień).

AWRUMEL.

Jojne! dzieci już na mnie kamieniami rzucają...

JOJNE.

Za co, Awrumel? za co?

AWRUMEL.

Za to, że ja siedział na słońcu i wiersze sobie układał... Ja zapomniał, że ja na ulicy i moje wiersze zacząłem śpiewać; mnie było

dobrze, mnie było ciepło — ja był rad, ja się weselił—ja piosneczki chciał układać... i nagle ja dostał kamieniem w głowę. O! takie małe chłopaki, takie dzieci śmiały się ze mnie i zaczęły na mnie piaskiem i kamieniami ciskać! Takie małe! (po chwili). I ja nie mogę więcej na słońcu siedzieć i moje wiersze śpiewać! (po chwili). Tam są moje uczniowie z chederu! Oni już wiedzą, że mnie rebe wygnał!

JOJNE.

Złe! złe dzieci!

AWRUMEL.

Nie dzieci złe, to ich rodzice złe, bo nie nauczyli swoje dzieci litować się i kochać ludzi.

JOJNE.

Ja pójdę — ja te dzieci ukarzę!

(Idzie ku drzwiom, otwiera je; widać gromadkę dzieci, które z piskiem uciekają; Jojne patrzy za nimi i później wraca na front sceny).

Nie, Awrumel, ja tych dzieci ukarać nie mogę! Ja tak samo robił, kiedy ja był mały! A przecież ja sam winny temu nie był! Ty dobrze mówisz, że rodzice temu winni, Awrumell (po chwili). Ale ja pójdę! ja im powiem to, co im rodzice powinni powiedzieć. (Otwiera drzwi i opiera się o nie; mówi zwrócony do gromady dzieci). Dlaczego wy, dzieci, na biednego starca kamieniami ciskacie? On wie, co nędza, co bieda, co zmartwienie, co niedola. On całe życie dzieci nauczał i był dobry dla nich. On dziś starej głowy nie ma gdzie złożyć, bo on

chciał waszego dobra! I dlatego, że on garbaty, wy mu w słońcu nie dajecie siedzieć...

JEDNO z DZIECI

(podnosi kamień i ciska nim na Jojnego; inne z krzykiem).

Jojne, Jojninke! a ungehorter!

(Uciekają).

AWRUMEL.

Podnieś ten kamień, Jojne! I ty będziesz jednym z tych, na których dzieci kamieniami rzucają...

(Jojne schyla się po kamień. Mozesza cofa się przerażona patrząc na Awrumela).

MOZESA.

Dawid Nus to także powiedział.

JOJNE.

On to mógł powiedzieć, Mozeszo, bo Nus został się w duszy taki sam, jak te dzieci, okrutny. Teraz, Awrumel, każdy z nas ma kamień na drogę, na życie!

MOZESA.

O! i ja chciałabym mieć też taki kamień Jojne!

JOJNE.

Ty już go miałaś, Mozeszo, tam na purym bal, kiedy ci Nus obelgę w oczy cisnął; to był kamień cięższy i gorszy, niż ten, Mozeszo! Ty go będziesz mieć w sercu życie całe.

MOZESA.

Tak, Jojne, ty to dobrze powiedziałaś. Bądź zdrów, bądź zdrów Awrumel!

(Odchodzi powoli, przyglądając się Jojnemu i przymykając drzwi).

AWRUMEL.

To dobra i szlachetna dziewczyna! Ona byłaby dobrą dla ciebie żoną, Jojne.

JOJNE.

Ani ona, ani żadna! Nie mów mi nigdy o ożenieniu, Awrumel!

AWRUMEL.

Ja też pójdę, Jojne... Ja pochodzę po chederach, może mnie gdzie wezmą. Ale rebe Ajzyk musiał już i innym mełamedom o mnie powiedzieć... I tak mi już przyjdzie na starość gorzkie łzy wylewać i chyba żebrać po miłosiernych ludziach.

JOJNE.

Dokąd ja będę miał co jeść, ty Awrumel, nie będziesz głodny! Ty się ze mną dzielisz moim myśleniem, twoją nauką; ty mnie objaśniał, jak ona, jak Małka, kiedy jeszcze żyła. I mnie się zdawało czasem, że to ona mi ciebie zesłała, żebyś ty mnie oświecił i z ciemności i z głupoty wywiódł. Ty był dla mnie więcej, niż ojciec, i ja ciebie bardzo kocham, moj stary przyjacielu!

AWRUMEL.

Ja będę jeszcze pracy szukał. Ja jeszcze napisał trochę hebrajskich i żargonowych wierszy... Jabym chciał złożyć tyle pieniędzy, żeby w książkach wydać... Aj! aj! żeby mi się to udało! jaki jaby szczęśliwy był!

SCENA VI.

CIŻ SAMI i STARY FIRUŁKES, wchodzi wolno i staje zdziwiony.

□ □

FIRUŁKES.

Ty nie na kirkucie?

JOJNE

(cicho).

Nie... mnie głowa boli!

FIRUŁKES.

To się przejdź... przeluftujesz się, to cię bolenie odejdzie.

JOJNE.

Ja w sklepie zostanę; a potem ja chciałem z tatą pomówić.

FIRUŁKES

(ciągle zły i zmieszany; pod chałatem ma pakunek, który stara się ukryć).

Ja dzisiaj czasu nie mam!

JOJNE.

Ja długo mówić nie będę... (po chwili z drżeniem trwogi).! Tate, ja ztąd pójde precz!

FIRUŁKES.

Zkąd? gdzie?

JOJNE.

Ze sklepu, z handlu.

FIRULKES.

Idź... Ja ci mówił, co byś się luftował.

JOJNE.

Ja nie na spacer; ja chcę iść, tate, ale zupełnie od ciebie w świat, między ludzi!

FIRULKES.

Widzicie go! w świat! Czy ty pił dzisiaj dużo wejn? co?

JOJNE.

Ja nic dziś nie pił, tate.

FIRULKES.

Ty musiał pić — ty jesteś getrocket! Ty pójdziesz, ale jutro ze mną na giełdę pod bank; ty zobaczysz, jak się interesa robią. Ja ciebie z handlu zwolnię, bo ty osioł jesteś zabity... ale ty ze mną pod bank iść musisz!

JOJNE.

Ja nie pójde z tobą, tate!

FIRULKES

(wściekły, bijąc kijem o podłogę).

Pójdziesz! Ja ciebie nauczę słuchać ojca! Ty mnie za dużo kosztujesz, a nic nie robisz; ty mnie tyle kosztujesz, co kamienica, a w kamienicy mieszkają lokatory i płacą komorne, a w tobie nikt nie może mieszkać i ty próżny stoisz i żadne procenty nie niesiesz. Ja tobie znów nowy chałat kupił na wiosnę. Un mnie ten chałat tyle kosztował, co by mnie kosztowało, co bym kamienicę odtynkował — to bym podniósł komorne; a tak ja nie mogę podnieść

komorne. Ty wiesz teraz, co ty mnie kosztujesz? ty... warjat!

JOJNE.

Ja też nie chcę więcej cię kosztować, tate, i nie chcę od ciebie ani jadła, ani chałata. Ja sobie pójdę i sam na siebie zarobię.

FIRUŁKES

(j. w.).

Siste! jak ty możesz zarobić? co ty możesz zarobić? Ty! Do handlu trzeba mieć i kepele i serce. A ty nie masz ani jedno, ani drugie.

JOJNE

Ja nie chcę handlować, ja pójdę za robotnika.

FIRUŁKES.

Oj waj! ty się wściekł z gorąca? Jojne, Joj-ninke, ja pošlę po policję, niech oni ciebie do szpitala odwiozą!

JOJNE

(już coraz energiczniej).

Niech tate nie krzyczy. Ja ani warjat, ani pijany. Ja wiem, co mówię. Ja chcę tylko mieć co zjeść i gdzie spać, a pieniędzy zbierać nie chcę, bo takie pieniądze to zawsze z krzywdą biednych zebrane!

FIRUŁKES.

Pieniądz jest pieniądz; jak on jest w mojej kieszeni, to on już mój. Jak go drugi głupi mnie sam w ręce pcha, jabym był warjat, że-bym ja go nie wziął.

JOJNE.

Ale ty, tate, często wydzierasz taki pieniądz drugiemu, a nie on sam ci ten pieniądz oddaje!

FIRUŁKES.

To jego вина... Czemu ja od niego jestem mądrzejszy i silniejszy? Żebyś ja był taki, jak ty, tobym dziś nie był mądry Firułkes, kupiec Firułkes — ale kapcan Firułkes...

JOJNE.

Ale ja, tate, będę kapcan i chcę pracować, jak inne kapcany. Dlaczego ja miałbym ludzi oszukiwać? Czy nie mam takich samych rąk, jak inni ludzie? Ja mam takie same plecy do dźwigania ciężarów, jak inni ludzie — ja chcę pracować, jak inni ludzie!

FIRUŁKES.

Handel jest łżejszy i zyski niesie.

JOJNE.

A dlaczego my mamy tylko łżejsze mieć roboty i większe zyski? Nie, tate, ja z tobą nie zostanę, ja się od ciebie pieniędzmi obracać nie nauczę. Ja na to był zawsze zabić ty — dlatego ja pójdę!

FIRUŁKES

(w pasji).

Al ty teraz iść chcesz, kiedy ty mógłbyś odrobić to, co ja na ciebie wydał na małego!

JOJNE.

Jeżeli ja co zarobię, to ja tobie oddam, tate — ja się postaram.

FIRUŁKES.

A gdzie ja mam na to pewność? Jak ty tu jesteś, to ja mam pewność, że ty może co zaczniesz; a jak ty będziesz po świecie ganiał, to ja za tobą pędzić nie będę.

JOJNE.

To próżno, tate... ja nie zostanę, ja dłużej twojego chleba jeść nie będę!

FIRUŁKES

(podnosząc kij).

Ja ciebie ściągnę kijem przez głowę, to ty się upamiętasz!

JOJNE

(chwytając kij w powietrzu).

Tate! ty mnie nie trącaj! Ty możesz na siebie i na mnie nieszczęście ściągnąć!

(Firułkes stara się uspokoić, ale nie może; chodzi tu i tam, nareszcie staje i krzyczy).

FIRUŁKES.

Gaj weg! ty wyskrobek! Niech cię djabeł porwie!

(Jojne idzie ku drzwiom, zatrzymuje się i ogląda na ojca).

JOJNE.

Bądź zdrow, tate!

FIRULKES.

Gaj weg!

(Jojne wychodzi i przymyka drzwi za sobą. Podczas sceny Jojnego z ojcem Awrumel wyszedł cicho ze sklepu).

SCENA VII.

FIRULKES, NUS (śpi), później JOJNE.

23

FIRULKES

(chodzi chwilę po sklepie, pluje, mruczy, potem zabiera w kieszeń niektóre przedmioty z szafy, zagląda do izby i mówi, nie widząc Nusa, zakopanego w bety).

Niema nikogo! (Patrzy na przedmioty znajdujące się w izbie, i mówi). Ny! co to warte? To nie warte? To nie warte i dwudziestej części tych pieniędzy, co mi asekuracja zapłaci... Uni na tem jeszcze dobry interes robią... że ja ich łachy zaasekurowa! (Idzie ku drzwiom i spogląda przez nie). Ten szmendryk poszedł, już poszedł... A niech idzie, niech go djabeł porwie! Taki syn; to żaden syn! Trzeba się spieszyć, zanim kto wróci. (Wraca; wyjmując butelkę z naftą z kieszeni). Nafta! (wącha). Nafta z benzyną, to się najlepiej pali! (Kropi naokoło kontuaru podłogę, wyjmując z kieszeni wióry, które rozrzuca dokoła; macza paczkę wiorów w naftcie i wciska pod kontuar, potem wyjmując z kieszeni zapalki i zapala. Robi to wszystko gorączkowo; chwilę czeka. Widząc, że dym wydobywa się z pod kontuaru, biegnie ku drzwiom i, będąc przy nich, obraca się triumfująco do publiczności). Tak się robi pieniądzel So macht man Geld!!

(Chce wychodzić, otwiera drzwi i staje jak wryty, spostrzegając Jojnego).

FIRUŁKES

(bardzo szybko).

Czego tu chcesz?

JOJNE.

Ja wróciłem, tate; chciałem książki zabrać, co one są w kuferku Małki...

(Chce wejść).

FIRUŁKES

(j. w.).

Tu niema nic dla ciebie — idź precz!

JOJNE

(postępując na próg, prawie siłą rozpaczliwą).

Ja muszę mieć te książki, tate... ja nic już od ciebie nigdy nie zechcę, tylko daj mi te książki!

FIRUŁKES

(ochrypłym głosem).

Gaj weg!

JOJNE

(spostzegając dym).

Tate! tam się pali! pali się w sklepie!

FIRUŁKES

(z wściekłością).

Cicho! stul pysk! Pali się — to moje!

JOJNE.

Ale tam się spala rzeczy Chany i Marjem i moje książki!

(Biegnie do kontuaru. Nus się budzi, zrywa się z łóżka i staje na przejściu między izbą i sklepikiem Jojne gasi ogień).

FIRUŁKES

(jak szalony).

Nie gaś! nie gaś! Zostaw, chodź ze mną, wynoś się!

JOJNE.

To wióry! to nafta! Co to? kto to podłożył? (z krzykiem). To ty! to ty, tate! Ty sam ten ogień podłożył!

FIRUŁKES

(siniejąc z gniewu).

Ty milcz! Tobie sądzić ojca nie wolno!

JOJNE.

Ty dla pieniędzy chciał podpalić! podpalacz!

DAWID NUS

(wychodząc ze sklepu).

Podpalacz! Ja pójdę po policję! Niech cię wezmą w kryminał!

JOJNE

(cofając się).

Ty, Nus, był także tutaj?

NUS.

Ja byłem ja spałem ja.... ja byłby się spalił!... Niech was obu wezmą w kryminał!...

JOJNE.

To nie on... to nie tate... to ja!...

NUS.

Wy dwaj! Ja was dwóch z naftą i wiórami złapał!...

FIRUŁKES

(w ataku apopleksji).

Ja? w kryminał? — i to przez mego syna, co mnie z sekretu wydał!... Ja?!... (Bije rękami w powietrzu i pada na ziemię). Ol...

JOJNE

(podbiega do ojca).

Tate! tate! co tobie?!

FIRUŁKES

(chrapliwie z największym wysiłkiem).

Precz! precz! ty zły syn! ty mnie zgubił, ty bądź przeklęty!! (Unosi się trochę i mówi straszonym, chrapliwym głosem następujące przekleństwa): Żebyś dostał ciężkiej choroby! Nigdy dla ciebie niema wesela! Masz zawsze chodzić w wielkiem zmartwieniu! Żebyś się wiecznie skarżył na swój los! Bądź przeklęty!!

(Umiera).

DAWID NUS

(porywa kij Firułka i dotyka nim Jojnego).

Idź precz ztąd, Jojne! Ty pod przekleństwem! Ojciec cię przeklął... Ty pod jednym dachem

z ludźmi być nie możesz; ty już do ludzi
żywotne nie należysz... Ja ciebie nawet do
kryminału nie oddam, bo dla ciebie niema
gorszej kary, jak przekleństwo! Precz, ty
nieczyste stworzenie!

(Kijem usuwa Jojnego ze sceny, który się cofa, zakrywa-
jąc oczy rękoma).

Zasłona wolno spada,

AKT CZWARTY.

Scena przedstawia piwnicę ciemną, brudną, wilgotną, w niej żydowska piekarnia, w głębi piec rozpalony do czerwoności, przy nim stoi piekarz wpół nagi (tors nagi) z wielką łopatą do wsuwania mac; obok niego Awrumel (także tors nagi), znędzony i biedny, podaje mu macę. Na prawo stół podłużny, wąski, przy nim Jańcio w chałacie długim i czapce, bierze w rękę każdą macę, którą mu podaje Dawid Nus, stojący przy maszynie do robienia mac. Naprzeciw Jańcia na ławce siedzi młody żyd, który kółkiem z rączką każdą macę kilka razy kreśli. Naprzeciw Nusa, po drugiej stronie maszyny siedzi na wysokim stołku Szmule i wsuwa ciasto do maszyny. Nus kręci korbą, wyjmuje ciasto i podaje Jańciowi, ten ogląda w milczeniu i oddaje żydowi z kółkiem, który, po naznaczeniu macy, rzuca ją na stół. Ztamtąd bierze macę mały chłopiec (Szalek z aktu 2-go) i podaje Awrumelowi, ten piekarzowi, który wsuwa na łopatę i kładzie do pieca, po chwili wyjmuje i drugi pomocnik wrzuca ją do kosza. Na drugim końcu stół wąski i długi; na końcu stołu siedzi żyd Sznajder i ten kawały ciasta kraje na mniejsze kawałki, potem rzuca na stół. Dokoła stołu stoi sześć kobiet bosych, biednych i te ciasto gniotą. W kącie na lewo stoi stolik mały i na nim robotnik wygniata ciasto, obraca i obtacza w macę. Wszędzie stoją mi-ki z wodą, kobiety i robotnicy często myją w nich ręce. Ciemność prawie zupełna. Przez otwarte drzwi na lewo widać sień, oświetloną kawałkiem świeczki. Worki z mąką i kilka kobiet żydowskich, siedzących na ziemi w zupełnem milczeniu. Na scenie kosze płaskie, pełne już gotowych mac.

SCENA 1.

JAŃCIO, NUS, SZMULE, AWRUMEL, SZALEK, PIEKARZ, SZNAJDER, ROBOTNIK, sześć kobiet, w głębi żydówka.

■ ■

(Chwila milczenia. Wszyscy pracują).

JAŃCIO

(nagle rzuca macę do kosza, który stoi obok niego mówiąc):

Pasek!

DAWID NUS

(odziany, w butach, spodniach, w koszuli, kamizelce, w rękę fajka).

Co to, Jańcio? znów zepsuta?

JAŃCIO

(mrukliwie).

Una się przylepiła... ja nie mogę pozwolić, coby ją w piec kładli. Ja tu jestem od samego rabina, coby się żadna maca nie strefiła.

PIEKARZ

(w głębi).

Awrumel, spiesz się; jesteś stary nudziarz, niedołęga i śpioch! Ja stoję napróżno z łopatą i czekam, aż mi podasz macę. W ten sposób daleko nie zajdziemy z robotą.

AWRUMEL.

Ja się spieszę... ja się spieszę...

SZMULE

(głowa ogolona i na samym czubku krymka z różnokolorowej włóczki, z chwastem).

Un się spieszy, jak kaczka na weselu.

(Śpiewa).

AWRUMEL.

Jak kaczka na wesele!

(Kobiety się śmieją).

NUS.

Cicho bądź, Szmule! Ty zawsze musisz hałas robić! (Odwraca się do kobiet, z których dwie stoją bezczynnie i śmieją się do Szmula). Czego wy nic nie robicie? Czego wy zęby szczerzycie do tego myszygene, co sam głupi, jak jego mycka, co ją ma na głowie?

SZMULE

Ty to mówisz, Dawid, przez zazdrość, że ja echt elegant kawaler i kobiety się za mną oglądają... Ty się już ożenił z Gustą, to na ciebie nikt nie patrzy, ale ja jestem jak ten ptak, co jeszcze sobie gniazdka nie usłał.

JAŃCIO

(rzuca macę).

Pasek!

NUS.

Znów pasek! Aj! aj! co to Jańcio wyrabia! Ty wszystką mąkę Trejny Przyszpiler na ziemię ciśniesz! Ona będzie na nas zła, jak po macę przyjdzie.

SCENA II.

CIŻ SAMI, CHANA, BALCIA, później WŁAŚCICIEL
PIEKARNI.

□ □

CHANA

(z woreczkiem mąki i z koszykiem).

Dawid! ja także przyniosłam moją mąkę na mace. Ja chciałam rano dać Jańciowi, żeby tobie oddał, a ja się bałam, że un jeszcze na ulicy gdzie położy...

DAWID

Postaw, Chano, kosz i mąkę; po odpoczynku będziemy piekli twoje mace...

(Chana stawia kosz i mąkę: przyczepia do kosza chustkę czerwoną).

CHANA,

Ja tu naznaczyłam mój kosz... Ja do niego przyczepiłam moją chustkę i koło niego posadzę Balcie. Niech ona siedzi i pilnuje. Co? ty uciekniesz? ty chora? Una mówi, że chora, że ją w piersiach boli! Una przecie nic nie robi, tylko w chederze cały dzień siedzi... Dawid, Dawid! Gusta kazała ci powiedzieć, że była z waszem dzieckiem u doktora.

(Dawid kiwa obojętnie głową).

SZMULE.

Chano! twój Jańcio jest bardzo niegrzeczny!

CHANA.

Oj wej! znowu? Czemu ty, Jańciu, jesteś niegrzeczny? Ty możesz zarobek stracić... Ty wiesz, że jak ty się ze mną godził u rabina, to przyrzekał, że będziesz pracował.

JAŃCIO

(rzuca macę).

Pasek!

SZMULE.

Czego ty, Chana, się z nim pogodziła? Ty mogła się z nim nie godzić.

CHANA.

Jakże to? On był żywotny, a ja bez niczego! Jakże to można być? Ja poszła do rabina i prosiła o rozwód i chciała dać pięćdziesiąt rubli. A on mówi: „Chana, Chana” ciebie nowy mąż będzie więcej kosztował, niż pięćdziesiąt rubli. Ty się pogódź z Jańciem i wydasz na to dwadzieścia rubli, a my jemu damy miejsce, bo on jest pobożny, choć mruczko-waty”. No i my się pogodzili... i on niby jest, ale się wszyscy na niego skarżą.

SZMULE.

A żeby on się był odrzekł od zgody, to Chana mogłaby iść za mnie.

CHANA.

Żeby on się odrzekł, to jabym się zamówiła nie wziąć więcej nigdy męża.

(Wchodzi Trejne ze służą i zabiera kosz mac, który jej Dawid wskazuje).

TREJNE

(z aktu 1-go, już jako mężatka).

Ja dałam dużo mąki... kosz nie pełny...

DAWID.

Dużo było pasek.

TREJNE.

Ny! co mnie do tego? Jak ja temi macami cały dom obdziele?

(Wchodzi właściciel piekarni. żyd, w marynarce. Trejne zabiera kosz, płaci mu i wychodzi. Właściciel chodzi pomiędzy stołami, dogląda roboty, Chwila milczenia).

WŁAŚCICIEL

(zatrzymując się przed Dawidem).

Obermaszynist, macie dużo cudzej mąki?

DAWID

Ciągle znoszą, ale małe obstalunki.

WŁAŚCICIEL.

Od kiedy zaczniemy piec na sprzedaż?

DAWID.

Ja myślę, może jutro z południa.

(Wchodzi żydówka z małym dzieckiem i podaje właścicielowi worek mąki).

ŻYDÓWKĄ

(bardzo biedna).

Tu jest moja mąka. Ja jestem Ruchla Ehrenberg — ja tylko proszę, żeby mało było odrzucone pasek, bo ja bardzo biedna, a u nas w domu jedenaście osób będzie świętowało.

WŁAŚCICIEL.

Gdzie wasz kosz?

ŻYDÓWKA.

Ja nie mam kosza, ja biedna, ja fartuch
czysty rozściele.

WŁAŚCICIEL.

Mace się połamią.

ŻYDÓWKA.

Ny, co robić? Ja się ledwo na mąkę zmo-
głam.

CHANA

(do Jańcia).

Niech Jańcio uważa na moją mąkę i na
Balcię. Ja idę do ochrony. Będzie Jańcio
co wieczorem jadł? nie? Znów się gniewa,
nic nie gada! Un mi znów bieliznę zabierze
i pójdzie. Un nawet rabinowi nie chciał po-
wiedzieć, co un z tą bielizną zrobił mokrą
i gdzie un ją zapodział! (do właściciela). Ale
pan Klejberg to już moje mace darmo upie-
cze.

WŁAŚCICIEL.

Kto wy jesteście?

CHANA

Żona waszego... Un bardzo pobożny i ro-
zumny żyd... tylko my bardzo biedni...

WŁAŚCICIEL.

Dobrze, już dobrze! (do Dawida Nusa). Na co
one czekają, tamte kobiety w sieni?

DAWID.

Une przyniosły mąkę, my będziemy piekli ich mace także.

(Chana wychodzi),

WŁAŚCICIEL

(staje koło pieca).

Kto to jest za pomocnika? Nu, zupełnie stary, on się ledwo na nogach trzyma.

PIEKARZ.

Żeby ja miał innego pomocnika, to dwa razy tyle mac byłoby już wypieczonych.

WŁAŚCICIEL.

Ruszaj się stary, a prędej... Do pieniędzy to prędej łapy będziesz wyciągał jak do roboty! (do piekarza). Trzeba go na noc zmienić; taka robota to żadna robota! Ja tobie dobrze płacę, piętnaście kopiejek na dzień, to ty rób za te piętnaście kopiejek!

AWRUMEL.

Ja się będę starał!

WŁAŚCICIEL.

Nie, nie, to nie może być! Święta za pasem, a my jeszcze na święta na sprzedaż piec będziemy. Trzeba zmienić pomocnika, piekarz!

JANCIO

(rzuca na ziemię macę).

Pasek!

DAWID NUS
(do właściciela cicho).

Un tak ciągle robi! Un jest strasznie uparty.

WŁAŚCICIEL.

To wasza wina; dlaczego mace do desek przylegają?

DAWID.

Un je sam przylepi, jak je do stołu przyciśnie. Ja jego oddawna znam, on taki zły na wnętrzu i tak drugim na złość robi.

WŁAŚCICIEL.

Ny... jak my nie swoją mąkę pieczemy, to niech on się złości — ale jak my zaczniemy swoją mąkę piec, to niech un będzie mniej... mniej pobożny, bo ja pójdę do rabina i poproszę, żeby go zmienił.

PIEKARZ.

Wiatr strasznie dmie na dworze.

WŁAŚCICIEL.

Bardzo brzydka noc — deszcz ze śniegiem pada.

DAWID.

Ja trochę pójdę się przespać, panie Klejberg. Szmulę siądzie na moje miejsce, a robotnik wie także, co podmaszynista robi. Ja bardzo zmęczony, bo robię już trzy dni i dwie noce.

WŁAŚCICIEL.

Idź ty, Nus, do mnie na górę i tam przylegnij w sionce. Tylko nie śpij długo... Czekaj, ja z tobą pójdę.

DAWID.

Niech robotnik weźmie się teraz do mąki z tych koszów; prędko przygotowywać ciasto; podmaszynista będzie wam rozporządzał, kobiety niech nie próżnują! Jest dużo mac już gotowych do maszyny, to piekarz ma robotę!

WŁAŚCICIEL.

Piekarz niech nie wychodzi i koło pieca zostanie... (we drzwiach do żydówek, siedzących w sieni). Niech kobiety zabierają sobie mace, które już są gotowe. Niema miejsca, żeby tak stały.

DAWID.

Kiedy się wszystkie spóźniają, a potem razem przyjdą!

(Odchodzi z właścicielem).

SZMULE

(w podskokach, nakładając sobie fajkę);

Ja kawaler jak brylant,
Nie garbaty, nie frant,
Żyję niby jaki pan,
Wiwajt kawalerski stan!

PIEKARZ.

Ty, Szmule, zawsze wesół i szczęśliwy!

SZMULE

(w podskokach):

Piękny, śliczny jak motyle,
Podskakuje sobie Szmile,
Ma policzki niby róże,
A na święto nowe spodnie!

(Wszyscy się śmieją).

PIEKARZ.

Tyby się nie śmiał, żeby ty miał żonę
i czternaście dzieci!

SZMULE.

U ciebie, Szender Sokstenbried jest czterna-
ście dzieci?

PIEKARZ.

Czternaście, jak jeden nic!

SZMULE.

Ny! co to za liczba... czternaście dzieci? Ty
miej piętnaście... to wtedy?

Fircen kinder nie radość,
Niekompletny tak sendel,
Dzieciów całe piętnaścioro,
To dopiero piękny mendel!

A co? jaki ze mnie poet!

AWRUMEL

(który przechodzi przez izbę i myje sobie ręce w misce).

Poet?... Ty, Szmule, ty jesteś poet!

(Śmieje się smutnie).

SZMULE.

Jestem poet, bo układam wiersze.

AWRUMEL

(j. w.).

Wiersze? to są wiersze?

SZMULE.

A co ma być, stara wrono? Może ty umiesz
ułożyć wiersze? A ja ci ułożę wiersze na fajkę,
na twój garb, na nos Sokstenbrieda i na

wszystko... uf a!es... Ty nie potrafisz tak, bo
żebyś potrafił, to byłby z ciebie marszelik,
a nie taki kapcan, jak jesteś...

AWRUMEL

(powoli).

Nie, Szmule — ja takich wierszy, jak ty,
nie umiem układać. Ale ja umrę, a o Awru-
melu Teodor to ludzie jeszcze mówić będą,
a o Szmulu Szplinder to nikt nie wspomni.

SZMULE.

Ty byłeś zawsze myszygene, Awrumel, dla-
tego ty teraz taki nędzarz i kiedy jeszcze
z głodu umrzesz... Ty mówisz, że o tobie po
śmierci mówić będą, a dziś jak idziesz po
ulicy, dzieci za tobą kamieniami rzucają. Ja
tam widziałem, ty szedł i sam do siebie coś
gadał, a dzieci biegły za tobą i kamieniami
ciskały!

AWRUMEL.

Nie szkodzi, Szmule, nie szkodzi! Niech oni
ciskają — mnie takie kamienie już nie boją—
ja do nich zwyczajny.

SZMULE.

Za mną nie będą dzieci kamieniami ciskały.

AWRUMEL.

(powoli odchodzi do głębi).

Nie, Szmule, za tobą nie będą dzieci ka-
mieniami ciskały!

SZMULE.

Spodziewam się! Ja będę wielki bogacz,

będę miał własną piekarnię... ożenię się z córką jakiego kupca. Ja i moja żona będziemy codzień jedli mięso i makaron i będziemy pili arbatę z samowaru; a na spacer to ja będę nosił rękawiczki i laskę, a moje żone parasolkę. U nas będzie lustro i kanapa z Franciszkańskiej od meblarza i na szafie miedziane rondle — i wszystko! wszystko będzie fein i git!

Wszystko będzie fein i git,
Bo pan Szmule mądry żyd,
Mądry żydek i wesoły,
Chociaż teraz jeszcze goły!
(Wybiega, śmiejąc się i tańcząc, do sieni).

AWRUMEL.

To się nazywa mądry żyd! Może on i mądry, taki żyd!

SCENA III.

AWRUMEL, PIEKARZ, ROBOTNIK, SZALEK, BALCIA, SZNAJDER, JOJNE, JAŃCIO, sześć kobiet, w sieni kobiety.

Podczas całej rozmowy poprzedniej, biedne bardzo żydówki wnoszą mąkę, kosze ustawiają na ziemi i wychodzą do sieni. Balcia śpi koło kosza. Piekarz w głębi. Jańcio siedzi filozoficznie z założonemi rękoma. Przez drzwi wchodzi Jojne. Jojne jest bardzo blady i zmieniony; ma na sobie ubiór robotnika i jest przewiązany sznurem grubym w pasie. Zatrzymuje się w progu i zapytuje robotnika.

□ □

JOJNE.

Czy tu jest stary żyd, Awrumel? On miał pomagać przy pieczeniu mac.

(Robotnik pokazuje na Awrumela).

JOJNE

(podchodzi do Awrumela).

To ja, Awrumel!

AWRUMEL.

Al! al! co ty, Jojne?

JOJNE.

Tak... ty mnie wczoraj na placu powiedział, że ty w piwnicy na Gnojnej będziesz koło macy pomagał i żeby ja do ciebie przyszedł.

AWRUMEL.

Ja myślał, że ja już dostanę zapłatę dziś wieczór, to ja chciał się z tobą podzielić, Jojne, ale ja widzę, że oni dopiero razem za całe dwadzieścia cztery godzin będą płacili.

JOJNE.

Ty nie myśl o mnie, Awrumel, ty się o mnie nie kłopotcz, ty myśl lepiej o sobie.

AWRUMEL.

Kiedy ty bardzo, Jojne, jesteś biedny i ja przecież pamiętam, że ty także nigdy nie myślał o sobie, tylko o mnie i o innych jeszcze biednych. Ja widział wczoraj, jak ty jeszcze małemu chłopcu, co kości na podwórzu zbierał, bajgele za ostatni grosz kupił.

JOJNE.

On był bardzo biedny, głodny, ten chłopiec i on był sierota.

AWRUMEL.

Ty także głodny, Jojne, i także sierota!
(po chwili). A gdzie ty spał, Jojne?

JOJNE.

Ja nigdzie nie spał, Awrumel, ja nie miał gdzie spać, ja całą noc po ulicy chodził i bardzo się bał, żeby mnie nie złapali. Potem ja długo na kamieniu koło mostu siedział. (Po chwili). Bardzo ciężko dostać pracę. Inni ludzie silniejsi odemnie, odtrąca i odepchną. Czasem, jak się zaczęła pchać, kiedy trzeba co z fury zładować, to mnie aż popchną na ziemię i po mnie przejdą. Ja takby nie potrafił.

AWRUMEL.

Ty tak nie potrafisz, dlatego ty jesteś na spodzie — oni na wierzchu, oni mają pracę i zapłatę — a ty nie masz nic...

JOJNE.

Tak! tak! ludzie się nawet dziwią i gniewają, że ja taki słaby chcę dźwigać ciężkie rzeczy. A ja co mogę robić innego, Awrumel? Ja rzemiosła nie umiem żadnego, mnie tate do handlu sposobił — ja za stary, żeby mnie kto do terminu wziął — siły nie mam, żeby ciężkie roboty robić... Żle, Awrumel, żydowi, jak jego tylko do handlu sposobią... Jak on handel straci, albo handlować nie chce, to co on ma robić? on ma głodem mrzeć! (po chwili). I żeby tylko ludzie jeszcze inne były, ale ludzie, Awrumel, to jałmużnę dadzą, ale pracę

to wydra... A ja żebrakiem być nie chcę...
ja ich dobroczynności nie chcę: ja chcę, żeby
mi dali pracować na mały kawałek chleba!

AWRUMEL.

Dlatego ja nawet już ludzi o pracę nie pro-
szę, bo jeszcze ust nie otworzę, a mnie już
rzucają kopiejki, żeby się mnie pozbyć!

JOJNE.

Co ja się nachodził, naprosił! — wszędzie
byli więksi, silniejsi odemnie. Ja tylko spo-
sobny do ręcznej pracy, a inni, co mieli wię-
cej siły, zabrali mi ją zaraz. I nieraz, jak ja
widziałem, Awrumel, jak oni tak między sobą
się jedli i kłócili o ten zarobek — ja uciekł,
Awrumel, bo mi wstyd było i mnie i ich!
(Ogląda się)) Kto to? Jańcio? Co on tu robi,
Awrumel?

AWRUMEL.

On się pogodził z Chaną i on teraz jest od
rabina przy macach, co on jest... pobożny.

JOJNE

(z gorzkim uśmiechem, kiwając głową)

I jemu za tę pobożność płacą! O! I on się
z Chaną pogodził! i on znów tam do nich po-
wrócił... O, Awrumel! a ja myślał, że jemu
duszno, jak mnie, i że on poszedł w świat
pracować i starą skorupę z siebie zrzucić!

(Szmule powraca i siada do roboty na miejsce Nusa; po-
maga mu żyd, który krajał macę kółkiem).

AWRUMEL.

Może on chciał i to zrobić, Jojne, ale on

siły nie miał. Ja wiem, że on dużo biedy przeszedł... Co chcesz, Jojnel on był tylko pobożny...

JOJNE

(z goryczą).

Tak, on był tylko pobożny, tak jak ja był tylko handlarzem. Jego ojciec przeznaczył na pobożnego, a mnie ojciec przeznaczył na handlarza. U nas zawsze przeznaczą z góry — i żony i mężów i na to, co robić się ma w życiu. I powiedzą od dziecka: ty będziesz ludzi oszachrowywał — a ty będziesz udawał pobożnego. I nieszczęście dla tego, kto się sprzeciwił... Nieszczęście, nędza i głód, albo on wrócić znowu do tego, co mu przeznaczone, musil (Po chwili). Ale ja nie wrócę; ja matce odpowiedział, żeby ona to, co po ojcu zostanie, oddała moim braciom. Oni z tego robią tysiące — w nich jest duch Firułkesów; oni nie będą mieli pół sklepik, oni będą mieli całe sklepy na Marszałkowskiej, albo na Nowym Świecie i dzieci swoje przeznaczą także na wielkie kupcy, już takie kupcy, co to się kapcany przed nimi kłaniają. I oni będą bardzo miłosierne i dobre ludzie dla takich, co są suche gałęzie na drzewie i nie umieją zarobić; a jak zobaczą takiego, jak ty, jak ja — jak zobaczą, jak za nami dzieci będą krzyczyć i kamieniami rzucać, to powiedzą: Patrzcie, to biedne warjaty, im trzeba szpital ufundować, żeby ludzie nie powiedzieli: u żydów nędza jest, a bogate serca nie mają! (Po chwili). Niechby oni te pieniądze, co oni dają na do-

bioczynność, dali na to, żeby nas nauczyć pracować i pracę, choć biedną, ale nie handel kochać — to oni by lepiej zrobili!

PIEKARZ

(w głębi).

Awrumell ty już dosyć odpoczął — chodź na swoje miejsce.

AWRUMEL.

Jojne, ty odemnie pieniędzy wziąć nie chcesz — ale ja tobie dam zarobek.

JOJNE.

Daj, Awrumell daj! Ja siłę znajdę... Mnie czasem się szelki od trąg w ciało wkrajały, tak mnie cisnęły, a ja nie czuł i był szczęśliwszy, jak tam w pół sklepik u ojca... Co ja mam robić, Awrumel?

AWRUMEL.

Ty idź dziś na noc na moje miejsce pomagać piekarzowi mace podawać. Umyj ręce... ja ci powiem, co masz robić.

JOJNE

(myjąc ręce).

A ty, Awrumel?

AWRUMEL.

Ja pracował już... ja zarobił trzydzieści kopiejek, mnie do świąt dosyć i na święta starczy. Ja pójdę i położę się spać w ubraaniu. Chodź, ja powiem piekarzowi, że ty na moje miejsce jesteś.

(Odchodzą w głąb do piekarza; po drodze Jojne spostrze-
ga Balcie i pochyla się ku niej).

JOJNE.

Balcia!

BALCIA

(budząc się i radośnie wyciągając ręce do Jojnego).

Jojne! to ty? Gdzie ty był tak długo? Czemu
ciebie w sklepik niema?

JOJNE.

Bo ja teraz pracuję, Balcia. Ja nie mam
czasu w sklepiku siedzieć. Ale ty mnie po-
znała, Balcia, choć ja nie mam chałata i taki
znędzony...

BALCIA.

Ty był dobry, Jojne... ty mnie i Lajbele
mięso i wino dawał, ty nam także śliczne
historje opowiadał... Teraz mnie bardzo smu-
tno... Mozesa także poszła!

JOJNE.

Ty bardzo blada, Balcia! Czy ty chora?

BALCIA.

Ja nie chora, tylko ja się uczę... Ja do che-
deru codzień chodzę.

JOJNE

Do chederu! Awrumel, ona taka blada, jak
Lajbele!

BALCIA.

Mnie się spać chce, Jojne...

(Usypia. Jojne idzie w głąb do piekarza z Awrumelem

i tam rozmawiają chwilę po cichu; Jojne się rozbiera i wchodzi do pogłębienia, Awrumel powoli wychodzi ze sceny).

SZMULE.

Pan obermaszynist coś się długo wysypia... Trzeba kazać go zbudzić. (Do kobiet). No, dalej, nie zakładać ręki, nie odpoczywać, jak jakie księżne...

SCENA IV.

JOJNE, SZMULE, BALCIA, PIEKARZ, SZALEK, SZNAJDER, JAŃCIO, młody żyd z kółkiem, sześć kobiet, ROBOTNIK, ŻYDÓWKI, GUSTA,

□ □

GUSTA

(wchodzi z dzieckiem maleńkiem na rękę; jest bardzo blada, zmieniona mówi powoli i widocznie ledwie się na nogach trzyma. Jest ubrana w perukę ze wstążki).

Gdzie Dawid? Jabył chciała z nim mówić.

SZMULE

(odwraca się).

Aj! to ty, Gusta? Ja ciebie odrazu poznać nie mógł. Dawid poszedł na górę trochę przylegnać. Ja ciebie dawno nie widział, Gusta!

GUSTA.

Ja słabowałam długo, Szmule, ja ciągle słabuję...

SZMULE.

Czemu ty po nocy wstajesz i chodzisz, Gusta?

GUSTA.

Dziecko chore, Szmule. Ja byłam u doktora, un kazał i mnie i dziecku lekarstwo kupić. Ja zaniósła do apteki i przyszła do Dawida po pieniądze...

SZMULE.

Bardzo dziecko chore?

GUSTA.

Doktór mówi, że bardzo. Ja jego nie chciała wziąć z sobą, bo tam deszcz i wiatr na dworze, ale u nas w stancji mieszka Łaja Fainbube i u niej pięć chłopaki strasznie złe i niepoeczciwe. Oniby mogli mojemu dziecku krzywdę zrobić. Ja musiała wziąć dziecko z sobą. Aj!

SZMULE

(przypatrując się jej uważnie).

Aj, Gusta!... jak ty się zmieniła! Dawniej ty była wesoła i świeża, jak róża, a dziś...

GUSTA.

Ja przecież za mąż poszła, Szmule — a to nie rozkosz i nie zdrowie dla kobiety... Ja wiem, że ja była jak włos, taka dziewczyna, a teraz...

SZMULE.

To tobie, Gusta, za Dawidem źle?

GUSTA

(obojętnie).

Co ma być źle? Nie jest dobrze, tak jak za mężem.

(Patrzy na Szmula uważnie).

SZMULE.

Dlaczego ty na mnie tak patrzysz, Gusta?

GUSTA.

Ja sobie tak patrzę i myślę, czy, jak tybyś się ze mną ożenił, to mnieby było lepiej, jak teraz?

SZMULE.

Może tobieby i było lepiej, a może nie. Dawid więcej zarobi — może ci dać więcej.

GUSTA.

Ale Dawid ani mnie, ani dziecka nie ma w sercu. On myślał, że ja będę zdrowiutka, jak Mozesza, ale ja zaraz zaczęła słabować i nic nie mogła robić. On się za to na mnie gniewa, a mnie przez to chorość jeszcze większa napada (po chwili). Ty pamiętasz, Szmule, jak ty dwa lata temu na purym bal piosenki śpiewał i za babusię był ubrany?

SZMULE.

A ty, Gusta, miała dwa pióra we włosy — w twoje długie, kędzierowate włosy!

GUSTA

(smutnie).

Ja już nie mam długie, kędzierowate, czarne włosy! Mnie obcięli moje włosy, kiedy mnie pod baldachim poprowadzili. (Patrzy smutnie na Szmula). Jak ja na ciebie patrzę, Szmule, to mi się na wewnątrz strasznie smutno robi.

SZMULE.

Dlaczego, Gusta? Przecież ja nie grabarz
i mam wesołą gębę.

GUSTA.

Ale mnie się tak zdaje, co ja widzę wszyst-
ko dawne przed sobą — tak jak ja była mło-
da i śpiewała i była zdrowa i wszystkiemu
się cieszyła... I potem mnie się tak zdaje, że
ja umarłego przed sobą widzę.

SZMULE

(po chwili).

To dziwne, Gusto — i mnie się tak zdaje,
że ja umarłego przed sobą widzę.

(Stoją chwilę w milczeniu; nagle Szmule podskakuje i za-
czyna śpiewać):

Nie płacz Gusta, nie płacz Szmile
Już minęły dawne chwile!
Skiknij, jakby młody wróbel
I zrób sobą wszystkim jubel!

GUSTA

(zachwycona).

Ach, Szmule! Szmule! jakie ty zawsze żar-
ciki wyprawujesz!

PIEKARZ

(do Jojnego).

Daj mi ten fartuch, co leży koło tej małej
dziewczynki.

JOJNE

(idzie i bierze fartuch).

Czy ten?

ŻYDÓWKA

(która stała przy fartuchu).

Nie ruszaj — moje mace już gotowe. Weź próżny fartuch. Nie ten — i tu jest mace... Ten koło kosz...

PIEKARZ.

Ułóż także mace w koszach, bo ten głupi nawet ich porządnie ułożyć nie umiał.

(Jojne układa mace w koszach; powoli wchodzi żydówki, ale nie zabierają koszów, tylko stoją i rozmawiają z sobą. Przychodzi także dwóch podrostków i stary żyd).

SCENA V.

CIŻ SAMI, i DAWID NUS.

2 2

SZMULE.

No, to i twój mąż, Gusta.

(Idzie na swoje miejsce).

DAWID

(siadając do roboty).

Czego ty odemnie chcesz, Gusta?

GUSTA.

Mnie trzeba pieniędzy na lekarstwo dla mnie i dla dziecka. Rubel i czterdzieści siedem kopiejek.

DAWID

(pracując).

Ja nie mam pieniędzy.

GUSTA.

Dla mnie to już mniejsza, ale daj ty choć na lekarstwo dla dziecka, Dawid!

DAWID

(dając jej pieniądze).

Ja mam tylko trzydzieści kopiejek.

GUSTA.

Lekarstwo kosztuje osiemdziesiąt pięć kopiejek. Ty miał jeszcze wczoraj pięć rubli — gdzie ty podział te pięć rubli?

DAWID.

Ja mąki za to kupił i do spółki ze Srulem Packowerem wszedł. My także upieczemy mace i będziemy sprzedawać. Na tem my możemy zrobić interes.

SZMULE.

Ty masz kepełe do geszeftu, Nus! Ej Gusta, ty masz mądrego męża!...

GUSTA,

Mnie w aptece nie zborgują. Oni na rozpłatę lekarstwa nie dają. Kupcy, to dywany i lustra na wypłaty dają, ale lekarstwa, Szmule, nie dadzą.

DAWID

(do Gusty).

Poczekaj, to się lekarstwo kupi w święta, jak się na mace zarobi...

SCENA VI.

CIŻ SAMI. MARJEM i CHANA.

□ □

MARJEM.

Czy moje mace już gotowe?

DAWID.

Zobacz sama Marjem. Umiałaś dać znak jaki?

CHANA.

A moje? A, już upieczone! To ja zaraz wezmę!

MARJEM.

Une były w koszyku Lejzora, ot tu.. ich układają; to moje. (Spostrzega Jojnego, który układa mace). Jojne! to ty? Gdzie ty bywa?

CHANA.

Jojne! Patrz, Jojne!

DAWID

(odwracając się szybko).

Jojne? gdzie Jojne? (spostzegając Jojnego, który zaczyna układać mace drugiej żydówce). Precz! nie ruszaj mac!

WSZYSCY.

Dlaczego?

DAWID.

On jest przeklęty!

WSZYSCY

(z przestraczem odsuwają się od Jojnego).

On jest przeklęty!

(Na środku pozostaje Jojne i Nus).

DAWID NUS

(z siłą i gniewnie).

Ty, Jojne, jesteś pod heremem! Czy ty nie pamiętasz? czy ty zapomniał o tem, że ciebie ojciec przeklął i herem na ciebie rzucił? Czy ty nie wiesz, że ty gorszy, jak nieczyste zwierzę i że tobie do ludzi nie wolno się zbliżać? Tobie kropki wody nikt podać nie może. Z tobą nikomu pod jednym dachem zostawać nie wolno!

(Odwraca się do tłumu).

Przez niego umarł stary Firułkes! jego ojciec!

TŁUM.

Przez niego umarł stary Firułkes!

DAWID.

On chciał podpalić!

TŁUM.

Podpalić!

DAWID.

Un jest morderca! un przeklęty! un warjat!

TŁUM

(z wzrastającą grozą).

On jest morderca! On jest przeklęty warjat!

JOJNE

(zdławionym głosem).

Jakie ty masz prawo, Nus, to mówić? Ty sam jesteś zabójca... bo ty dla geszeftu nie chcesz ratować swego dziecka i lekarstwa mu

kupić nie chcesz... Jakie ty, Chana, masz prawo mnie nazywać zabójcą, kiedy ty Lajbele zabiła, kiedy ty teraz chcesz przez cheder Balcię zabić?!

CHANA.

Zawrzej gardziel, ty opętany!

JOJNE

(z wielką mocą).

To wy zawrzyjcie gardziele! — wy, co dla geszeftu, dla odłożenia grosza na handel, głodzicie i siebie i swoje dzieci cały tydzień! wy, coście córki swoje posprzedawały przez swatki! — wy, co macie całe kupy dzieci, które robactwo toczy i nędza na kirkut wymiata!

DAWID NUS

(dyszząc ciężko).

Ty gorszy, jak nieczysty duch, jak sam djabeł! Ty się dotknął do mace biednych ludzi, ty mi mąkę zepsuł! ty mąkę mi zanieczyścił!

TŁUM

(z okropnym wrzaskiem).

On przeklęty! On zepsuł nam mąkę! On zepsuł nasze mace! Niech nam zapłaci za mąkę! Co my teraz będziemy jedli na święta?!

JOJNE.

Ty mówisz Nus, że ja nieczyste zwierzę, że odemnie sam djabeł lepszy?... To wy jesteście jak zwierzęta złe, ciemne, nieczyste

i dla geszeftu żyjące! To wy jesteście pod heremem świata, nie ja!

DAWID NUS

(rzuca się na Jojnego i uderza go).

Masz, ty zuchwały warjat!

(Jojne pada na ziemię i w tej chwili cały tłum z przerażającym wrzaskiem rzuca się na niego; biją go i szarpia przez chwilę, potem Chana pierwsza pociąga za sobą inne kobiety).

CHANA.

Chodźmy do właściciela. Niech on nam za naszą mękę zapłaci.

MARJEM i INNE.

Chodźmy! chodźmy! on musi nam za niego zapłacić!

(Tłum wybiega).

NUS

(do rzemieślnika i piekarza).

Chodźcie i wy ztąd wszyscy; my musimy iść do rabina i powiedzieć, co się tu w piekarni stało. Teraz tu wszystko nieczyste i grzeszne.

JAŃCIO.

Tak, teraz tu wszystko pasek! Chodźcie, chodźcie! Ja nie pozwalam więcej mace piec!

(Wybiega Nus i Jańcio, piekarz, rzemieślnik i Szalek).

SCENA VII.

JOJNE, BALCIA, później AWRUMEL.

Jojne leży na ziemi długą chwilę, wreszcie podnosi głowę i jest pokrwawiony.

□ □

JOJNE

(cichym głosem).

Wody... wasser... O! wasser! (przychodząc do siebie z goryczą). Ja pod przekleństwem! mnie nikt wody nie podał (usiłuje wstać, dowlec się do miski i nie może). Nie mogę... wody!

(pada. Z kącika wysuwa się Balcia, idzie ku niemu i bardzo zmartwiona, klęka przy nim).

BALCIA.

Ty chory, Jojne? Oj! z ciebie krew się leje! ja tobie dam wody!

JOJNE.

Ty odejdz odemnie, Balcia, ja pod przekleństwem... odejdz!

BALCIA.

Pod czem, ty, Jojne? pod czem? Ja nie rozumiem... Ty chcesz pić, ja tobie dam wody. (Zaczerpuje rękoma z miski wodę i wyciąga ręce, jak muszle, do Jojnego). Pij, Jojne! Ja tobie obmyję i tę krew, co tobie źli ludzie na twarzy zrobili.

JOJNE.

Ty się mnie nie boisz dotknąć, Balcia?

BALCIA.

Dlaczego się ciebie bać, Jojne?

JOJNE.

Prawda... ty jeszcze mała, ty jeszcze czyste dziecko... ty mnie jeszcze możesz dotknąć i dać mi wody...

(Balcia pochyła się nad nim, on pije z jej rąk złożonych wodę).

AWRUMEL

(wbiega).

Jojne! Jojne! co się tutaj stało? Oni cię bili! oj jej!

(Kłeka przy Jojnem, który unosi się trochę z ziemi).

JOJNE.

Dziecko i taki, za którym kamieniami rzucają! Oni tylko jedni!...

Kurtyna zapada.

AKT PIĄTY.

Dekoracja przedstawia zakątek na kierkucie. Zima. Noc jasna, księżycowa. Drzewa okryte śniegiem. Na lewo kilka grobów żydowskich, kamiennych grobów bogatszych z tablicami wysokości człowieka. Na prawo i w głębi mogiły niskie, z powtykanemi w ziemię drewnienkami i deszczużkami bez napisów. Pomiędzy grobami niema ścieżek. W głębi mur czerwony, ceglany, za murem próżnia i widnokrąg.

SCENA 1.

Za podniesieniem zasłony chwilę pada śnieg; scena zupełnie pusta; potem śnieg ustaje, wschodzi księżyc i oświetla scenę. Między grobami widać BARDZO STAREGO ŻYDA i WNUCZKĘ ŁAJĘ, brodzących po śniegu. Bardzo stary żyd ma dużą, siwą brodę, małe oczy; prawie nie ma śladu ust, ani rysów twarzy. Jest mały, zgarbiony, oparty na kiju. Odziany bardzo biednie, z szalikiem nakoło szyi. — Łaja — młodzianka, śliczna dziewczyna, rumiana i zdrowa. Odziana także nędznie i owinięta w grubą chustkę; trzyma się dziadka za rękaw.

□ □

BARDZO STARY ŻYD.

Un... oni sobie chcą w piecach napalić może. Zima bardzo straszna!

ŁAJA,

Dziadku, im zimno; oni się chcą ogrzać.

B. STARY ŻYD.

To drzewo należy do umarłych!

ŁAJA.

Umarli się o to procesować nie będą, dziad-
ou... Nie łap ty już dziś tego złodzieja... Niech
kn sobie weźmie gałązkę, niech jemu także
będzie ciepło.

B. STARY ŻYD.

Ty młoda jeszcze jesteś i dlatego tak mó-
wisz, Łajo...

ŁAJA.

Ja przecież nieraz sama takich nędzarzy
wspomagałam, dziadku, jak oni tu pod mur
cmentarny przyszli. (Po chwili). Ja, dziadku, nie
chciałabym nigdy na świat wyjść z kierkutu;
tu jest tak ładnie, tu jest wszystko! W lecie
trawa, kwiaty, motyle, w zimie tyle śniegu
i tak cicho... I ci umarli tacy dobrzy, ja ich
kocham dziadku. Ja znam ich wszystkich, ja
z nimi rozmawiam. Ja najlepiej kocham tę
młodą kobietę, co jej grób w kąciку, pod
murem. Ona się nazywała Małka. Ja pamię-
tam, jak ją przywieźli. Była taka piękna...

BARDZO STARY ŻYD.

Una nie była taka piękna, jak córka kotła-

rza w Siedlcach. Ja pięćdziesiąt lat temu robił dla tej córki kotlarza białą atłasową suknię.

ŁAJA
(zachwycona).

Ach, dziadku!

BARDZO STARY ŻYD.

Tak, atłasową suknię z kwiatkami na piersiach... Una więcej kosztowała, niż sto rubli, ta suknia.

ŁAJA
(zachwycona).

Ach, dziadku! Jabym chciała umrzeć, żeby mieć taką piękną suknię!

BARDZO STARY ŻYD.

Ty możesz dziesięć razy umrzeć, a ty takiej sukni nie będziesz miała.

ŁAJA.

O! dziadku, patrz! z grobu tej młodej Małki ktoś wziął deseczkę. Niema deseczki; tu także niema; tu był ktoś taki, komu było zimno; nie trzeba się gniewać, dziadziu, ja sama nowe deseczki powtykam. U nas leżą w poczekalni nowe. A teraz chodź, dziadku, do domu.

BARDZO STARY ŻYD.

Ty masz litościwą i miłosierną duszę, Łaja. Ty masz bardzo czyste i dobre serce; a dlatego masz takie dobre serce, że ty jeszcze

za ten mur cmentarny od urodzenia nie wyszła. Gdyby ty wyszła, świat poznała, zobaczyła, jak na nim ludzie strasznie się drą o grosz — to tybyś się zmieniła i już takiego czystego serca nie miała.

ŁAJA,

Ja też ztąd nie wyjdę, dziadku. Ja pozosta-
nę tu z tobą i z niemi wszystkiemi! Mnie tu
tak dobrze z wami!

(Wychodzą. Pauza).

SCENA II.

JOJNE sam.

Bardzo nędzny, ledwie ubrany, idzie pod murem. Na no-
gach ma podarte filcowe pantofle, powiązane sznurkiem;
wiatr rozwiewa jego łachmanami. Śnieg znów sypać
zaczyna.

□ □

JOJNE

(dochodzi do grobu Małki, pada na ziemię w śnieg i wo-
ła łkając):

Małko! Małko!

(Chwila milczenia).

Małko! to ja; Jojne! Ja się tu przywlokłem
na twój grób; Małko! Ja dłużej żyć nie mogę,
bo mi strasznie źle! — strasznie źle, Małko!
(Podnosi głowę i patrzy na grób Firułkaesa, na prawo).

Tam jest mój ojciec... On ma piękny i bogaty nagrobek; widać, że on był bogaty, możny — ale ja na tamten grób umierać nie pójdę, tylko na twój, Małko! — choć ty biedna, nie masz nawet deseczki, ludzie tobie ją zabrali! Ja także chcę iść do ziemi, Małko! mnie tam nie będzie zimno, nie tak strasznie, nie tak źle, jak tu... jak w tej chwili...

(Z pomnika Firułkaesa wysuwa się cień starego Firułkaesa).

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Tobie jest źle... Ty nie chciał mnie słuchać... ty nie chciał tak żyć, jak inni, jak ja, jak twój dziad, jak twoje naddziady...

JOJNE

(na klęczkach, zasłaniając twarz).

Tate! tate!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty chciał być mądrzejszy, jak inne żydy, jak pobożne i mądre żydy, które handlować umieją i mogą... U nas buntować się nie wolno... a kto się buntuje, ten jest jak robak przecięty na dwoje. On się po ziemi wije, ale on jest już umarły.

JOJNE.

Ja nie mógł inaczej!... ja nie mógł!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty nie mógł? ty nie chciał! Ty za to głodny

i spragniony włożyć się będziesz do końca
dni twoich. I nikt ci ręki nie poda... nikt cię
nie obroni... Każdy gnać cię będzie precz, jak
tego psa szkodliwego i nikt cię nie przytuli,
bo złe było życie twoje, szkodliwe i nikczem-
ne, przeklęte!

(Cicha muzyka harf. Z muru wysuwa się cień Małki. Mał-
ka ubrana jest tak samo, jak stary Firułek, w bardzo
długą białą draperję; jest blada zupełnie i mówi tklwym
i rzewnym głosem).

CIEŃ MAŁKI,

Życie twoje było szlachetne, wielkie i bło-
gosławione!

JOJNE,

(w zachwycie).

To twój głos. Małko! Ja słyszę głos twój
kochany! To ty! to ty! Och! jakaś ty piękna,
ale jak ty odemnie daleko!

CIEŃ MAŁKI.

Nie, Jojne! ja przy tobie bardzo blisko, choć
ręka twoja nie może mnie dotknąć... Ja byłam
nietylko blisko ciebie, ale ja byłam już tobą
samym, Jojne... Kiedy umierałam, moja dusza
przeszła w ciebie, Jojne, i ty wtedy ocknąłeś
się do czynu, do walki, do łez i bólu!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty się wtedy zrobił nieposłuszny i zbunto-
wany. Ty wtedy stał się głupim i ciemnym.

CIEŃ MAŁKI.

Ty wtedy przejrzał, Jojne, ty wtedy poznał,
gdzie jest światło i prawda.

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty wtedy pierwsze pieniądze, które ci za
twoją zgryzotę dawali, odrzucił!

CIEŃ MAŁKI.

Ty wtedy leż swoich sprzedać nie chciał
i serca sprzedać nie chciał.

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Od tego dnia ja poznał, że ty w handlu je-
steś zguba, bo o sobie myśleć nie chcesz!

CIEŃ MAŁKI.

Od tego dnia ty przestał myśleć o sobie i za-
czął myśleć o drugich, biedniejszych ludziach.

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty handel mój zmarnował!

CIEŃ MAŁKI.

Ty duszę swoją wzbogacił!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Ty zszedł na psy — ty gryziesz z głodu zie-
mię — ty ostatni z parszywców bez handlu,
bez dachu, bez chleba!

CIEŃ MAŁKI.

Tyś szlachetne i czyste serce, boś wyzbył się pragnienia szachrajstwa i okradania ludzi.

JOJNE

(pomiędzy obu cieniami, na klęczkach)

O! tate! Małko! Ja chciałem być tylko uczciwym,.. Ja się zbożać cudzą krzywdą nie chciałem!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Za twoje głupie myśli ty nie masz domu, ty nie masz rodziny!

CIEŃ MAŁKI.

Za twoje czyste pragnienia cały świat twym domem.

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Żeś ze mną iść nie chciał — skonasz sam, opuszczony jak pies, pod murem kirkutu!

(Głos jego niknie).

Sei rezsolt!

CIEŃ MAŁKI.

Skon twój będzie lekki i jasny. Tyś kochał tysiące, więc będziesz kochany przez czyste serca, które także kocha świat cały! Pamięć twoja będzie święta, bo pragnąłeś żyć jak człowiek, a nie jak ospałe od chciwości zwierzę!...

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA

(cichym głosem).

Bądź przeklęty!

CIEŃ MAŁKI.

Niech zcichnie głos zły i zatruty! Ty, Jojne, bądź błogosławiony! Podnieś się, przestań płakać i bądź szczęśliwym!

CIEŃ STAREGO FIRUŁKESA.

Nędzarzem...

(Coraz słabiej).

CIEŃ MAŁKI.

Shczęśliwym, świętym nędzarzem...

(Powoli cień Małki blednie. Cień Firułkaesa niknie).

SCENA III.

ŁAJA i JOJNE.



(Łaja wchodzi i niesie deseczki w ręku. Małka wyciąga rękę, jakby wskazując Łaję Jojnemu, poczem niknie. Chwila milczenia. Jojne leży na grobie Małki. Śnieg pada. Łaja podchodzi powoli do grobu Małki.

ŁAJA

(chce wetknąć deseczkę, spostrzega Jojnego).

O! jakiś człowiek! Może to ten złodziej; ale

on zemdlał! może umarł, bo leży tak cicho...
On musi być bardzo biedny — on nawet ciep-
łego ubrania nie ma...

(Pochyla się nad nim).

Paniel paniel niech pan wstaniel Co pan tu
robi? Czy pan chory?

(Milczenie. Śnieg sypie coraz więcej).

Śnieg straszny pada... Śnieg go jeszcze za-
sypie...

(Dotyka ramion Jojny; z pod łachmanów prześwieca nagie
ciało).

On jest zupełnie zimny... on zmarznie!

(Prawie z płaczem).

Och! jaki on biedny!

(Rzuca na niego chustkę).

Trzeba go przykryć. O! o!

(Jojne, powoli, pod wpływem ciepła, przychodzi do siebie).

JOJNE

(słabo).

Małko, czy to ty mnie zakryła? Czy to ty
jesteś przy mnie?

ŁAJA.

To nie Małka... to ja, Łaja, wnuczka sta-
rego Arona, co pilnuje cmentarza. Ja przy-

szłam na grób Małki, żeby wetknąć jeszcze dzisiaj deseczkę, którą ludzie ukradli...

JOJNE

(nawpół przytomny).

Tak... ludzie deseczkę ukradli.

ŁAJA.

Ale to byli biedni ludzie... Oni zmarli i oni chcieli się ogrzać.

JOJNE

(wpatrując się w nią).

Jakie ty masz słodkie i dobre oczy!

ŁAJA.

Ja się nigdy nie gniewam, bo ja złych ludzi nie znam. Ja jeszcze nigdy nie byłam w mieście i ja tu zawsze na kierkucie żyję. Mnie umarli kochają... ja o każdym pamiętam... Ja bardzo Małkę kocham.

JOJNE.

Ty kochasz Małkę?

ŁAJA.

Tak... mnie na jej grobie najlepiej. Ja tu w lecie przychodzę i do późnej nocy siedzę... W zimie także do niej chodzę. Ja czasem

z nią rozmawiam. Ona jest tu królową na tym kirkucie.

JOJNE.

To ty sadziła kwiaty na grobie Małki?

ŁAJA.

Ja... U niej kwiaty najpiękniejsze wschodzą; na żadnym grobie takich cudnych kwiatów niema. Ja przez to myślę, że ona musiała być najlepsza z tych ludzi, co tu dokoła leżą...

JOJNE.

Ty dobrze mówisz — ona była najlepsza.

ŁAJA.

Ty ją znał? Powiedz mi co o niej!

JOJNE

(z boleścią).

Czy ja ją znał?

(Płacze).

ŁAJA.

Ty płaczesz? Co tobie? Ty bardzo biedny jesteś? Ty masz ciężkie zmartwienie? Może ci ludzie co złego zrobili — jaką krzywdę? odpowiedz.

JOJNE.

O, tak... ludzie mi zrobili duże krzywdy... i mnie bardzo źle na świecie!

ŁAJA.

To nie wracaj więcej na świat, biedny człowieku; zostań tutaj, ze mną. z dziadkiem na kirkucie. Tu sami umarli — oni nikomu nie robią krzywdy — oni wszyscy dobrzy, piękni i szlachetni!

JOJNE.

Zostać tu?... zostać nazawsze?

ŁAJA.

Tak! tak! dziadek stary... Dziadek potrzebuje pomocnika... O! o! dziadek idź! Złakł się o mnie! Dziadku! dziadku!

SCENA IV.

ŁAJA. JOJNE, BARDZO STARY ŻYD.

□ □

B. STARY ŻYD.

(ze ślełą latarką).

Ja się zbudziłem... Ja wiedział, że ty znów poszła na cmentarz. Ja poszedłem ciebie szukać... ja się bałem...

(Spostrzega Jojnego i oświećla go latarką).

Kto jest? Złodziej?

ŁAJA.

Nie, dziadku... to bardzo biedny człowiek;

jemu zimno, on chory, on płacze; jemu ludzie dużo złego zrobili... Ja jego na grobie wpół żywego znalazłam.

B. STARY ŻYD

(do Jojnego).

Tobie ludzie musieli naprawdę dużo złego zrobić i ty musisz być naprawdę bez domu i bez rodziny, kiedy ty w taką zimną noc na grób przylegnać przyszedł. Ty już musisz być wielki nędzarz!

JOJNE.

Tak, ja jestem wielki nędzarz, głodny i obdarty; pracy znaleźć nie mogę... Ja przyszedłem tu umrzeć.

B. STARY ŻYD.

(łagodnie).

Ty nie śmiesz śmierci wyzywać i chociaż ją przyspieszyć chcesz, ona sama przyjdzie i ciebie w grób włoży.

(Przygląda się uważnie Jojnemu).

Ty masz dobrą i uczciwą twarz, tylko ciebie nędza zjadła.

ŁAJA.

On mówi, że ludzie dla niego byli zli... Niech on tutaj zostanie razem z nami, dziad-

ku. On ci będzie pomagał... on się u nas ogrzeje! Nie puszczaj go za ten mur dziadku,

BARDZO STARY ŻYD.

Niech będzie tak, tak to dziecko pragnie; nie odchodź od nas, pozostań z nami i (pokazuje groby) z nimi! I my i oni cię przytulimy, kiedy cię przytulić nie chcieli.

JOJNE.

A dacie mi jaką pracę?

B. STARY ŻYD.

Będziecie ich pilnować i doglądać. Jeżeli ci ludzie pracy dać nie chcieli, niech ci umarli ją dadzą. Nie płacą może tak hojnie, ale płacą za to... spokojnie.

JOJNE.

Zanim wejdę pod twój dach, starcze, winienem ci powiedzieć; że jestem prześladowany, jak nieczyste i złe zwierze. Może mnie do twego domu nie przyjmiesz i strawy waszej ze mną nie zechcesz podzielić... Ja jestem pod heremem... ja jestem przeklęty!

B. STARY ŻYD

(po chwili milczenia),

Po za tym murem już niema heremu — tu tylko Bóg sądzi... tu wszyscy śpią jednak — przekłęci czy błogosławieni... i każdy w proch

się obraca. Chodź pod mój dach i bądź jak
wśród swoich.

(Do Łai).

Łajo... weź go za rękę i idź ty z nim ra-
zem... Ja wam rozświecę drogę!

(Podnosi w górę latarkę i idzie naprzód, za nim Łaja
i Jojne idą razem, trzymając się za ręce).



Kurtyna wolno spada.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

114960 L-P



H. NEUMANA

Biblioteka WSP Kielce



0226995